
IWONA WALCZAK

Podróż po horyzont

*Nie należy skupiać się tylko na celu, bo nigdy nie wiadomo,
co wydarzy się po drodze i kogo możemy spotkać.*


Replika

Podróż po horyzont



IWONA WALCZAK

Podróż po horyzont


Replika

Iść bez Ciebie znaczy

Iść w bezdroża,

Gdzie nic, prócz pustych serc,

Już nas nie spotka

I płonący piach dotyka płuc,

A do źródła tysiąc mil.

Wróc raz jeszcze...

Marcin „Liber” Piotrowski – *Bezdroża*

Rozdział pierwszy

Siedziała w poczekalni na lotnisku i przyglądała się podróżnym. Sporo ludzi. To zrozumiałe, lotnisko w Monachium było jednym z największych w Europie. Rosjanki naprzeciwko rozprawiły o jedzeniu. Agnieszka poczuła się głodna i z plecaka wyjęła bułkę. Była po odprawie, jej bagaż ważył niecałe dziesięć kilogramów i mogła go wnieść do samolotu.

Rosjanki opowiadały, ile przed wyjazdem przygotowały jedzenia dla mężów. Agnieszka usłyszała znajome nazwy: Strogonow, kotlet Pożarskiego, bliny.

– Cepeliny też dałaś?

– Nie, pielmienie, znacznie lepiej się przechowują. Poporcjujesz po trzy, cztery sztuki, wsadzisz do zamrażarki i sprawa załatwiona.

– Mój to najbardziej lubi zupy. Soliankę, uchę, barszcz. Wlałam do worków i łups do zamrażarki, na każdym jest kartka z datą, kiedy ma to zjeść. Nie umrze z głodu... O ile się podporządkuje...

Pośmiały się z tych słów.

– Co by było, gdybyśmy za nich nie myślały? – odezwała się jedna z nich po chwili.

– Dobrze, że w ogóle są – powiedziała druga.

– Racja. Da się wytrzymać, bo wychować trudno. W końcu nieczęsto ich widzujemy, i to jest pocieszające. – To trzecia.

Znów zaczęły chichotać, Agnieszka z nimi.

Rozumiała prawie wszystko, gdy mówiły o pakowaniu mięs w słoiki, o gotowaniu ziemniaków, zawijaniu ich w papier, żeby zbyt szybko nie ostygły, o barszczu, o sosach i kiełbasach zamykanych do weków. Była z nimi w dyskusji o metodach przechowywania jedzenia, o pasteryzowaniu mięs w słoikach, w piekarniku czy w garnku z wodą. Miały różne punkty widzenia. Słuchała ich śpiewnej mowy, kiedy mówiły o kiszoncek.

Kobiety były po czterdziestce, takie odniosła wrażenie, a mogła im się do woli przyglądać, bo zajęte sobą, w ogóle nie zwracały na nią uwagi. Śmiały się i głośno żartowały, nie odwróciły głów nawet wtedy, gdy dziewczyna przez telefon podjęła rozmowę z matką.

– Tak się martwię, boję się, że powielisz moje życie i będziesz tak samo jak ja nieszczęśliwa – usłyszała.

– Mamo! Błagam, zostaw moje sprawy dla mnie. Czekam na lot – powiedziała zbyt głośno i zbyt oschle. – Wszystko będzie dobrze, nie martw się – dodała łagodnie.

– Wiktor naprawdę cię kocha! Nie jesteś już osiemnastką! Zastanów się, co robisz. W ogóle nie rozumiem, dlaczego jedziesz sama? To nie jest zwyczajne. Dziewczyny w twoim wieku tak nie postępują, wszyscy wiemy, jak niebezpieczny jest świat. Oka nie zmrużę!

Agnieszka nie brała słów, porad i lęków matki poważnie. Matka wciąż była nierówna. Każde napięcie najchętniej by przepiła, i tym razem było to czuć w jej głosie, w sposobie wypowiedzi. Agnieszkę obciążały myśli, że w jakimś stopniu jest za ten stan rzeczy odpowiedzialna. Powinna inaczej, dużo bliżej, dużo cieplej.

– Mamo! Potrzebuję paru dni samotności. Muszę się ze sobą poukładać.

– Układać możesz się w Poznaniu, nikt ci w tym nie przeszkadza. Martwisz nas i to cię w ogóle nie obchodzi. Lekceważysz nas... Nie tylko nas. Po prostu lekceważysz.

– Kogo jeszcze niby lekceważę? – Nie powinna ciągnąć tej rozmowy.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Mnie, ojca, a najbardziej Wiktora...

– Wiktora zostaw w spokoju, w ogóle go nie znasz i nic o nim nie wiesz. On nie jest ideałem. Ech... Co ja ci będę tłumaczyć. Dbaj o tatę, o siebie, a mną się po prostu nie przejmuj. Zadzwoń.

Z ulgą się rozłączyła.

Znów ze strony matki wyczuła jakąś sugestię, jedno z niedopowiedzeń, którymi wciąż operowała, a które Agnieszkę wytrącały z równowagi. Na pewno nie popełni błędów matki! Nie będzie nadużywać alkoholu, nie będzie siedzieć w domu bez zajęć, nie unieszczęśliwi dobrego mężczyzny. Po prostu

wnikliwie się każdemu przyjrzy. Zakochanie się na zabój jej nie groziło. Już nie.

Nie powinna dać się wciągać w rozmowy, które bolały. Wtedy słowa były mało serdeczne i niczego nie tworzyły. Tylko ziąb. Zawstydzona spojrziała na Rosjanki; mimo że pozornie zajęte sobą, na pewno coś z rozmowy z matką zroszczyły.

– Co byście zrobiły dla swojej matki? – usłyszała pytanie jednej z nich.

– Wszystko. Po prostu wszystko – odpowiedziała druga. – Człowiek za późno mądrzeje. Wiem, że zrobiłabym wszystko, ale czasu nie cofniesz. No, nie cofniesz, a potem musisz żyć pod ciężarem wyrzutów sumienia.

Agnieszka usłyszała głębokie westchnienie.

– Matka mnie urodziła, dała jeść i jest dla mnie tak samo ważna jak... ojczyzna. Staram się jej nieba przychylić, ale... Wyobraźcie sobie, ona wcale tego nieba nie potrzebuje. Wystarczy jej, że jest jak jest. Ciągle mówi o przeszłości, nic o przyszłości.

– Zadałam to pytanie, bo sama chciałam na nie odpowiedzieć. Moja matka żyła jak chciała. Nie akceptowałam jej systemu wartości. Dla niej liczyło się tylko dobro, prawda i godność. Posiadanie i bogactwo nic dla niej nie znaczyły, i to mi z mlekiem przekazała. W dzisiejszym świecie to bzdura. Wzięłabym ją w podróż, żeby mogła zobaczyć, jak się żyje w Europie. I dopiero wtedy pozwoliłabym jej wybrać.

– A ty co wybierasz? – zapytała jedna z nich.

– Nic, na razie jestem oszołomiona możliwościami, jakie daje świat. Potem się zobaczy. Wiem jedno, na pewno nie chcę mieszkać na stałe gdzieś poza moim domem, chcę mieszkać tylko w Rosji... Ale bogatsza o podróże – dodała.

– Racja.

Kobiety się zamyśliły.

Agnieszka też. Zastanawiała się, dokąd i po co lecą. Kobiety opuściły poczekalnię, kiedy zapowiedziano, że otwiera się *gate* do Sardynii. Sama miała jeszcze kilkadziesiąt minut do otwarcia bramki. Pijąc colę, patrzyła na tłum i zadawała sobie pytania: gdzie lecą? Po co? Znalaby odpowiedzi, gdyby to było lato. Lipiec, sierpień, no, może czerwiec i wrzesień. Ale kwiecień?

Elle Spiropoulos i matka. Co się między nimi wydarzyło? Czy stary adres w Salonikach będzie aktualny? Wygrzebała z torebki listy. Znała ich treść, ale zaczęła czytać kolejny raz, jakby między wierszami chciała znaleźć ważne treści.

Kochana Danusiu!

Boję się nawet prosić o wybaczenie za tak długie milczenie. Wy tam pewnie jesteście już po ślubie? Błagam, musicie do mnie przyjechać, oboje i natychmiast. Przyjedźcie koniecznie. Ja ze swej strony (jeśli mi szybko odpiszesz) zaproszenia dla Was wyślę od ręki.

Co u mnie? Dużo pracy, muszę pracować, żeby się utrzymać. Za chwilę rozpoczną się zajęcia na studiach, a ja rozpoczynam też korespondencyjnie filologię arabską na uniwersytecie w Damaszku. Mam stypendium, i już jest lepiej. Jestem też jakby na etacie tłumacza, oczywiście języka polskiego, z greckiego. Zmieniłam mieszkanie, poprzednio to był pokój ze wspólną kuchnią na szóstym piętrze, razem z obcą mi starszą panią (nie pisałam, żeby Cię nie wystraszyć), teraz to samodzielne dwa pokoje, kuchnia, łazienka i hol, na najlepszym piętrze, pierwszym. Do mamy dojeżdżam, co parę dni, to i tak lepiej, niż gdy byłam w Polsce, a ona musiała radzić sobie sama. Trudne są takie powroty i wspólne chwile dwóch dorosłych kobiet, które rozdzielił czas. Kostasa zatrzymały w Polsce sprawy zawodowe, obronił się i od razu dostał dwa duże projekty, z których pieniądze pozwolą nam stanąć na nogi. Przyleci na sylwestra i już ze mną zostanie. Mam nadzieję, że się widujecie, on nic na ten temat nie pisze. Chociaż żyje mi się raczej dobrze, to jednak bardzo tęsknię za Kostasem, za Tobą, za Poznaniem, za Polską. Danusiu, pisz szybko, bo mało mi Ciebie. I niewiele czasu zostało do sylwestra, którego, mam nadzieję, spędzimy w Salonikach, Wy i ja, i Grecja. Czyż nie pięknie?

Gorąco Cię pozdrawiam – Twoja Elle.

Saloniki, 14 września 1981

Agnieszka z wahaniem wzięła do ręki kolejne listy.

Kochana Danusiu!

No znów nie wyszło, nawet nie wiem dlaczego. Nic nie piszysz. U mnie po staremu, wciąż czekam na Was, potrzebuję Polski, którą na pewno mi przywieziecie w papierowej torebce. Nie żartuję. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że to stan wojenny wszystko pokrzyżował. Czekam, czekam. Chyba posiwieję od tego czekania. Nadal jestem sama, to pewnie wiesz. Kostas nie zdążył i teraz czekamy, nie wiadomo na kiedy i za czym. Za życiem, generalnie. U mnie niewiele się zmieniło, tylko to, że doszła mi mama. Będzie u mnie, aż nie wydobrzeje po grypie. Zamieszkałyśmy razem i już dzisiaj chciałabym, żeby wróciła do siebie, na wieś. Ma tam swoje poletko. Moja mama w swoim charakterze skupiła wszystkie złe cechy przesiedleńca. Podupadła, a może tylko miasto jej nie służy. Wczoraj uciekła z domu, znalazłam ją na dworcu, była jak obłąkana, ostatecznie pieniądze wydałam na lekarza i wyobraź sobie, podobno nic jej nie jest. Może depresja, ale na razie trudna do zdiagnozowania. Czasem się dziwię, dlaczego akurat mnie się udaje zaliczać rok za rokiem. Jestem przecież krew z krwi mojej mamy. Jakież to dziwne. Może te doświadczenia mnie napędzają? Lekarz poddał mi dzisiaj ciekawą myśl: „Bolesne miejsca pochodzą z tego samego źródła, co psychiczna siła”. Tak powiedział. Uwierzysz? Dla mnie to brzmi wiarygodnie.

Danusiu, u nas zbierają odzież i jedzenie dla Polaków, spodziewaj się paczki, a może nawet paczek. Dodałabym butelkę naszego ulubionego wina, ale może się zbić.

Twoja Elle

Saloniki, 17 lutego 1982

Kalimera, Kochana Danusiu.

Nie wiem, co się dzieje. Paczki wróciły, poszarpane, podziurawione, brakowało w nich wielu rzeczy, ale nie to mnie najbardziej boli. Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, moja Kochana? Przecież ten adres dotyczył też Twoich rodziców. Jestem pełna złych przeczuc. Mam nadzieję, że jeśli zajęłaś się walką o wolność naszej Polski, to niebawem ziszczą się Twoje i moje marzenia. Trzymaj się tam, gdziekolwiek Cię trzymają. Oglądam telewizję i boję się, boję się, boję się! O Was!

Twoja Elle.

Saloniki, 12 kwietnia 1982

Kochana Danusiu.

Jeśli gniewasz się na mnie, że nie zrobiłam wszystkiego, żebyś mogła do mnie przyjechać/przylecieć, masz rację. Biorę to na siebie. Udało mi się, jestem w kraju, w którym po latach wreszcie ważna jest wolność. Jestem w kraju, w którym słońce kocha ludzi. Jestem w kraju, gdzie czasem brakuje wody, ale nie humoru. Ty jesteś na pewno smutna. Jestem w kraju, gdzie można tańczyć na plaży, nawet w Salonikach. Ty... tańczyłaś, ale gdy byliśmy razem. Jestem w kraju, który wiele przecierpiał, ale wciąż żyje. Nie rozpaczaj. I u Was będzie lepiej.

Kostas mieszka w Warszawie, to znaczy wynajmuje pokój, ale przecież do szczęścia potrzeba niewiele. Wcale mi go nie żal. Ostatnio zacytował mi słowa „Autobiografii” w formie monologu: „Pewnego dnia zrozumiałem, że ja nie umiem nic. Słuchaj mnie tam! Pokonałem się sam, oto wyśnił się wielki mój sen. Tysięczny tłum spija słowa z mych ust. Kochają mnie. W hotelu fan mówi: na taśmie mam to, jak w gardłach im rodzi się śpiew. Otwieram drzwi i nie mówię już nic... do czterech ścian!”[1]. Wymowne. Taki jest duch naszych czasów. Danusiu, tęsknię!

Nic nie mówiąc do czterech ścian – Twoja Elle – w świetle sztucznej choinki!

Saloniki, 23 grudnia 1983

* * *

Agnieszce ciężko było wyjeżdżać. Bo czym miała być dla niej ta podróż? Konfrontacją z lękami, z niepokojem? Ucieczką? A może wyzwaniem? Poszukiwaniem siebie czy poszukiwaniem wartości? Słabością czy siłą? Nigdy nie podróżowała sama, tym razem nakazał jej to wewnętrzny głos, a potem doszły proste pragnienia, żeby zobaczyć, zwiedzić, poznać. Była pewna, że robi to dla siebie, ale jednocześnie pełna niepokoju, czy nie popełnia błędu. Obiecała sobie, patrząc przez pryzmat matki, ale i opierając się na swoich doświadczeniach, że nie będzie unieszczęśliwiać partnerów. Ani oni jej.

Wiktor poprosił, żeby przeczytała jego książkę przed korektą i składem. Powiedział, dając jej plik kartek, że tekst bez okładki nie jest jeszcze towarem i tym samym jest bardziej osobisty, bo widać w nim autora. Nie przewidział jednak, że Agnieszka weźmie jego powieść tak dosłownie. A jeśli był szczerzy i chciał, żeby wiedziała o nim wszystko? Był bystry, błyskotliwy, lubił prowokować i z tego powodu podejrzewała go o zakulisowe działania.

Nie zdawała sobie sprawy, że przeszłość mężczyzny, którego pokochała, tak może ją boleć. Byli na początku związku, jeśli ma on krzywdzić którąkolwiek ze stron, powinien się... zakończyć? Książki nie doczytała nawet do połowy. To prawda, wiele było tam Wiktora, ale od jego obcesowej strony, o której istnieniu wołała nie wiedzieć, a w zasadzie zapomnieć. Bała się momentu wydania tej książki, pytań czytelników, opinii, konfrontacji tekstu z odbiorcą. Domysłów, czy to rzecz na faktach, w oparciu o doświadczenia autora. Powieść miała się ukazać pod pseudonimem i tylko kilka osób wiedziało, że Iwo Rusin to Wiktor Radecki. Dla niej jednak Iwo był Wiktorem i nic nie mogło tego zmienić.

Premiera kojarzyła jej się z uroczystością, z gośćmi. I tak miało być. Wiktor zarezerwował lokal w Warszawie, zaprosił przyjaciół i znajomych. Agnieszka miała mu towarzyszyć. Przedstawi ją znajomym i rodzinie. Tak powiedział, i bardzo się cieszył. To jednak było ponad jej siły. Jak stawić czoła jego kontrowersyjnej przeszłości? Nie potrafiła znieść zazdrości. Każda kobieta, która stanęła na drodze Wiktora, była jej rywalką. Zadręczała siebie myślami, a jego telefonami. Zadręczała Marcela, współnika Wiktora w hotelarskim biznesie. W domu nic jej nie szło, w firmie starała się skupić na zadaniach, ale najchętniej rzuciłaby to i pojechała do Kletna pilnować ukochanego. Jakże bolały ją jego częste wyjazdy do Warszawy, podobno po to, żeby pomóc Joli. Owszem, kobieta była niepełnosprawna, coś ich kiedyś łączyło... Ale skoro to przeszłość, dlaczego wciąż go do siebie wzywała? I dlaczego on wtedy wszystko rzucał?

Gdy kiedyś Agnieszka na weekend pojechała do „Raju”, było jeszcze gorzej. Pensjonat żył i gościł sporo ludzi, w przeważającej części były to samotne kobiety. Lepiej, gdyby „Raj” stał pusty, łapała się na głupiej myśli. To był absurd. I teraz ta książka. Wszyscy będą wiedzieć, że łąduje się w związek z podrywaczem. Nikomu nie będzie się mogła nią pochwalić, bo uznają ją za naiwną panienkę. Od kiedy rzucił ją Szymon, sama tak o sobie myślała.

Niczego nie wyjaśniła z Wiktorem, ale w końcu wzięła się w karby. Odczekała, aż wyjedzie do Warszawy, i wysłała mu SMS-a, że wyjeżdża, że musi się poukładać.

– A premiera? Co chcesz układać? – Był zirytowany. – Od ciebie zależy, jak będzie wyglądało nasze życie. Przyjedziesz do Kletna, będzie dobrze, ja przeniosę się do Poznania, będzie dobrze, zamieszkamy w Warszawie, to też jest wyjście. Jestem do twoich usług, jak wiesz. Oczywiście będę musiał zaglądać do Kletna, „Raj” zaczyna przynosić pieniądze, a jak dobrze wiesz, sporo zainwestowałem...

– Jasne.

– Najlepiej gdybyś rzuciła pracę i przyjechała do nas. Powinnaś tu być, rozmawialiśmy o tym. Jeśli potrzebujesz czasu na decyzję, poczekam, jeśli potrzebujesz go więcej, też poczekam.

I nic o sformalizowaniu związku. O książce. O przeszłości. O niespotykaniu się z innymi kobietami, nawet zawodowo.

To nie było proste. Tylko że... Gdy byli sami, było jej dobrze, bardzo dobrze.

– Potrzebuję czasu bez rozmów o nas, bez nas. Wiktor, parę dni, tydzień, dwa.

Rozłączyła się. Wiedziała, że nie oddzwoni, poinformował, jaki ma stosunek do ich związku

i koniec. Był pragmatyczny. Nie obrażał się, to już wiedziała. Nie kończył rozmów w pół słowa, jak jej się zdarzało. Czekał, a potem wracał do rozmowy, zawsze tak było.

Ewa Wilczewska, z którą Aga bardzo się zaprzyjaźniła, przypomniawszy jej, w jakich okolicznościach się spotkały.

– Kletno, stare dzieje. To, czego boisz się w tym związku, jest do wyjaśnienia. Wiktor poza tobą świata nie widzi. Aga, uwierz, twoje problemy są błahe.

Kletno to było jej pierwsze zawodowe zadanie. Uśmiechnęła się do wspomnień. Jakże różniło się od kolejnego. Tamto było jak... wakacje.

Dobrze było wiedzieć, że żadne rodzinne sztormy nie zniszczyły Ewie życia. Wyglądała kwitnąco, szczęście jest najlepszym kremem liftingującym. Miłosz zmienił firmę. Postanowili, że nie musi już tak długo pracować, że kredyt na mieszkanie spłacą w dłuższym okresie, nie muszą się spieszyć, mają przed sobą długie wspólne życie. Agnieszka się cieszyła, że są razem, jeszcze bardziej scementowani niż kiedyś. Mimo że w swojej sprawie przyznawała Ewie rację, nie mogła się wyzwolić od natrętnych myśli, że znowu...

– Błahe? Ja chcę mieć związek na całe życie, bez kryzysów, bez rozczarowań.

– Tak jakby wszyscy, których spotkałaś w „Raju”, zawierali znajomości na chwilę...

– Wiktor takie zawierał.

– Kiedyś, ale się zmienił. Znalazł tę, której szukał.

– Mówisz w ten sposób, żeby mnie pocieszyć. Ta jego książka, „Procedury seksualne”, może i ze mną je próbuje ćwiczyć? Ludzie nie zmieniają się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Przestań. Ty, humanistka, nie potrafisz odróżnić ziarna od plew!/? Chcesz postąpić tak jak Tosia? Chcesz uciec?

– To nie to samo, Tosia naważyła Jackowi niezłego piwa. Nie odwrotnie, jak u nas.

– Ale uciekasz. Kochasz go?

– Tak, przecież wiesz.

– To nie uciekaj. Nie dowiesz się, jaki on jest, jeśli uciekniesz.

– Czy mówię, że chcę wyjechać na zawsze? Chcę sprawdzić, czy mogę bez Wiktora żyć.

* * *

Aga dobrze wiedziała, że Ewa ma rację, ale emocje szły swoją drogą.

Wiktor po tamtej rozmowie jednak przyjechał do Moraska, w godzinach pracy Agnieszki. Niczego nieświadomi rodzice przyjęli go jak zawsze, jak członka rodziny.

Agnieszka wróciła do domu wieczorem. Owszem, czekała na jakiś odzew, ale nie na przyjazd. Dodatkowo nie spodobało jej się to, że Wiktor był w lepszej komitywie z jej rodzicami, szczególnie z matką, niż ona sama.

Rzuciła torebkę na kanapę i zmroziła go wzrokiem.

– Nie umawialiśmy się.

– Agnieszka! – wykrzyknęli tata i mama. Ojciec się skrzywił i podrapał po głowie.

– Dziewczyno, nie tak się postępuje. – Matka pokręciła głową z dezaprobatą i wyszła. Ojciec też ruszył się z miejsca.

– Aga, co cię gryzie? – zapytał Wiktor, gdy za Wrońskimi trzasnęły drzwi. – Chodź do mnie. – Wyciągnął ręce.

Posłusznie wstała i usiadła mu na kolanach. Przytulił ją do siebie. W jego ramionach było jej tak dobrze. Mając go obok, była spokojna, ale przecież wiedziała, że nie zamknie go w klatce. Gdyby nie był tak atrakcyjny, bogaty, mądry, pociągający, nie byłaby zazdrosna!

– Nic – odpowiedziała wbrew sobie.

– Gdzie się podziała przebojowa dziewczyna, którą poznałem w Kletnie? I dlaczego jesteś terrorystką?!

Zawstydzila się.

– Mam prawie dwadzieścia siedem lat, a wcale nie znam swojej drogi, wszystko mi się rozłązi – zaczęła się tłumaczyć, unikając konkretów. – Włożyłam mundurek i wcale nie jest mi w nim dobrze. Nic nie wiem. Czy mam dalej w to brnąć, przyzwyczaić się, czy próbować znaleźć swoje miejsce?

– Brnąć? Znaleźć? Masz na myśli nas?

– Nie.

– No, mam nadzieję.

Nie uwierzył jej, ale znów dał czas. To był ostatni dzień Agnieszki w korporacji, nikt w domu nie wiedział, że odeszła. Nikt nie wiedział jak źle się tam czuła. Miała naturę wolnego ptaka, a nie trybiku w maszynie. Dotąd wszystko jej wychodziło, nie zaliczała porażek, oprócz odejścia, a raczej zdrady Szymona. Minęły dwa lata, a to wciąż w niej tkwiło. Inaczej już patrzyła na mężczyzn, była nieufna, mniej spontaniczna, wydawało jej się, że tak zostanie na zawsze. Gdyby nie mieszkanie, a raczej kredyt mieszkaniowy, jako spadek po ich nieudanym związku, po miesiącu rzuciłaby pracę w diabły. Wytrzymała siedem miesięcy. I co dalej?

– Lecę do Grecji, to na początek. – Uznała, że powinien wiedzieć.

Wiktor wstał, był strapiony.

– Muszę już jechać. Nie chcę, żebyś czuła się ograniczana, ale pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć, na każde twoje wezwanie przylecę. Zadzwoń z drogi.

Przytulił ją tak mocno, że przeszły ją ciarki.

– Uważaj na siebie.

Gdy za Wiktozem zamknęły się drzwi, w pokoju pojawiła się mama.

– Dziewczyno, ja ciebie nie poznaję!

– Przepraszam, ale powiedz, jak się postępuje, jeśli człowiek jest zraniony i nie chce grzebać w ranie?

– Przesadzasz. Zawsze byłaś perfekcjonistką, tylko że w miłości perfekcji nie znajdziesz.

– Jak się można czuć, kiedy świat jest inny, niż się spodziewałaś? Kiedy nic od ciebie nie zależy?

– Wyjaśnia się, rozmawia. I stara się zrozumieć świat i ludzi, którzy, muszą to powtórzyć, nie zawsze są perfekcyjni.

Mama była smutna.

– Może... On ma tyle znajomych... Kobiet...

– Żyje, pracuje, zawsze będą wokół niego ludzie, jeśli o to ci chodzi. Tylko że ja jestem pewna, że to odpowiedzialny i uczciwy człowiek, i kocha cię. A ty go ranisz, podobnie jak ciebie zranił Szymon. Tylko że ty robisz to w inny sposób, z niedopowiedzeniami, co jest dużo gorsze.

Agnieszka poczuła się okropnie, jak manipulantka.

* * *

To była bardzo dobra rozmowa. Kontynuowały ją później podczas przeglądania mapy Europy i zapisków Agnieszki.

– Aga! Połowa z hoteli na tej twojej liście wygląda jakby była w budowie albo jakby tej budowy zaprzestano. Rozczarujesz się i wrócisz po jednym dniu. Zobaczysz.

– Mogę mieszkać nawet pod namiotem. To mi dobrze zrobi.

– Nie powiedziałabym. Jesteś wychowana w cieplarnianych warunkach.

– Myśląc o kanapie i o domu w sensie murów, to owszem.

– Czy ty wiesz, w jakich warunkach ludzie żyją?

- I kto to mówi? Napijesz się herbaty, mamó?
- Zmieniasz temat.
- Tak.
- To i ja zmienię. Zapomnisz Szymona, machniesz ręką na to, co ci zrobił, zaufasz. To ty musisz z tego wyjść. Wyjść, a nie uciec. W ogóle masz za co pojechać?
- Zapłacili mi za trzy miesiące, wystarczy, jeszcze zostanie. Po powrocie mogę nie mieć okazji, muszę przecież zarabiać na to cholerne mieszkanie, które jest błędem do potęgi.
- Przestań, dasz radę. Na pewno powinnaś zmniejszyć wymagania.
- Mamó! – Agnieszka rzuciła Wrońskiej ostrzegawcze spojrzenie.

Potem przyszedł ojciec i rodzice zaczęli rozmawiać o pracy dla Agnieszki. Tata się cieszył, że w końcu pomoże mu w firmie, z Joąską Zarówną tworzyłyby bardzo dobry duet. Powiedział coś, co dla Agnieszki było bardzo dołujące. Wyglądało, że rodzice przestali wierzyć w jej inteligencję i w rodzinnej firmie chcieli córkę po prostu przechować. Zachciało jej się płakać.

Też miała dość snucia się po domu i wypatrywania na twarzach rodziców zawodu, którego była sprawczynią. Budzik nie budził jej tak, jak dotąd; bywało, że w ogóle go nie nastawiała. Czuła widmo bezrobocia, słuchając rodziców i widząc ich miny. Było to nieznane do tej pory i nieprzyjemne uczucie.

* * *

W samolocie słychać było wyłącznie niemiecką mowę, Agnieszka nic z niej nie rozumiała. Dostała miejsce przy oknie, choć wołała bliżej przejścia. Obserwowała, jak skrzydło boeinga tnie cumulusy, które wyglądały jak wata cukrowa. Wylatywała z Polski w deszczu ze śniegiem, według prognoz w Salonikach miało być słońce i ponad dwadzieścia stopni. Spojrzała na zegarek: została jeszcze godzina lotu.

Dlaczego matka nie odpowiadała na listy Elle? Skoro paczki wróciły do Salonik, dlaczego w takim razie nie wracały listy? Dziwne to wszystko. I ta walka o wolność! Jakże mało wiedziała o swojej matce! Kiedyś koleżanka Agnieszki z pracy, kobieta po czterdziestce, powiedziała, że ma żal do siebie, że nie zmusiła matki, by opowiedziała jej o swoim życiu. Że po jej śmierci czuje się, jakby wisiała w powietrzu, bez znajomości własnych korzeni.

Coś w tym było.

[1] „Autobiografia”, słowa: Bogdan Olewicz

Rozdział drugi

Agnieszka bez trudu trafiła pod adres sprzed czterdziestu lat. Wyobrażała sobie to miejsce podczas podróży, idealizując je. Widziała wąską uliczkę na przedmieściach Salonik, białe mury, błękitne drzwi i okiennice o takim samym kolorze oraz opadające kaskadą z parapetów czerwone kwiaty bugenwilli. Z okien roztaczał się, rzecz jasna, widok na turkusowe Morze Egejskie. Biel, kilka odcieni niebieskiego, nieco czerwieni, minimalizm, a przy tym sielankowy obraz kanikuły. I Elle, atrakcyjna, bardzo grecka, ciepła, wciąż młoda. Zakłopotana swoim długoletnim milczeniem, którego ważny powód Aga oczywiście pozna.

Rozczarowała się widokiem. Przez szeroką ulicę trudno było przejść z otwartymi oczami. Samochody, niczym ławica ryb, ruszały jednocześnie, wyprzedzając się, jakby za chwilę miał się zawalić świat, trąbiąc jak na alarm. Z budynku, okiennic i drzwi odłaziła farba. Dom równie dobrze mógłby być opuszczony, gdyby nie to, że zza zamkniętych okiennic, mimo hałasów z jezdni, dochodziły dźwięki stukania talerzami i zapach pieczonych pomidorów. To było atrakcyjne i trochę podniosło Agnieszkę na duchu.

Wielkie oliwne drzewo pięło się po kolumnach balkonu, przykrywając ubytki w murze. Przed drzwiami do kamienicy rosły drzewka pomarańczowe i pigwowce, na dodatek świeciło słońce. Na straganie przed sklepem w kamienicy obok leżały owoce: brzoskwinie, mandarynki, pomarańcze, a wino w plastikowych butelkach kosztowało mniej niż mineralna woda w szkle. To były atuty.

Ciężkie, drewniane drzwi nie dały się łatwo otworzyć, z przeciągłym jękiem grzmotnęły o framugę, kiedy je sforsowała. Na schodach czuć było smakowity zapach pieczonej baraniny. Stała przed eleganckimi drzwiami, to była niespodzianka. Na pierwszym piętrze były to jedyne drzwi, w przeciwieństwie do parteru, gdzie Aga naliczyła trzy sztuki. Oznaczało to, że lokal był większy niż wynikało z listu z 1981 roku. Zapukała kołatką stylizowaną na gałązkę oliwną. Kiedy nikt nie otwierał, powtórzyła pukanie.

Z wyższego piętra schodziła stara kobieta, utykając na nogę, podpierając się laską. Zatrzymała się obok Agnieszki, popatrzyła na nią, ale po chwili ruszyła wolno w dół.

– *Kalimera!* – zawołała za nią Agnieszka.

– *Kalimera* – odpowiedziała Greczynka. Zatrzymała się na półpiętrze z wyczekującym wyrazem twarzy. – Pomóc? – zapytała po angielsku.

– O, tak. Szukam Elle Spiropoulos.

– Elle Spiropoulos?

– Tak, Elle Spiropoulos. – Gdy milczenie się przedłużało, dodała: – Przyjechałam z Polski.

Kobieta się zawahała.

– Skąd?

– Z Polski. Szukam jej.

– Tak?

– Przyjechałam z Polski i jej szukam – powtórzyła Agnieszka. Miała wrażenie, że kobieta nie rozumie; choć posługuje się językiem angielskim, to jednak go nie rozumie. – Z Polski – powtórzyła powoli. – Czy tutaj mieszka Elle Spiropoulos? Może mi pani odpowiedzieć?

Kobieta przecząco pokręciła głową, spojrzała na drzwi, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale otworzyła tylko usta.

– Tak? – zachęciła ją Agnieszka.

– Dowiem się, gdzie ją znajdziesz. – Nie odpowiedziała wprost. – Dowiem się, ale nie dzisiaj. Nie dzisiaj.

– Kiedy? Ile czasu to potrwa?

Agnieszka przeznaczyła na Saloniki dwa, najwyżej trzy dni. Owszem, zakładała, że pobyt w mieście może się przedłużyć, że Elle zaprosi ją do mieszkania, ugości, że będzie chciała porozmawiać, wyjaśnić. To był najlepszy scenariusz. Zakładała również gorsze, że śmiercią Elle włącznie, co w jakimś

sensie zostało wykluczone, skoro sąsiadka zadeklarowała pomoc w jej odszukaniu.

- Ze dwa dni. Postaram się dowiedzieć. Masz gdzie poczekać? Mój zięć ma hotel w pobliżu.
- Można tam coś zjeść?
- Jasne. I spać tam też można. Dwa, trzy dni.
- Dobrze, w takim razie zostawię swój numer telefonu.

* * *

Elle

Wysiadła na dworcu kolejowym po trzech dniach trudnej podróży pociągami. W Polsce była głęboka zima, ale im bliżej południa Europy, tym wyższe temperatury za oknem, a w Salonikach drzewa i rośliny budziły się właśnie do życia. Była pełna nadziei, pewna, że podjęła dobrą decyzję. Rzuciła wszystko na jedną szalę, nie z powodu pochodzenia swojej rodziny, nie dla siebie, ale dla mężczyzny... Kochała.

Saloniki miały stać się jej domem. Stamtąd pochodził Kostas. To on chciał wrócić do Grecji. Tylko w Grecji siebie widział, tylko tam mógł być szczęśliwy, w słońcu, w ładnej pogodzie, w morskiej bryzie. Widział siebie, jak projektuje Grekom domy, mieszkania i co tam jeszcze...

Elle знаła go z widzenia odkąd – jeśli czas pozwolił – zaczęła zaglądać do klubu greckiego. Choć ona sama była bardziej polska niż grecka i nie potrzebowała celebrowania zwyczajów i kultury kraju rodziców, to jednak w klubie odnajdywała część siebie. Lubiła tańczyć, śpiewać, a tam było wesoło. Elle większość życia spędziła w Polsce. To tu były miejsca, z którymi się utożsamiała, przyjaciele, studia. Z Grecji pamiętała niewiele, jakieś skrawki długiej podróży. Na czarno-białych zdjęciach z trudem doszukiwała się kolorów swojego dzieciństwa i młodości, które bardziej wiązały się z Bolesławcem i Poznaniem. Oczywiście lubiła grecką muzykę, czym zaraziła przyjaciół. Nieraz z Danusią tańczyły do kawałków Theodorakisa. Kostas był tak bardzo podobny do kompozytora z czasów młodości.

Kostas i Elle. Pierwszy raz rozmawiali na imprezie w klubie plastików. Kostas stał przy ścianie obok drzwi i pił piwo prosto z butelki. Ubrany na czarno, w luźnej trykotowej bluzie, z długimi i bardzo ciemnymi włosami, musiał się podobać. Towarzyszyła mu atrakcyjna blondynka, również w czerni. Rzucali do siebie krótkie zdania, których Elle się bardziej domyślała, ale raczej skupiali się nie na rozmowie, a na obserwacji otoczenia.

Elle umówiła się w klubie z Markiem, kolegą z czasów dziecięcych, z Bolesławca; studiował na drugim roku rzeźby. W pomieszczeniu było sino od dymu, ale lubiła tam przychodzić, odpowiadała jej atmosfera luzu i kontemplacji. Szukała Marka wzrokiem, ale nie znalazła; w niewielkiej klubowej piwnicy bawiły się tłumy. Stała naprzeciwko Kostasa i blondynki i tak jak oni obserwowała otoczenie, starając się dostrzec Marka.

Kostas wprawdzie spojrzął na Elle, gdy wchodziła, ale zaledwie omiótł ją wzrokiem, jakby ją pierwszy raz zobaczył. Poczuli się rozczarowani. Palił papierosa, wypuszczając w jej stronę kłęby dymu. Gdy jego towarzyszka poszła w stronę baru, Elle rzuciła mu wrogie spojrzenie i zmarszczyła brwi, czym widocznie zwróciła jego uwagę, bo uśmiechnął się półgębkiem i zrobił parę kroków w jej stronę.

– Któż to? Dziewczyna z Peru... – Zrobił nieokreślony ruch ręką, popiół z papierosa spadł na ziemię, Kostas potrząsnął głową. Długie, falujące włosy opadły mu na twarz. Był przystojny; pełna dekadencja, co Elle lubiła i co ją intrygowało.

Chciała, żeby ją sobie przypomniał z klubu greckiego, więc zajrzała mu w oczy. Jego wzrok parzył, ale się nie odwróciła. Zadała sobie pytanie: jeśli nie teraz, to kiedy? Odgarnęła włosy z policzka. Niedawno je podcięła, ale wciąż były długie. Gdyby się nie kręciły, jej fryzura przypominałaby fryzury Egipcjanek z czasów faraonów.

Z Peru? Też coś! Tak powiedział. Poncho, które miała na sobie, robiło wrażenie. Sama je uszyła

i sama wyhaftowała, kolorami, frędzlami i haftem rzeczywiście mogło kojarzyć się z wzornictwem południowoamerykańskim.

– Skąd jesteś, dziewczyno, skoro nie z Peru? – zapytał.

– Nawet nie wiem, jak nazywa się stolica Peru.

– Pomyśl, to łatwe. Też na cztery litery.

Nie było to łatwe. Nie lubiła geografii, map; emocjonalnie była bliżej powietrza niż ziemi. Słowa Kostasa zbiły ją z pantałyku. Ta niewiedza...

– No, pomyśl – nalegał.

Poczuła się małą pouczaną dziewczynką, to nie były dobre podwaliny pod znajomość. Przecież miała sporo tupetu! Powinna pokazać pazur.

– Mój drogi, stolicą Peru jest sztuka, a jeśli się ze mną nie zgadzasz, dam ci dobrą radę, nie pij już więcej piwa. Dobrze? – I odeszła z podniesioną głową, przeciskając się przez tłumy studentów.

Marka zastała przy barze, był już na pewno po kilku piwach, znała go dobrze, toczył z kilkoma długowłosymi facetami zacięty spór o funkcję sztuki, wcale Elle nie zauważając. Powinna się wycofać i wrócić do akademika albo... zmienić towarzystwo.

– Przepraszam, źle mnie zrozumiałaś, nie chciałem cię obrazić – usłyszała za plecami. Kostas miał naprawdę skruszoną minę. – Zgoda. Bywam ironiczny, ale walczę z tą, powiedzmy, wadą. Dasz się zaprosić na kieliszek greckiego wina? Tu jest dla nas za dużo dymu.

„Dla nas” – powiedział to. W pobliżu była restauracja Arkadia. Kostas po drodze milczał. Elle nieswojo się w tym milczeniu czuła, ale i jej żaden temat nie przychodził do głowy. Zaczęli rozmawiać dopiero, gdy usiedli przy stoliku.

– Jak znosisz życie w Polsce? W Grecji jest mnóstwo słońca, jest radość, muzyka, sztuka, wszystko. I to jest mój kraj. Nie mogę się doczekać, aż skończę studia i wrócę do Salonik.

– To kraj w jakimś sensie też i mój, ale ojczyzną jest i zawsze będzie dla mnie Polska. Nic z Grecji nie pamiętam, oprócz podróży.

– Co musiałbym zrobić, żeby Grecja stała się też twoim krajem?

– Nic. To indywidualna decyzja, indywidualne wrażenia. Albo się coś lubi, albo nie.

Zaczęli się spotykać, nawet po kilka razy w tygodniu, Elle prawie zawałiła rok. Zweryfikowała swoje poglądy na świat, na migracje, na powrót do kraju rodziców. Kostas sprawił, że zaczęła przemyśliwać o życiu w Grecji. Była zakochana.

Mogłaby odwiedzić rodzinę, jej rodzice opuścili Polskę sześć lat wcześniej. Zamieszkali w wiosce pod Atenami, skąd pochodziła większość rodziny Spiropoulos. Przysyłali zdjęcia, listy, pisali o spokoju, o szczęściu. Namawiali Elle do powrotu całe lata, na próżno. Gdy tata zmarł, nawet nie była na jego pogrzebie, bała się, że już nie wróci do Polski. Że przyjdą wyrzuty sumienia, konieczność zajęcia się mamą i niewielkim poletkiem z oliwkami czy czymkolwiek, co tam rośło. Elle nie widziała siebie na wsi, ani na polskiej, ani na greckiej.

Jednak Kostas sprawił, że przypominała sobie język przodków; to od niego dostała książkę „Grek Zorba” Nikosa Kazantzakisa w oryginale, i zaczęła czytać. *Morze, słodycz jesieni, wyspy skąpane w świetle, przezroczysty welon drobniutkiej mżawki, powlekający nieśmiertelną nagość Grecji. Myślałem, jak szczęśliwy jest człowiek, któremu dane było w życiu żeglować po Morzu Egejskim.*[2]

Zaczęła się interesować formalną stroną wyjazdu. To był szalony rok. Z Danką miały niesamowitą wspólnotę myśli. Danką, która w jakimś klubie poznała Stefana, i ona z Kostasem, stali się nierozłączną czwórką. Spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Związek Danusi i Stefana był niespokojny, podobnie jak fale rozbijające się o skały na greckich wyspach. Dana była zawiedziona zbyt zasadniczym i mało dowcipnym Stefanem i choć mogła na nim polegać, wciąż się rozchodzili i schodzili.

– Nie wyobrażam sobie życia z nim. – Danką nie kochała Stefana.

– Ja sobie nie wyobrażam życia bez Kostasa. Kocham go. Bardzo. – To Elle.

Często rozmawiali o Grecji, to był tak egzotyczny kraj, rozmowy tak ciekawe, kultura, a zwłaszcza muzyka, najlepsze. Danką i Stefan nie mogli powiedzieć nic złego o planie powrotu Elle i Kostasa do Grecji. Sami chętnie by wyemigrowali. Tyle że rozmowy o wyjazdach do krajów

kapitalistycznych w tamtych czasach były najczęściej teoretyczne. Danka nie brała na poważnie planów Elle, tymczasem Elle miała je coraz dokładniej sprecyzowane. Letnia sesja nie poszła jej dobrze, jeden egzamin musiała zdawać we wrześniu, ale nie rozpaczała.

Latem wybuchły w Polsce strajki. Mówiło się o wejściu Rosjan, o okupacji, o wojnie domowej, ale skończyło się na podpisaniu z komunistami porozumień. Była jakaś nadzieja. Wydarzenia te pomogły Elle podjąć decyzję, bała się o los Polski. Znając historię Grecji, spodziewała się i tutaj powtórzenia scenariusza.

Na początku września przyszedł do Elle list z Salonik. To był szal, została przyjęta na uniwersytet, na pierwszy rok greki! To było to, ta wiadomość przechyliła szalę. Kostasowi został ostatni rok studiów, musiał je zakończyć w Polsce. Elle była jednym wielkim dylematem, ale przekalkulowała to dokładnie.. Jeśli wyjedzie, zacznie studia w Grecji i będzie rok do przodu. Pozostało jej niewiele czasu, strach i... świadomość, że ma na wyjazd małe szanse, bo nie posiada żadnych oszczędności.

To Danka jej wtedy pomogła, wzięła studencką pożyczkę i zlikwidowała książeczkę mieszkaniową. Kostas też się dołożył, ale niewielką kwotą. Za wszystko kupiły dolary. A potem topiły smutek w alkoholu, widywano je w knajpach w centrum miasta, a także w hotelu Naramowice.

Ostatnią sobotę przed wyjazdem postanowiły spędzić same. Wybrały restaurację Arkadia, gdzie często bywali we czwórkę. Zamówiły po piwie i usiadły przy stoliku przy oknie. Elle była nienaturalnie wesoła, roztaczała przed Danką wizję jej szybkiego przyjazdu do Grecji, potem posmutniała, Dana też. Kolejne piwo nie poprawiło dziewczynom nastroju, wręcz przeciwnie, uroniły sporo łez.

Pod arkadami, za oknem, przy którym siedziały, przystanąło kilku długowłosych chłopaków. Jeden z nich nie spuszczał wzroku z Elle, najwyraźniej ją znał. Zapukał w szybę i uśmiechnął się od ucha do ucha, wyszczerzając nierówne zęby.

Elle wzruszyła ramionami.

– Jejka. Znowu ten debil z roku Kostka! Żeby tylko się nie przykolegował, bo go organicznie nie znoszę.

Paweł (tak było na imię debilowi) zostawił rozdyskutowanych kolegów, a sam pojawił się przy stoliku. Omiótł wzrokiem Danusię.

– Kostas też będzie?

– Nie.

– I wy tak same, bez opieki?

– Weź, to nawet nie jest dowcipne. – Elle wzruszyła ramionami.

– Takie ładne dziewczyny same... Płakałaś? – Spojrzał na Elle, próbującą zetrzeć łzę toczącą się po jej policzku.

– Zniknij, dobrze? – Nie wytrzymała.

– Daj spokój, nic wam nie ubędzie, jak chwilę pogadamy.

Paweł zapukał w szybę i przywołał kolegów. Przyszło dwóch.

– Dziewczyny, to jest Piotr, trzeci rok grafiki, a to Krzysztof, ostatni rok malarstwa – przedstawił.

– Możemy się przysiąść? – zapytał Krzysztof.

Danka była oszołomiona Krzysztofem, jego wyglądem. Jakże był różny od Stefana. Miał długie ciemne włosy, wypielęgnowane, błyszczące, krótką bródkę i przenikliwe spojrzenie jasnych, prawie błękitnych oczu. Ciemne ubranie, spodnie szwedzkie i długa czarna marynarka, bardziej surdut, dopełniało obrazu artysty, mężczyzny z charyzmą.

Stefan tymczasem był zawsze krótko ostrzyżony, gładko ogolony, co nie było modne, zawsze przygotowany do zajęć, żaden z niego był luzak. Danka z niechęcią przywołała obraz dobrze uprasowanych spodni i różowej koszuli z niemodnym kołnierzykiem. Mijał się z duchem czasu i wcale nie zamierzał tego zmieniać.

Krzysztof, atrakcyjny, zaskakujący, o ciekawych poglądach, nieco bezczelny, miał niewątpliwie rozwichrzoną duszę, był artystą. Od razu jej się spodobał, i to najwyraźniej z wzajemnością, bo siedząc obok, nie spuszczał z dziewczyny wzroku.

– Idealne rysy, idealne proporcje, zachwygam się, wolno mi – powiedział jej do ucha

przyciszonym głosem. Po ciele Danki przebiegł dreszcz.

Była ładna, wiele osób jej to mówiło. Że ma szlachetną urodę, regularne rysy, piękne oczy i kształtne usta. Na twarz opadała jej burza długich, ciemnych, prostych włosów, czesanych z przedziałkiem na środku głowy. Była nieco wyższa od Elle, ale niewiele. Obie były atrakcyjne, budziły zainteresowanie, gdziekolwiek się pojawiły. Danka ubierała się ekstrawagancko; obie z Elle same projektowały i szyły sobie ubrania, które się wyróżniały i budziły zazdrość koleżanek. Danka miała na sobie czarną, długą do ziemi sukienkę z dzianiny, ozdobioną bardzo kolorowym haftem na dole i przy rękawach o kształcie kielicha. Sama ją uszyła i wyhaftowała. Na palce włożyła kilka dużych srebrnych pierścieni; najbardziej rzucał się w oczy wielki, o kształcie podkowy; na jej nadgarstkach przy każdym ruchu pobrzękiwały srebrne bransolety.

– Dziękuję – odpowiedziała zawstydzona.

Była na rozdrożu, nie wiedziała, co dalej ze Stefanem. Kategorycznie odrzuciła jego przeprosiny. Nie miał jej za co przeproszać, ale często to robił, bo ona wciąż była obrażona. Za całokształt, za to, że się przy niej wciąż kręcił... Mógłby już dać sobie spokój. To nie był facet dla niej, ale innego nie było na jej sfeminizowanym roku. Wszyscy wiedzieli, że są parą, zatem żaden nie odważył się do Dany zbliżyć.

Co innego Krzysztof, nie znali się, a Stefana tym razem przy niej nie było.

Zamówili butelkę wina Cotnari, to była inicjatywa Krzysztofa, ale idealnie trafiła w gust Danki. Elle była wściekła, nie podobały jej się maślane oczy przyjaciółki; ostatnie chwile w Polsce chciała spędzić tylko z nią. Dla Danki to był wspaniały wieczór, przedłużała go w nieskończoność. Zapomniała o Elle, o pożegnaniu.

Dla niej ten wieczór był powitaniem.

– Elle, przed przeznaczeniem się nie ucieknie – powiedziała, kiedy się rozstawały na placu Wolności. – To moje przeznaczenie. On.

– Rzucasz się na faceta, a w ogóle go nie znasz! I od razu zakładasz, że to nie wiadomo co. Najpierw załatw sprawy ze Stefanem, on cię bardzo kocha, świata poza tobą nie widzi, zranisz go.

– Przesadzasz. Sama się nim zainteresuj.

– Nie tak sobie wyobrażałam nasze ostatnie chwile razem. – Elle miała strapioną minę.

Tę noc Danka spędziła z Krzysztofem w pracowni malarstwa na uczelni. Krzysztof nanosił jej kształty na płótno, a ona, pozując, przysypiała, być może od nadmiaru wrażeń, być może z powodu Cotnari. Leżała na podwyższeniu z desek, owinięta w kawał szarego lnu. Nad ranem wyszli upaprani gipsem i farbami. Zakochani.

Potem było pożegnanie Elle w klubie greckim, łązy Elle, Kostasa i Stefana na dworcu Poznań Główny. Danka nie pojawiła się ani w klubie, ani na dworcu. To Kostas przyniósł wiadomość, że od paru dni mieszka z Krzyśkiem w akademiku, skąd w ogóle nie wychodzą.

Elle całą kolejową podróż do Grecji miała w oczach rozpacz Stefana, gdy się dowiedział o Krzysztofie. Była zdruzgotana. Nie tak rozumiała miłość, przyjaźń i lojalność. To, jak postąpiła Dana, było dla niej gorzką pigułką, trudną do przełknięcia. W jakimś sensie się na niej zawiodła.

W Salonikach dokuczała jej samotność, nie знаła nikogo, a samo miasto wcale nie było przyjazne. Pogoda również nie rozpieszczała; Elle całe dni nie widziała słońca. I wcale nie było tanio. Z oszczędności jedną noc spędziła na dworcu, kolejną na korytarzu uczelni. W końcu opłaciła miejsce w podłym hotelu, w kilkusobowym pokoju, gdzie mogła się wreszcie wykąpać.

Pieniądzy wystarczyło na krótko. Cóż mogła Dance napisać? Na pewno nie dołączając prawdę. Miała do przyjaciółki moc pretensji, ale przecież to Dana poratowała ją pieniędzmi. Dzięki niej mogła dojechać do Salonik i przeżyć parę dni...

Od połowy października przydzielono dziewczynie niewielki pokój ze wspólną kuchnią i łazienką, w bloku, niedaleko centrum miasta. Musiała opłacać koszty pokoju, wyżywić się i kupić książki, podejmowała więc dorywcze prace, a na uczelnię chodziła pieszo. Przed wydaniem każdą drachmę oglądała z dwóch stron.

Po paru miesiącach jej sytuacja uległa poprawie. Dostała stypendium za dobre wyniki w nauce

i znacznie lepszy lokal. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na zbytki, spróbowała *plieskavicy* i serów, najbardziej smakował jej *Kayseri*. Zajadała się papryką faszerowaną fetą, oliwkami i czosnkiem, odkryła pikantną pastę z fety, oliwy i zielonego pieprzu. To było wielkie „coś”. Gdy wyjeżdżała, w Polsce na sklepowych półkach straszył ocet, a po paczkę wafelków o smaku kakaowym stała trzy godziny w sklepie na placu Wolności.

Pewnego dnia, po paru miesiącach mieszkania w wygodnym mieszkanku, gdy wracała z zajęć, pod drzwiami swojego domu zastała matkę. Obok stała niewielka tekturowa walizka. Okazało się, że matka zachorowała na reumatyzm, już w Polsce się uskarżała, praca na roli była dla niej za ciężka. Wpadła na pomysł, żeby poszukać czegoś w mieście, jednak poza sprzątaniami i prostymi pracami fizycznymi niewiele potrafiła.

Elle nie była z matką zbyt blisko, więc bez entuzjazmu zgodziła się, żeby u niej zamieszkała. Rzadko rozmawiały, Elle późno wracała z zajęć i z pracy; parę razy zastała matkę płaczącą. Nie podobało jej się sprzątanie u ludzi, praca przy taśmie ją nużyła, nigdzie nie potrafiła dłużej zagrzać miejsca, nie tak wyobrażała sobie życie w mieście. Była marudna i nieszczęśliwa. Elle miała wyrzuty sumienia, starała się naprawić ich relacje, ale kiedy po paru miesiącach matka postanowiła wrócić na wieś, odsapnęła. Jednak nie przyniosło jej to ulgi ani szczęścia. Brakowało jej Kostasa, przyjaciół z Polski i wciąż pieniędzy.

W takiej właśnie kolejności.

* * *

Hotel był niewielki, nie oferował luksusu. Na zielonkawych okiennicach w kilku miejscach widać było poprzednią warstwę białej farby. Jednak to nie miało dla Agnieszki znaczenia. Powinna się zameldować, zostawić bagaże w pokoju, wziąć prysznic, wyjąć z walizki lekkie rzeczy, jednak trwała właśnie sjesta i w recepcji nikogo nie było, więc skierowała się do tawerny, która mieściła się na tyłach hotelu.

Zaskakujący tłum kłębił się przy stolikach, śmiano się, rozmawiano, nikomu się nie spieszyło. Przeważali mężczyźni, ale Elle dostrzegła również kilka młodych Greczynek; w dużej, hałaśliwie grupie pod oknem rozpoznała turystów. Dwie stare kobiety w czarnych chustach na głowie zaglądały do środka.

Agnieszka dosiadła się do młodej dziewczyny w czarnym trykocie i czerwonej chustce na głowie, która miała ujarzmić bujne, kręcone ciemne włosy. U stóp dziewczyny stał plecak z mnóstwem plaketek, jakie można było kupić w informacjach turystycznych. Dziewczyna przeglądała coś w smartfonie.

– Czy mogę? – uśmiechnęła się do niej Agnieszka.

– Jasne. – Greczynka odwzajemniła uśmiech.

Minęło parę dobrych minut zanim kelnerka przyniosła kartę. Kobieta miała tak dużo włosów, że ledwie zmieściły się w wąskich drzwiach na zaplecze.

Do stolika, przy którym siedziały, podszedł bezzębny staruszek. Odsunął sobie krzesło i już miał usiąść, ale przeszkodziła mu czarnowłosa dziewczyna. Oburzony mężczyzna zamachał rękami.

– Wygrał na loterii obiad w tej restauracji. – Dziewczyna po angielsku przekazała informację Agnieszce.

– To miał szczęście – skwitowała Agnieszka grzecznościowo.

– No nie wiem, zaraz się okaże, czy miał szczęście, jak mu przyniosą zarcie. Jadłaś już tutaj coś?

– Nie. Dopiero przed chwilą wylądowałam w Salonikach.

– Pierwszy raz w Grecji?

Agnieszka skinęła głową.

– A ja od urodzenia – zachichotała dziewczyna. – Jestem Atena Belojanis.

— Agnieszka Wrońska. Masz bardzo symboliczne imię. Coś wiem o greckich bogach. W liceum się uczyliśmy.

— To fajnie. U nas praktycznie nie nadaje się dzieciom obco brzmiących imion, jedna z tradycji zobowiązuje, żeby dziecko nosiło imię po babci albo po dziadku.

— Musiałabyś zobaczyć jaki u nas jest.... „miszmasz”. – Aga ostatnie słowo dodała po polsku.

— Co to: „miszmasz”?

— Bałagan.

Atena zaczęła się śmiać i powtarzać: miszmasz, miszmasz.

— Dobrze mówisz po angielsku. Skąd jesteś? – zapytała, gdy opanowała wesołość.

— Z Polski.

— O, wiem, wielu Greków stamtąd kiedyś wróciło.

Staruszek kręcił się po tawernie w poszukiwaniu miejsca. Nie znalazł i znów zatrzymał się przy stoliku dziewczyn.

— Idź już, idź. – Kelnerka z burzą włosów na głowie popchnęła dziadka w stronę innego stolika.

Przestraszony zrobił parę kroków i zniknął w drzwiach. Agnieszce zrobiło się go żal, przez chwilę za nim patrzyła, w końcu wzięła do ręki kartę dań. Greckie nazwy nic jej nie mówiły.

— Co by tutaj... – Rozejrzała się po sąsiedzkich stolikach.

— Weź *arni me domates*[3] – odpowiedziała Atena, widząc jej niezdecydowanie. – Wszyscy to biorą, ja zresztą też. Zawsze w restauracji zaglądam ludziom do talerzy. Bardzo się to nie podoba mojemu chłopakowi i moim rodzicom, mówią, że tak nie wypada. Tyle że oni miewają kulinarne wpadki, a ja rzadko się nacinam. – Dziewczyna zaczęła się głośno śmiać, czym zaraziła Agnieszkę. – To mówisz, że wylądowałaś niedawno w Salonikach...

— Trzy godziny temu. – Agnieszka spojrzała na zegarek. – Jestem, jakby to powiedzieć, zupełnie zielona w temacie miasta. Zaplanowałam wyjazd *ad hoc* i zobaczymy, jak to mi wyjdzie. Dotąd nie podróżowałam sama.

— To podróż bez celu? Ja takie najbardziej lubię.

Agnieszka się uśmiechnęła.

— Nie jest bez celu. Szukam przyjaciółki mamy, która mieszkała kiedyś w Salonikach. Jej adres mam z ostatniego listu do mamy, a on, wyobraź sobie, jest jeszcze z początku lat osiemdziesiątych.

— To mnie jeszcze wtedy nawet nie było na świecie.

— Mnie też. Okazuje się, że nie pójdzie mi to tak, jak myślałam. Wyobrażałam sobie, że się spotkamy, porozmawiamy, a potem pojedę w dalszą drogę, a tu nic z tego. Ta kobieta niby wciąż tam mieszka, ale nie wiadomo, kiedy będzie.

— No wiesz, ludzie podróżują, nie siedzą w domach cały czas.

— To wiem. Ale miałam nadzieję.

— A dlaczego w ogóle szukasz tej kobiety?

To było dobre pytanie. Nigdy go sobie nie zadała.

— Czy ja wiem? Robię to dla mamy. Tak myślę... – dodała.

— Może lepiej, żeby to twoja mama jej poszukała. Bo co ty jej powiesz? Co ona ci powie? Już dawno wyprowadziłam się od rodziców i dzięki temu wcale im nie przeszkadza, że jeżdżą po świecie.

Kelnerka postawiła na stoliku dzbanek z wodą, szklanki i dwa talerze. Jagnięcina parowała, karczochy wyglądały smakowicie. Dziewczyny zabrały się za pałaszowanie. Mięso rozpląywało się w ustach, a karczochy miały bardzo ciekawy smak.

* * *

Agnieszka myślała o tym, co powiedziała Atena: żeby mama sama poszukała Elle. Jasne! Uwagi

Ateny miały jednak sens, rzeczywiście, co powie Elle? Dzień dobry, *kalimera*, a potem?

Niewątpliwie chciała zadać jej kilka pytań. Na przykład, dlaczego nigdy nie wypełniła zobowiązania wobec mamy? Bała się jednak, że to zabrzmiałoby jak zarzut. Nie chciała tak. Więc może zapyta, dlaczego Elle tyle czasu milczy? Problem w tym, że niekiedy na takie pytanie trudno odpowiedzieć w jednym zdaniu. Dlaczego nigdy nie przyjechała do Polski, dlaczego nie szukała kontaktu? Sporo tych „dlaczego”.

– Wiesz – Atena na pewno miała w oczach lampy rentgenowskie – po tylu latach nic nie jest takie samo, a każda znajomość może umrzeć, nie tylko ta chora czy osłabiona. Znajomości, jak i ludzie, czasem schodzą ze starości. Znajomości, jak ludzie, chorują na amnezję, na Alzheimera, na raka. Jeśli ktoś się nie odzywa, to znaczy, że umarł albo znajomość z nim umarła.

– Może z jakichś powodów ten ktoś tylko zawiesił znajomość... To chyba nie jest takie proste. A jednak, jak i w życiu, leczy się wiele przypadków. I, tak jak w życiu, jeśli coś ci dolega, wolałabyś znać diagnozę, prawda?

– Jasne... – Dziewczyna się zamyśliła.

– Moją mamę to do dzisiaj obciąża emocjonalnie...

– No, w sumie rozumiem. Dobrze, że cię spotkałam. Ciekawa jesteś. W drodze spotyka się i takich, i takich, ty jesteś ciekawa. Polubiłam cię.

– Dobrze! Aż tak długo podróżujesz, że zgromadziłaś paletę różnorodnych doświadczeń?

– Nie, jeżdżę od paru lat, parę tygodni, dwa razy w roku. Teraz jestem w długiej podróży przedślubnej, a mój chłopak grzecznie czeka. – Zaczęła się śmiać. – Nachyliła się do ucha Agnieszki i szepnęła: – Mam dwadzieścia cztery lata, ale nie czuję się dorosła. Boję się zamknąć w ryzy, małżeństwo, te rzeczy... Nie pracowałam jeszcze na stałe. Zatrudnię się na tydzień, dwa w miesiącu, prace dorywcze, to mi na razie wystarczy. Rodzice też podróżują i podobnie żyją. Jesteśmy nieco dziwnymi Grekami.

– Moja mama nie lubi jeździć, niechętnie odkrywa prawdę i świat. Jest, jakby to powiedzieć, trochę załamana. To część odpowiedzi na twoje i moje pytanie, dlaczego to nie ona szuka przyjaciółki.

– Rozumiem. Zostajesz dłużej w Salonikach?

– Nie, ze dwa, trzy dni, to się okaże. Potem ruszę dalej.

– Dokąd potem?

– Jakaś wyspa. Chcę posiedzieć na ciepłej plaży.

– U was pewnie z pięć stopni?

– I śnieg z deszczem.

– Kiedy masz zamiar wracać do Polski?

– Za tydzień, dwa?

– No, masz rację, wygrzej się. Saloniki nie zachwycają, zbyt mało tutaj zieleni, mnóstwo cementu.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka.

– Podać coś jeszcze?

– Może wino? – zaproponowała Atena. – Widzę w karcie, że jest tutejsze, beczkowe.

– Nie, może innym razem, zasnąłabym z głową na stoliku.

– Frappe? To tutejsza kawa.

Pijąc zimny napój z gęstą pianką, prowadziły rozmowę.

– Wybieram się na Kretę – oznajmiła Atena. – Potem polecę na Korfu, tej wyspy w ogóle nie znam. Na Krecie za to byłam kilka razy, ale tym razem wraz z ciotką, która mieszka w Heraklionie, pojedziemy do Plaki, a stamtąd przepłyniemy na Spinalongę, wyspę trędowatych. Nigdy jej nie widziałam.

– Ciekawe. Szkoda, że i ja nie mam jej w planach.

– To kolonia sprzed wojny, taki skansen. Czytałam na ten temat. Chorzy tam normalnie żyli, w bólu, ale normalnie, to dziwne, ale wielu z nich dopiero tam odnalazło szczęście. Niektórzy przeżyli, doczekali się lekarstwa.

– Wiesz, i ja po trosze wyjechałam, żeby nie być nieszczęśliwą.

– Tak... Coś w tym jest. Gonisz za szczęściem, wypatrujesz go i znów gonisz, a okazuje się, że ono jest za rogiem. Czasem podróż ci to uświadamia.

Rozstały się, wymieniając się numerami telefonów. *Może, gdzieś po drodze, może nie przypadkiem... Zdzwonimy się.*

* * *

Agnieszka szybko załatwiła formalności w hotelu. Dimitri, zięć kobiety, którą spotkała na schodach przy mieszkaniu Elle, okazał się komunikatywny i z tego wszystkiego wynajęła najdroższy pokój: z widokiem na miasto, z balkonem od strony ogrodu. Spodobał jej się, ale miała do siebie pretensje, że dała się namówić. Przyjechała na chwilę, a ten lokal był dla ludzi zatrzymujących się na dłużej. Oczywiście Dimitri chciał jej zaraz wynająć auto, kusił obniżką ceny, pełnym bakiem i atrakcyjnym ubezpieczeniem. Zachwalał zręczność autka. Wyciągnął mapę, na której pozaczał ciekawe miejsca w okolicy. O samym mieście też sporo opowiedział. Tym razem skutecznie odmówiła, choć już zaczynała się łamać.

Nie rozpakowawszy nawet walizki, napuściła sobie wody do wanny. Było jej dobrze; wyszła dopiero, kiedy zaczęła przysypiać. W łóżku senność minęła, Agnieszka usiadła na balkonie i wsłuchiwała się w dźwięki miasta. Słyszała tylko to, co ładne, śpiew drozdów i słowików oraz muzykę sąsiednich kuchni. Nie słyszała szumu ulicy. Myślała o sobie, o tym, że powinna zaufać. Była rozpieszczona, jako jedynaczka nie musiała się z nikim dzielić uczuciami.

Postanowiła odsłuchać rozmowę z matką, którą odbyły jakiś czas przed wyjazdem. Agnieszka parę miesięcy temu zaczęła ją nagrywać. Wstydziała się tego, ale to był jakiś sposób, gdyby matka znów zaczęła pić... Włączy jej wtedy nagrania, pokaże, jaka jest niekonsekwentna.

– Aga, Wiktor...

– Mamo, nie masz punktu odniesienia, nudzisz się w domu, musisz z tym coś zrobić! Mamo!

– Jak myślisz? Co?

– Zaczynaj studia podyplomowe, zapisz się na uniwersytet trzeciego wieku.

– Nie żartuj. To getto dla starych ludzi.

– Nawet nie wiesz, co mówisz. Są tam ludzie, którzy czymś się interesują, chcą coś dla siebie zrobić. Nie wstydz się wieku, wstydz się nicnierobienia.

– To nie dla mnie, niezbyt dobrze się czuję w damskim towarzystwie.

– Przecież miałaś jakieś koleżanki, przyjaciółki.

– Ile razy mam ci powtarzać? Miałam jedną przyjaciółkę i to mi wystarczyło. Przyjaźniłyśmy się od czasu liceum. Potem, na studiach, spotykałyśmy się minimum raz na trzy dni, mimo że ona studiowała historię, a ja etnografię. Czasem było nas więcej, bo Elle miała mnóstwo koleżanek. Nieraz byłam o nie zazdrosna. Spotykałyśmy się, piłyśmy wino, gadałyśmy o duperelach, było bardzo wesoło.

– Zmarła?

– Tak jakby.

– Czyli co?

– Wyjechała z Polski. I tyle.

– Kiedy to było?

– Pod koniec lat siedemdziesiątych. Byłyśmy głupie. Spotykałyśmy się najczęściej w akademiku i godzinami gadałyśmy z koleżankami, jakich to głupot nie chciałybyśmy w wykonaniu naszych przyszłych mężów. Mój tata, a twój dziadek, gotował kiedyś zupę owocową na kościach albo innym razem, gdy chciał mi zrobić niespodziankę, próbował stworzyć rosół z margaryny i warzyw. Elle miała problem ze swoimi rodzicami. Nie brała udziału w takich dyskusjach. – Wrońska zamilkła. – A potem

wyjechała... – dodała po chwili.

– Jeszcze mi, mamuś, powiedz, że tak to zostawiłaś. Świat jest mały, popytaj koleżanek sprzed lat, odszukaj ją.

– Kiedyś próbowałam, ale nikt o niej nic nie wiedział. Ani koleżanki ze studiów, ani wspólni znajomi, pytałam, dowiadywałam się, w końcu przestałam. To stare dzieje.

– Jak się nazywała?

– Elle Spiropoulos.

– Nie zmyślaj, skąd takie nazwisko?

– Mówiłam. Była Greczynką.

Kontynuowały rozmowę w restauracji Fortezza. To było ich pierwsze wspólne wyjście, takie babskie. Zjadły pesto bazyliowe i już od tego zrobiło im się lepiej na duszach. Wracając w dobrych humorach, Agnieszka skręciła w ulicę Jasna Rola, zatrzymała auto i wysiadła.

– Zapraszam, mamu – uśmiechnęła się, wskazując na fotel kierowcy.

– W życiu!

– Nic tędy nie jeździ, co parę metrów masz szykany, nikt się nie rozpędzi i w nas nie walnie. Jesteś bezpieczna.

Matka usiadła za kierownicą.

– Powiedz mi chociaż, który to pedał gazu, a który hamulec.

Agnieszka o mało nie parsknęła śmiechem.

– Sama sobie przypomnij, tego się nie zapomina.

Wrońska włączyła gaz i, biorąc pod uwagę, że nie siedziała za kierownicą całe lata, ruszyła całkiem sprawnie.

– Wejźmy na cmentarz, zapalę lampkę Krysi – zaproponowała. Agnieszka wiedziała, że to wybieg, żeby nie jechać, ale zapytała:

– A ta Krysi to kto?

– Koleżanka ze studiów, umarła osiem lat temu na pogrypowe powikłania.

– Tylko umawiamy się, że dowiesz nas do domu.

Agnieszka też nie miała przyjaciółek ze szkół, ze studiów. Koleżanki owszem, ale to nie były przyjaciółki. Na studiach była Olka, ale znajomość nie przetrwała. Czasem wymieniły parę zdań na temat innych koleżanek, czasem się spotkały grupą w knajpce, ale to wszystko. Kiedy Agnieszka rozstała się z Szymonem, Ola próbowała kilka razy się kontaktować, ale Aga nie oddzwoniła. Potem było Kletno, wyjazdy, sporo atrakcji, i nagrania Oli na sekretarce poszły w niepamięć. Dopiero Ewę mogłaby nazwać swoją przyjaciółką.

Wracały z cmentarza na drogę.

– Elle była Greczynką i po prostu postanowiła wrócić do Grecji, do Salonik konkretnie. Dostałam od niej parę listów... – powiedziała mama. – Potem już nie odpisała.

– Może jej list gdzieś się zawieruszył albo coś. Pomyślałaś, żeby polecieć do Salonik, żeby poszukać?

– Nie. Po co? Skoro ona mnie nie szukała? – Wrońska wzruszyła ramionami. – Nie lubię się nikomu narzucać.

Zapadła cisza. Dla Agi to było zaskakujące wyznanie. Też miała w sobie coś chłodnego, jakiś dystans do ludzi, to jej przeszkadzało. Wiktor miał rację, mówiąc, że powinna samą siebie zapytać, czego chce. Na pewno nie chciała całe życie tworzyć dystansów.

– Niestety, jestem w tym do ciebie bardzo podobna, boję się zranienia. Tylko że u ciebie postrzegam to jako wadę, u siebie jako zaletę.

– Nie strasz mnie! Przecież dzwonią do ciebie dziewczyny. Słyszę, jak rozmawiacie.

– Coraz mniej. Kiedy zostawił mnie Szymon, obydwie wydzwaniały, powiedziałam Joasi, co się stało, a ona uznała, że za łatwo mu odpuściłam. Że nie powinnam pozwolić się spławić. Prawie się pokłóciliśmy. Ola też pewnie miała jakieś złote rady, też nie chciało mi się jej słuchać. Po co? Żeby się kłócić? Joaska dłużej nie dawała za wygraną, ale wiesz, jak to jest, ja raczej nie potrafię rozmawiać

o niczym. Musi być ważny temat, inaczej marne szanse. A wiadomo, jak to jest: będziesz ignorować, zapominać, nie będziesz pielęgnować, to się skończy znajomość, bo nikt nie będzie się o ciebie w nieskończoność starał.

Wrońska milczała.

– Wiesz, mam, tylko jedno nas różni: jak nie mam nic do roboty, to się rozpadam.

– Masz na myśli to, że piłam? Że piję, że jestem alkoholiczką?

– Nie jesteś. Nie pijesz już trzy miesiące...

– Alkoholikiem jest się do końca. Czy pomyślałaś, że może przy innym mężu, mniej wyrozumiałym, byłabym jeszcze gorsza? Jestem słaba i muszę z tym walczyć. Nie wiem, czy tata byłby szczęśliwy z silną kobietą, on potrzebuje się mną opiekować. Ja to widzę. Wiktor też cię nie zawiedzie, zobaczysz.

– No, wiem, jestem trochę narwana. Może mi to przejdzie.

– Pamiętaj, że masz nas. Ja kiedyś nie miałam się na kim oprzeć, a był czas, że bardzo tego potrzebowałam. Ty teraz potrzebujesz być z rodziną, zwłaszcza że musisz jakoś stanąć na nogi.

– Mamo, to nie tak.

– A jak?

– Po prostu daj mi te listy od Elle.

– No jasne. Tylko po co?

– Chcę je przeczytać.

I nic więcej, nic o rodzącym się planie wyjazdu do Salonik w poszukiwaniu Elle.

– Po co? – powtórzyła pytanie Wrońska.

– Dla zaspokojenia ciekawości.

Elle Spiropoulos. To był pretekst!

Agnieszka wyłączyła nagranie i spojrzała za okno. Otworzyła okiennice na oścież, włożyła do prądu wtyczkę ze środkiem przeciwko moskitom, po czym błogo zasnęła.

* * *

Obudziły ją słoneczne promienie i już od pierwszej chwili poranka poczuła się szczęśliwa. Włączyła telefon, na wyświetlaczu pokazało się sporo nieodebranych połączeń od Wiktora i mamy. Zrobiła zdjęcie okolicy z balkonu i przesłała je najbliższemu. Kiedy brała prysznic, telefon zabrzączał po raz kolejny i znów wyświetliło się zdjęcie mamy.

Następne dni minęły Agnieszce na oczekiwaniu telefonu lub wiadomości od Elle. Pojechała na uniwersytet, na którym kobieta studiowała, jednak nikt jej tam nie pamiętał, a sprawdzić w rejestrach nie chcieli. Nie mając nic lepszego do roboty, Agnieszka postanowiła poszpendać się po Salonikach. Jak się dowiedziała, miasto założone zostało około 315 r. p.n.e przez króla Macedończyków Kassandra, a nazwano je na cześć jego żony Tessaloniki. Zwiedziła położoną przy promenadzie Białą Wieżę, była na placu Arystotelesa, gdzie wszystko zbudowane zostało jak w lustrzanym odbiciu. Stamtąd trafiła na targ, a potem, przez przypadek, do klimatycznej żydowskiej dzielnicy Ladadika. Lubiła takie miejsca, łażąc bez planu, miała wrażenie, że poznaje miasto od środka.

Przysiadła w knajpcie, zamówiła kawę i sącząc ciemny, gęsty płyn, który od razu postawił ją na nogi, przyglądała się życiu ulicy. Czowała się znakomicie. Samotność dobrze jej robiła. Na razie stać ją było jeszcze na zbytki; stołowała się w dobrych restauracjach, wybierając z karty typowe greckie potrawy. Pierwszy raz spróbowała *plieskavicy*[4] i *kalokythopity*[5], powtórzyła jedno i drugie, bo było tak dobre.

Przez dwa dni wykazywała cierpliwość, ale kiedy trzeciego sprawa Elle nie posunęła się do przodu, o mało się nie załapała różowym moschofilero w hotelu.

Pod wieczór, kiedy już zabukowała i opłaciła pobyt na kolejny dzień, okazało się, że sąsiadka i jej zięć hotelarz po prostu ją oszukali. Wiedzieli, że Elle nie ma w domu, i musieli wiedzieć, że nieprędko się tam pojawi. Agnieszka miała moc pretensji, więc na pociechę hotelarz podał jej adres kogoś, kto o Elle podobno wie więcej. To był Kostas Skolias.

Przez telefon zapytała matkę, czy go zna.

– Kostas, no jasne! Jakież świat jest mały. Moja córka jedzie pierwszy raz do Grecji i od razu spotyka Kostasa! To na pewno on! W jaki sposób go poznałaś?

– Przez przypadek, dużo by opowiadać – skłamała Agnieszka.

– Kostas to chłopak mojej przyjaciółki Elle.... – Głos Wrońskiej zdrzął wzruszeniem. – Wiesz, o kim mówię? Opowiadałam ci o niej. Elle, listy od niej ci dałam – dodała, gdy Agnieszka myślała nad w miarę wiarygodnie brzmiącą odpowiedzią.

– A tak, choć mgliście to sobie przypominam.

– Kostas to jej chłopak – powtórzyła matka.

– Mamo, nie akcentuj tak słowa „chłopak”, bo to raczej dojrzały chłop, nie żaden chłopak! Latka przecież lecą!

Znowu dostało się mamie, chodź Agnieszka wiedziała, że nie powinna tego robić.

* * *

Wieczorem kilkanaście minut zajęło Agnieszce ściągnięcie specjalnego programu na smartfon i sprawdzanie połączeń lotniczych. Korfu to był jej kolejny cel. Perspektywa wyglądała zachęcająco, ale proza okazała się okrutna: tylko godzina lotu z Salonik, a bilet kosztował, jakby leciała na Wyspy Kanaryjskie.

Miała sporo czasu, powinna być na lotnisku dopiero następnego dnia po dziewiętnastej, ale z hotelu wymeldowała się już rano. Dimitri nie wyglądał na skruszonego. Życzył jej miłego pobytu, zapraszając na kolejne wakacje i oferując apartament z balkonem na ostatnim piętrze. Mimo wcześniejszej złości Agnieszka myślami była już gdzie indziej i zapomniała o urazach.

W Internecie przeczytała parę słów o wyspie, na telefonie włączyła mapę. Korfu miała być najbardziej zieloną wyspą z Jońskich, trzy kilometry od Albanii. Homer, pisząc, że Odyseusz w końcu wyrzucony został na brzeg, podobno miał na myśli właśnie Korfu. Tam odnalazła go uroczą Nauzyka i zaprowadziła do swego ojca, Alkinoosa, króla Feaków. Odyseusz opowiedział mu o swoich przygodach, a Alkinoos pożyczył mu łódź, żeby mógł wrócić do Itaki.

Agnieszka nie zamówiła taksówki na lotnisko, więc wyszła ze sporym zapasem czasowym. Przeszła się pieszo na dworzec kolejowy, gdzie wsiadła w autobus numer siedemdziesiąt osiem, którym dotarła do lotniska. Miała jeszcze dużo czasu. Wyjęła butelkę wody i usiadła w poczekalni, przyglądając się tłumowi podróżnych.

W perfumerii chwilę testowała zapachy, ale ceny ją odstraszyły. Wracając, zauważyła ścianę z setkami kolorowych karteczek. Jak się zorientowała, ludzie pisali coś od siebie albo jakąś myśl... na pożegnanie.

Bardzo jej się to spodobało. Zauważyła pustą kartkę i wygrzebała z plecaka długopis.

Znajomości, jak i ludzie, czasem schodzą ze starości. Znajomości, jak ludzie, chorują na amnezję, na Alzheimera, na raka. Jeśli ktoś się nie odzywa, to znaczy, że umarł albo znajomość z nim umarła.

Postanowiła w przyszłości kupić bloczek z przyklejonymi kartkami i zostawiać swój ślad także w innych miejscach.

Pas do lądowania na Korfu znajdował się między dwoma wzgórzami i częściowo pokryty był wodą. Niedaleko widniała ruchliwa ulica, wąski cypel, po którym chodzili ludzie. Agnieszkę strach złapał za gardło; zamknęła oczy, ale po chwili samolot cicho usiadł na płycie lotniska.

Kostas mieszkał na wschodnim wybrzeżu, blisko stolicy, na szczęście także blisko lotniska.

* * *

Korfu, nazywana przez Greków Kerkirą, przywitała Agnieszkę różowym światłem i delikatną mgłą. Przed lotniskiem Agnieszka natknęła się na taksówkarzy z kartonikami w rękach, na których odręcznie wypisane były nazwiska chętnych na transfer do miejsca pobytu. Ona nie zamówiła kursu, więc wsiadła do taksówki na postoju. Poprosiła, żeby jechać przez miasto.

Smagły kierowca pokiwał głową.

Mijali wtopione w skały twierdze i mury domów o pastelowych odcieniach. Było po sjeście, miasto ożyło. Niestety drogi były zatłoczone i dużo czasu spędzili w korkach. Odsapnęła, kiedy wreszcie znaleźli się poza stolicą. Na bocznych drogach, na których dwa auta nie mogły się minąć, taksówkarz radził sobie dobrze, ale Agnieszce nieraz serce podchodziło do gardła, kiedy zza zakrętu wyjeżdżał autobus. Rekompensatę stanowiły widoki: lasy starych cyprysów, wille w kolorze pompejańskiego różu oraz wszędobylskie osiołki i kozy, nic sobie nierobiące z ruchu. Tłok na wąskiej drodze trwał aż do samej Peramy. Kiedy odkryła, że do posiadłości Kostasa wiedzie piesza droga na skróty, postanowiła wysiąść.

– Tutaj, teraz? To długa droga w górę. Nic tamtędy nie jeździ – poinformował kierowca z rozczarowaniem w głosie. – Mogę dowieźć za darmo.

– Nie chodzi o pieniądze, chcę się przejść.

– Może pomóc? Zostawię auto i podejdę. Nie chcę, żebyś zabłądziła.

– Nie ma problemu, dam sobie radę.

Zapłaciła zaskoczonemu taksówkarzowi trzydzieści euro.

Szła ścieżką w górę zbocza. Nieco zadrzała, mijając opuszczony hotel i wyglądające na puste apartamenty u Takisa i Irini. Stała, żeby przeczytać napis na wyblakłej tabliczce: *Restaurant „Kritikos”*. Droga prowadziła między drzewami i wśród krzewów, których nazw nie знаła. Pożałowała, że nie skorzystała z pomocy taksówkarza.

– Teraz skruc w prawo – usłyszała głos z nawigacji. Stała na polanie, z której roztaczał się obłądny widok na drogę i zatoki Morza Jońskiego. Widziała góry Albanii i lądowej części Grecji i Macedonii. W pobliskiej winnicy, pomiędzy listkami w kolorze świeżej zieleni zauważalne już były drobniutkie kiście winogron. Agnieszka wzięła je w rękę. Było ich zaskakująco dużo przy niewielkiej ilości liści. Czytała kiedyś, że drzewka winogron się przeświecła. W jej ogrodzie na Hubach Moraskich winogrona miały dawać cień, nikt nie obcinał gałęzi i w deszczowe lato potrafiły przyrosnąć o kilka metrów. Zwykle nie doczekali się owoców, które w płataninie liści nie zdążyły dojrzeć i konsumował je październikowy przymrozek.

Przystanęła, żeby zrobić zdjęcia. Na drodze było widać ślady deszczu, nagrzana ziemia parowała, a w powietrzu unosił się obłądny zapach. Czuła aromaty oregano, sosen, cyprysów. Każde kilka czy kilkanaście metrów do góry odsłaniało nowe widoki. W dole widziała dachy domów pokryte eternitem. Gdy dotarła jeszcze wyżej, jej oczom ukazał się widok na zatokę otoczoną skałami w kolorze ochry, widziała też przejrzyste szmaragdowe morze. Wrażenie robił pas startowy lotniska i niewielka wyspa z cerkwią pośrodku. Akurat lądował ogromny samolot, nisko nad wodą, jakby miał skąpać się w morzu.

Na niewielkim płaskowyzu, do którego dotarła, stały trzy domy. Jeden był najmniej grecki. Agnieszka spojrzała na kartkę. To pod ten adres zmierzała. Potoczyła wzrokiem po fasadzie: pastelowe barwy, kamień, dobry tynk, otoczenie jak z obrazka, wszystko to sprawiało wrażenie, że właściciele nie martwią się splątą kredytów.

Drzwi otworzył wysoki, ciemnooki mężczyzna z błyszczącymi włosami, które wyglądały jak napomadowane. Mógł mieć nawet i sześćdziesiąt lat, ale myliły jego ciemne włosy. Był starannie ogolony i elegancko ubrany. Przed zabukowaniem lotu Agnieszka zadzwoniła i się zapowiedziała.

Kostas powinien się jej spodziewać.

– Właśnie wróciłem do domu, masz dziewczyno szczęście. Korki, korki...

– Też zauważyłam. Nie pomyliłam adresu?

Pytająco spojrział jej w oczy.

– Wydaje mi się, że to mały grecki dom. Wygląda jak przeniesiony z Małopolski – dodała po polsku.

– Jakże dawno nikt do mnie nie mówił po polsku. Jestem Kostas Skolias.

Mocno uściśnął jej dłoń.

– Agnieszka Wrońska.

– Wy, ludzie z północy – powiedział po polsku – chcielibyście widzieć u nas białe chałupki z niebieskimi drzwiami i okiennicami, z czerwonymi kwiatami przy wejściu. Tutaj też dociera cywilizacja. – Można było w jego polszczyźnie wyczuć obcy akcent.

Z głowy wyjął jej ten opis. Uśmiechnęła się.

– Racja.

– Ludzie są różni. Niektórzy wolą odnowić niż budować od nowa. Inni, jak ja, chcą czegoś nowego. Ten dom obok kupili Anglicy. A tamten na końcu zamieszkuje Grek, który wypasa kozy i sprzedaje sery domowej roboty. Widzisz różnicę?

Dwa pozostałe domy były zgodne z jej upodobaniami; z kamiennymi schodami, z dachem z rozbiórkowej dachówki, pobielone. Oba sprawiały wrażenie niewielkich.

– Nie widzę – odpowiedziała zgodnie z wrażeniem.

– Grek od kóz i serów cienko przedzie, ale Anglicy mają szmalu jak lodu. I co? Wolą odnowić stare. Taka u nich tradycja.

Agnieszka zamilkła. Było jej dobrze na Korfu, nadspodziewanie dobrze. Nie czuła nerwowości, a wręcz jakąś dobrą energię. Było ciszej niż w Salonikach, spokojniej, nikt się nie spieszył, nie wyczuła tego, nawet stojąc w korkach. Wszyscy rozumieli jej angielski, ona rozumiała innych. Było ciepło. Wreszcie ciepło i ładnie. Bez śniegu, bez wiatru. Była blisko rozwikłania zagadki Elle i z tego cieszyła się najbardziej.

– Mówiłaś, że skąd masz mój adres i numer telefonu?

– Od sąsiadki Elle z Salonik.

– Taka stara z krzywym nosem?

– Tak, utykająca na nogę.

– Utykać to ona nie utyka, przed obcymi udaje, nie wiem dlaczego. Pewnie żeby jej o coś nie zahaczyli. Nie namówiła cię na nocleg u zięcia?

– Tak, na trzy noce.

– Problem w tym, że to nie jest żaden jej zięć. To cwana stara. Ona mu podsyła klientów za pieniądze. Zawsze taka była, ale skoro podała ci mój adres, to znaczy, że Elle nie było w Salonikach. W tym budynku nie mieszka już nikt, kto ją znał z lat osiemdziesiątych. Miałaś szczęście, nawiasem mówiąc. Też próbowałem się do niej dodzwonić, ale ma wyłączony telefon. Kilka lat się nie widzieliśmy, ale czasem gadamy przez telefon.

Musiała przyznać, że los jej sprzyjał. Kostas okazał się gadatliwy, jakby przez całe dni nie miał do kogo gęby otworzyć. Był też wesoły, co lubiła.

– Co tak stoimy? – zreflektował się. – Zapraszam. Wprawdzie mojej żony jeszcze nie ma, ale jest przyzwoitka – zaśmiał się tubalnie. – Służąca, Bułgarka, nie spuści z nas wzroku. Gdy wróci z zakupów...

– Jasne. – Rozbawił ją.

Zatrzymali się przy wejściu do salonu. Agnieszka rozglądała się z ciekawością. Salon był urządzone na białą, ze smakiem, duże szare kanapy z weluru, wielka plazma na ścianie. Nad kanapami i w łączniku obrazy w takich samych ramach z nieco szarego drewna, realistyczne, bardzo kolorowe. Na podłodze szary granit, podejrzewała, że polski, bo podobny był do płyt ze Strzegomia, jakie mieli na tarasie.

Kostas wziął ją za rękę i posadził na kanapie.

– Twojej mamie na imię Danka? Dobrze pamiętam?

Agnieszka potwierdziła.

– To widać, jesteś nawet podobna, tylko nieco niższa. To były czasy, spotykaliśmy się we czwórkę, Elle, ja, twoja mama, jej pierwszy chłopak, razem bywaliśmy na przedstawieniach, razem w kinach, w restauracjach. Czy twój ojciec...

– Mój ojciec ma na imię Stefan – przerwała mu.

– Sądziłem... – Kostas spojrzął jej w oczy, potem przeniósł wzrok za okno, na morze.

– Tak?

– A nie, nic. Co to były za czasy... – powtórzył. – I ty jesteś córką Danki i Stefana! Mam nadzieję, że się nigdzie nie spieszysz.

Próbowała coś powiedzieć, ale Kostas ciągnął:

– Musisz zostać u nas na noc, koniecznie! Pokażę ci swoje projekty. Wiesz, że ukończyłem poznańską Akademię Sztuk Pięknych?

– Słyszałam. Mama mi powiedziała. Byłeś na ostatnim roku, kiedy Elle wróciła do Grecji.

– Taaa... No i skończyłem. Mam parę zdjęć z tamtego okresu. Nie uwierzysz, jak wtedy wyglądaliśmy. Jak hippisi! Chyba nawet byliśmy wtedy hippisami. Twoja mama mieszkała w Naramowicach, to za Poznaniem, jak dobrze pamiętam, czasem nocą odprowadzaliśmy ją do domu. Pamiętam taką imprezę w jej pokoiku, na ośmiu metrach zmieściło się trzynaście osób. Gdzie to było?

– Niedaleko hotelu Naramowice, właściwie prawie vis a vis, w bloku dla pracowników Kombinatów Naramowice.

– Otóż to. Nadal tam mieszkacie?

– Nie. Pod względem odległości od centrum pogorszyło się nam, niewątpliwie. Mieszkamy jeszcze za Naramowicami, licząc od centrum miasta. W Morasku.

– A to nie wiem, gdzie to jest.

– Nieco za granicą Poznania. Przenieśli tam Uniwersytet im. Adama Mickiewicza. W zasadzie jest tam już chyba cały kampus.

– Gdyby wcześniej się zdecydowali – zachichotał Kostas – to twoja mama miałaby blisko do szkoły. Skończyła ją?

Agnieszka skinęła głową.

– Mimo że wyjechała z Polski?

– Wyjechała?

Kostas wyglądał na skonsternowanego.

– No, tak mi się wydawało. Wtedy wszyscy wyjeżdżali. Ale mówisz, że twój tata ma na imię Stefan, więc coś mi się musiało pokręcić. – Zmienił temat. – Co u Stefana?

– Normalnie. Prowadzi firmę ze śrubkami i różnymi rzeczami mechanicznymi. Raz jest na wozie, raz pod wozem.

– Jak my wszyscy. A mama?

– Jest w domu... To bardziej zagmatwana sprawa.

Kostas spojrzął na Agę z uwagą.

– Coś mówiłeś o zdjęciach. Że masz jakieś. Jest na nich Elle? – Uznała, że nie czas na zwierzenia.

– Jest. Tylko muszę je najpierw znaleźć. Wiesz jak to jest ze zdjęciami. Kobiety mają w tym temacie porządek, bo one żyją wspomnieniami, że się pokuszę o takie stwierdzenie. Niestety bywa, że w albumach ze zdjęciami mają większy porządek niż w życiu.

– Masz na myśli Elle?

– Mam na myśli kobiety, generalnie.

Wiedziała, że ma na myśli Elle, czuła to, nie potrafił ukryć, że trafiła.

– Tymczasem faceci auto mają umyte, w środku posprzątane, a w życiu też porażka – odgryzła się Agnieszka. – Nie mówię, że wszyscy.

– No, dziewczyno, do kogo tyś podobna? Stefan cichy i spokojny, Danka wycofana, ale do

czasu... może więc po mamie masz tę ironię – śmiał się głośno, a Agnieszka rejestrowała wszystko, co mówił. Tyle że wciąż nie powiedział nic o Elle. – W ogóle to jestem Kostas, Kostek po polsku.

– Nie znam żadnego Kostka, tak nawiasem mówiąc.

Zapadła cisza, Kostas wycofał się w stronę barku i nalał wody do szklanek. Agnieszka rozglądała się po wnętrzu.

Dwie ściany salonu zbudowano z białej cegły, na suficie wisiały wielkie mosiężne lampy, co nadawało pomieszczeniu nieco loftowego charakteru. Tę przemysłową stylizację zaburzały wielkie bukiety kwiatów w wazonach i na tarasie, których nazw nie znała. I wyjście na taras, z widokiem za milion dolarów. Wstała z kanapy i podeszła do obrazów wiszących na bocznej ścianie.

– Dwa z nich to Polska moich wyobrażeń – wyjaśnił Kostas.

– Twoje?

– Tak, trochę się pobawiłem, malowanie mnie wycisza. Ale żonie się spodobały.

Obrazy nastrojały optymistycznie, Aga musiała to przyznać, mimo że widoki przypominały jej Polskę sprzed lat. Surowy letni krajobraz, przycupnięte pod lasem chaty, nadgryzione zębem czasu, obejścia z liściastymi drzewami, wszystko w złotej tonacji, bez kwiatów; płynące po szarym niebie nieco jaśniejsze cumulusy. Miała jednak wrażenie, że do tych widoków Kostas dodał greckie słońce, czuć było światło, dużo więcej niż w kraju.

– Kiedy ostatnio byłeś w Polsce? Trochę się zmieniło, miasta się rozwinęły, wsie wyładniały i obejścia nie wyglądają już jak u Boryny.

– U Boryny? – roześmiał się. – W Polsce byłem tylko raz, w latach dziewięćdziesiątych. Dawno, prawda? Znajomy rzeźbiarz, też Grek z pochodzenia, obchodził czterdzieste urodziny, wtedy jeszcze mieszkał w Polsce. Byłem zimą, a... namalowałem lato. Z wyobraźni, z pamięci.

Zaległa cisza.

– Thelma się bardzo ucieszy z odwiedzin.

– Thelma?

– Moja druga żona, jest Angielką.

– Zna Elle? Będziemy mogli przy niej swobodnie porozmawiać?

Agnieszce zależało na czasie, żyła szybko, konkretnie: załatwić sprawę i odjechać. Jeśli nic ze spotkania nie wynika, trzeba iść dalej, skupić się na celu. Każda droga powinna mieć cel. Jeśli nie ma, to strata czasu. Szkoda nóg.

– Zna ją, oczywiście. – Kostas wzruszył ramionami. – Dlaczego nie miałyby znać?

– I co sądzi o twojej pierwszej żonie?

– O mojej pierwszej żonie? A co ma do tego pierwsza żona? To był zły pomysł. Dwa stracone lata. Po rozwodzie się z nią nie kontaktowałem, na szczęście ona ze mną też. Było, minęło. Thelmę poznałem parę lat później.

– Jak to, nie kontaktowałeś się? Powiedziałeś przedtem, że czasem rozmawiacie przez telefon.

Kostas podrapał się po głowie.

– Nie rozumiem. Po rozwodzie nigdy nie rozmawiałem z nią przez telefon. Musiałaś źle usłyszeć albo coś źle powiedziałem, trochę już kaleczę polski, przyznaję.

– Dam sobie głowę uciąć, nie zrozumiałam źle. Powiedziałeś, że z Elle nie widzieliście się parę lat, ale czasem rozmawiacie przez telefon – nie odpuszczała Agnieszka.

– Dziewczyno! Elle nie była moją żoną!

– Nie była twoją żoną!?

– Szkoda, ale nie.

– Szkoda?

– No, trochę żałuję. Wiesz, szkoda straconych lat, szkoda, że nie wyszło. – Kostas się zmieszał.

– Coś nam umknęło, straciliśmy swoją szansę. Zawsze szkoda, gdy coś źle idzie, nawet jeśli później jest się szczęśliwym.

Niewątpliwie poruszyła Kostasa, bo trochę się płatał.

– Taaa... Opowiesz mi o przeszłości? Pokażesz wreszcie te zdjęcia?

W tym momencie usłyszeli warkot samochodu na podjeździe, Kostas wyszedł na taras, pokiwał komuś ręką, a twarz rozjaśniła mu się radością.

– Miała przyjechać później, ale powiedziałem, że będziemy mieli gości, to się pospieszyła. Thelma taka jest, a mówią, że najbardziej gościnni są Słowianie. Normalnie wraca z firmy około dwudziestej.

– Miło mi w takim razie. Gdzie pracuje?

– W nieruchomościach, i jest, w przeciwieństwie do mnie, pracoholiczką, a z nimi to wiesz, jak jest.

* * *

Agnieszka wyobraziła sobie, że w drzwiach pojawi się około pięćdziesięcioletnia blondynka, raczej szczupła, dobrze ubrana, taka angielska lady, nieco sztywna, trochę bizneswoman. Tymczasem do domu weszła, a raczej wbiegła dziewczyna. No, po prostu dziewczyna. Thelma, w jasnych dzinsach i białej bawełnianej koszuli o prawie męskim kroju, w butach na wysokim obcasie o wzorze tygryziej skóry, z rozwianymi, długimi do ramion blond włosami, wyglądała na znacznie młodszą od Kostasa. Gdy podeszła się przywitać, Agnieszka uznała, że może jednak mieć nawet i ze czterdzieści pięć lat. Była wysportowana, wypiełgnowana, ale sieć mało widocznych zmarszczek wokół ust i na szyi zdradziła, że ma za sobą życiowe doświadczenia, że na pewno nie jest już trzydziestolatką.

– Cześć, dziewczyno z Polski! – Podąła Agnieszce długą, wąską dłoń, nieco chłodną. Omiotła wzrokiem pokój i zmarszczyła brwi. – Kostas, jak możesz gościa trzymać o głodzie?

– Wszystko by było w należytym porządku, jeśli miałbym pomoc. Kiedyż wreszcie ta Irina wróci?

– Już jest. Właśnie weszła tylnym wejściem. Razem podjechałyśmy pod dom, ona postawiła auto za rogami. Przywiozła do pomocy koleżankę, czuję, że z głodu nie padniemy.

Jakby na potwierdzenie słów Thelmy z kuchni zaczęło dochodzić pobrzękiwanie talerzy i podniesione głosy: „Przynieś mi świeżego kopru”. „Przyniosłam”. „To za mało! Szybko, bo oliwa jest gorąca”.

– Co tam się dzieje? – zapytała rozbawiona sytuacją Aga.

– Ona tak zawsze. Na pewno zaserwuje nam swoje popisowe danie. Zapiekaną koperkowo-ziemniaczano-ryżowa.

– Plus *feta* – usłyszeli z kuchni. – No właśnie. Na koniec roztrzepane jajko.

– Może będzie też *filo*[6] ze szpinakiem i fetą. U nas w kuchni rządzi Irina, nic swojego nie przeforsujemy.

Irina wyglądała jak stereotypowa kucharka, miała krótkie włosy, była otyła, szybka, ubrana w upaprany mąką fartuch.

Potem się okazało, że bardzo dobrze gotowała. *Filo* było znakomite, co poprawiło wszystkim humory, a butelka wina Terranera Red rozwiązała języki.

– Danka i Elle bardzo lubiły się bawić. Tańczyły, śpiewały, były duszami towarzystwa, zwłaszcza po winie. – Kostas się roześmiał.

– Po winie to każdy jest duszą towarzystwa – prychnęła Thelma.

– Niektórzy są agresywni, nie zapominaj.

W głowie Agnieszki powstawał obraz młodzieży tamtych czasów, dużo więcej pijącej, częściej się bawiącej. Tańczącej, kolorowej. Hippisowskiej.

– W ogóle dziewczyny były bardzo atrakcyjne. Czasem chodziliśmy do klubu greckiego na Dzierżyńskiego.

– Na Półwiejską raczej. Teraz ulica nie nazywa się Dzierżyńskiego. Chyba że to było dalej, na

Wildzie, przy 28 Czerwca.

– Nie, na tym pierwszym odcinku. Na Półwiejskiej. Mówisz, że Elle nie było w domu w Salonikach?

– Nie było.

– Tak sobie myślę, że powinnaś pojechać do jej domu na Korfu. Trwają prace w winnicach.

– Ma winnicę?

– Tutaj prawie każdy ma. Teraz akurat trzeba zadbać o to, by do września winogrona dojrzały i nie chorowały. Nie wiem, czy zauważyłaś, że często na końcu rzędu winogron sadi się róże. Jednak nie dla ozdoby.

– A dlaczego?

– To taki papierek lakmusowy. Bo jeśli zachorują róże, to zaraz i winogrona.

Kostas poszedł na górę i wrócił z tekturowym pudełkiem. Agnieszka pomyślała, że jednak niezwykajnie takie pudełko z przeszłości wygląda w rękach faceta. Otworzył pokrywkę i wysypał na ławę zdjęcia. W powietrze uniół się kurz.

– Kostas! Bo zainfekujesz nam płuca! – Thelma wachlowała się rękoma.

– Co chcesz? Wiesz ile na nim lat osiadło? To one pył! – zażartował.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Kostas polał do kieliszków *tsipouro*.

– Jutro na dziesiątą muszę być w Sidari. – Thelma upiła mały łyk. – Może z tego interesu wyjdzie całkiem niezła sumka.

– Przydałaby się, trzeba zbierać na czesne dla Marii i Kostasa Juniora. – Patrząc na Agnieszkę, wyjaśnił: – Sidari jest stąd o kawałek drogi. To na północy wyspy. Swoją drogą, dawno tam nie byłem. Miejscowość słynie z pięknych krasowych form. Jest tam znany na cały świat Canal d'Amour, to taka forma skalna. No i mówią, że jak pannie uda się przepłynąć błękitne wody kanału wpław, szybko znajdzie męża.

– Mówię, żeby nie było, że ci auto zastawiłam. Jeśli potrzeba, to teraz przestawmy, bo potem rozwalimy mur – powiedziała Thelma.

– To dopiero drugi kieliszek. Nie, jest dobrze, ja mogę być u Sidrasów później, nie umówiłem się co do minuty. Oni siedzą codziennie do drugiej w nocy, a potem śpią do dziesiątej.

– Zdecydowali się wreszcie na kształt przebudowy?

– Najwyraźniej im się nie spieszy, co chwilę zmieniają decyzję, nie mają sprecyzowanych upodobań. I strasznie się przy tym kłóć. Eleni tak, Apostolos inaczej. Czasem wydaje mi się, że on nie chce wydać pieniędzy, tylko zwodzi i żonę, i mnie.

– Przesadzasz. To duża przebudowa, muszą się zastanowić, nie będą rzucać się na oślep. Widzą, że niektórym się nie udało, mało to niedokończonych budów po drodze? Ja ich lubię, a te ich kłótnie to tylko wymiana zdań.

– To powiedziałby, że nie chce i koniec. Albo że chce, ale później. Prawdziwy Grek.

– Jakbyś ty taki nie był.

– Kostas to Grek, który udaje Greka – zażartowała Agnieszka.

Pośmiały się. Atmosfera stawała się coraz luźniejsza.

– Nie odbieraj człowiekowi przyjemności w dochodzeniu do celu, kochany. – Thelma położyła rękę na kolanie Kostasa, a ten schylił się z lekkim trudem i ją pocałował.

Podobali się Agnieszce. Zwracali się do siebie z czułością, widać było, że tworzą zgrany tandem, że się kochają.

– A zdjęcia? – przypomniała. Nieco jej się kręciło w głowie, powinna już przystopować z piciem. Tylko że rozmowa się kleiła, a powieki nie.

– Gdzie moje okulary, Thelmo? Widziałaś je? Od popołudnia ich szukam. Może w aucie zostawiłem?

– Przecież leżą na szafce. – Thelma się roześmiała i wskazała stolik pod ścianą.

Kostas wstał i założył okulary, ale widząc kupkę starych zdjęć, machnął ręką.

– Nie na moje zdrowie to. Pogrzeb w nich sama, dziewczyno, na pewno coś znajdziesz.

Agnieszka z ochotą wzięła się za przeglądanie zdjęć.

Były tam rodzinne fotografie Kostasa, ale nie tych szukała. Odłożyła również te z czasów jego pobytu w Poznaniu; w większości przedstawiały kolegów i koleżanki ze studiów.

W końcu w oko wpadło jej jedno, większego formatu: trzy dziewczyny, każda z włosami do pasa, dwie brunetki, jedna blondynka, na tle hotelu Bazar. Agnieszka wywnioskowała, że stoją na placu Wolności.

– Kto to? – zapytała.

– No jak to! Twoja mama i Elle, a ta blondynka, to chyba jakaś ich koleżanka. Nie pamiętam.

Agnieszka przypatrywała się uważnie dziewczynom ze zdjęcia. Mama była wyższa, szczuplejsza, o prawie chłopięcej budowie; wyglądała ładnie i intrygująco w czarnej sukience do ziemi z kolorową falbaną na dole i w filcowym kapeluszu z dużym rondem. Uśmiechała się radośnie i była w tym uśmiechu zupełnie niepodobna do siebie z czasów obecnych. Elle, niższa, bardziej kobieca, wąska w talii i z dość dużym, zgrabnym biustem, z burzą ciemnych, falowanych włosów, błyskała w uśmiechu białymi zębami. Znakomicie jej było w butach na grubej platformie, w czerwonych spodniach dzwonach, bardzo opiętych na kształtnej pupie. Najciekawsza była tunika, również czerwona, z wielkim dekoltem i szerokimi rękawami, na których naszyto wielkie czarne liście, najpewniej ze skóry, bo błyszcząły, odróżniając się fakturą od tkaniny.

– Mogę wziąć to zdjęcie?

– Możesz. Chyba, że poczekaasz, to zrobię ci wydruk, uzyskamy wtedy chyba nawet lepszy kontrast.

– Dobra, może być wydruk, ale na fotograficznym papierze.

– Jasne.

– Zrobię na mojej drukarce – poderwała się Thelma.

Kostas podał jej zdjęcie.

– Powiesz mi, dlaczego jej szukasz? – zwrócił się do Agnieszki, kiedy Thelma wyszła z pokoju.

Wszyscy pytali o to samo. Dotąd nie znalazła odpowiedzi.

– Wiesz... To skomplikowana sprawa. – Jak mu wytłumaczyć, że chciała coś zrobić dla kogoś, dla siebie, dla rodziny? – Właściwie robię to dla mamy. Ma problem z alkoholem i to mnie najbardziej boli. Myślę, że zapijanie smutków zaczęło się po wyjeździe Elle. Przyjaciółka wyjechała i to, co je łączyło, skończyło się, jak to w życiu... Po latach Elle w ogóle nie dawała znaku życia.

– Alkohol... Elle. Nie wydaje mi się. Nie wiem, na ile znasz swoją mamę.

– Wcale! – Zwiesiła głowę.

– No tak. Gdyby mnie ktoś zapytał o moją, powiedziałbym to samo.

Agnieszka skubała frędzelki z poduszki.

– Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć. Nie wiem też, czy dobrze pamiętam, ale to nie o Elle chodzi. Musisz wiedzieć, że Danką nawet się z nią nie pożegnała.

– Co ty mówisz!?

– Prawdę. Po prostu nie przyszła na dworzec. Bardziej bym tutaj szukał niespełnionych nadziei twojej mamy. Bardziej bym się skupił na, że tak powiem... na miłosnej historii twojej mamy.

– Masz na myśli tatę?

– Nie...

Zaległa cisza. Agnieszka była zbyt oszołomiona, żeby dalej pytać. Postanowiła zrobić listę ogniowych i przypierających do muru pytań do matki.

– Porozmawiajcie o tamtych czasach. Zapytaj mamę o Krzysztofa.

– Krzysztof? Kto to jest?

– Zapytaj.

– Jakież to wszystko skomplikowane. Czy życie nie może być prostsze?

– Chyba nie. Byłoby nudno.

– Mimo to postaram się dotrzeć do Elle. Pomożesz mi? Gdzie mam jej szukać?

Kostas wyjął z kieszeni wizytówkę, zapisał adres na odwrocie i podał ją Agnieszce.

- Niestety nie znam numeru telefonu. Przypuszczam, że możesz znaleźć go w spisie.
- Rozumiem. Po prostu wsiądę w coś i pojadę, sprawdzę na mapach Google.
- Tutaj wszędzie jest blisko, tylko czasem stromo i wąsko. Nie myślałaś o wypożyczeniu auta?
- Nie. Zależało mi na poznaniu świata od wewnątrz, nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli.

Autem jeżdżę w Polsce i to stało się rutyną, jadę tymi samymi ulicami, spotykam tych samych parkingowych, odwiedzam te same sklepy, czasem nie chce mi się ust otworzyć, bo już wszystko o nich wiem. Poza tym w ogóle nie znam miasta. Jeśli wsiądziesz do autobusu, możesz się zagapić, poznać inną trasę, posłuchać, co ludzie mówią, po prostu pogadać. Tak samo kiedy zwiedzasz świat z kimś, skupiasz się na tej osobie i też coś tracisz. Wędrując samotnie i po nieznanym drogach, dowiesz się o świecie więcej.

- Pewnie to racja.

Thelma wróciła ze zdjęciem, rzeczywiście było znacznie lepszej jakości niż oryginał. Agnieszka odłożyła zdjęcie i wizytówkę z adresem Elle na stole. Kostas położył rękę na nadgarstku Agi.

– Posłuchaj. Jeśli i tam jej nie zastaniesz, to pozostaje Malta. Jutro rano wszystko ci napiszę, podam namiary, ale nie jestem pewien, czy adresy maltańskie są aktualne. Miała jakieś rozliczenia z rodziną drugiego męża, więc może coś uległo zmianie.

- Drugiego męża?

– Tak, byłego drugiego męża, ale raczej już w jej życiu nieobecnego. Ale o tym niech ci sama opowie.

- Może w takim razie masz jej numer telefonu?

– Mam, ale... Ona nie używa telefonów komórkowych, rzadko odbiera, właściwie używa, ale ma ich ze trzy i najpewniej jej się mylą, pewnie rozładowują. Wyobrażasz sobie, że masz pamiętać o naładowaniu kilku telefonów, tabletu, laptopa, aparatu fotograficznego... Szkoda mówić...

- Nie wyobrażam sobie – uśmiechnęła się Aga.

– Musisz wiedzieć, że Elle żyje tak, jakby następnego dnia miała umrzeć, ciągle ma coś do zrobienia. Lata samolotami, jeździ jeepem, maszynami rolniczymi, i generalnie żyje jak wariatka.

* * *

Przenieśli się na taras i więcej nie rozmawiali o przeszłości. Słońce prawie zaszło, Agnieszka chłonęła widok, który nocą musiał być wart znacznie więcej niż po południu, ze trzy miliony dolarów. Na tafli Morza Jońskiego odbijały się nieliczne światła miasta, topiąc się w nim. Lądujące samoloty pasażerskie nadawały miejscu wielkowiejski sznyt. Agnieszka lubiła patrzeć, jak podchodzą do lądowania. Wielka sylwetka blaszanego ptaka na tle pomarańczowego nieba, migające na skrzydłach światła i głośny ryk turbin świadczyły o wysiłku, jaki towarzyszył lądowaniu.

Irina postawiła na stole półmisek z marynowanymi oliwkami: fioletowymi, zielonymi i czarnymi. Obok pojawiła się deska serów.

- W większości kozie – powiedziała Thelma, a Agnieszka zabrała się za pałaszowanie.

Thelma opowiadała o swojej pracy, o domach, za ile można kupić, za ile sprzedać. Agnieszka była tego ciekawa. Pomyślała, że kiedy wróci do Polski, natychmiast pochwali się Wiktorowi. Tęskniła.

- Za spotkanie!

- Mocne – powiedziała już kolejny raz Agnieszka, mając na myśli *tsipouro*.

- Prawda? Robi się z tego, co zostaje po produkcji wina, głównie z wyłoków po winogronach.

Niektórzy dodają anyżu, ale bez jest lepsze.

Agnieszce od alkoholu zakręciło się w głowie.

- Macie dzieci, słyszałam jak mówiliście. Marię i Kostasa Juniora? Dobrze zapamiętałam?

- Tak, uczą się w Atenach.

– Czas może na kolejne, dom duży...

– W dzisiejszych czasach dwoje wystarczy. – Kostas spojrzął na Thelmę. – Poza tym mam swoje lata, bardziej dziadkowe niż tatusiowe. – Znowu spojrzął na żonę, a ona się do niego uśmiechnęła.

– Dawno tak nie siedzieliśmy, ależ urocze spotkanie. Zawsze gdzieś nas gna, nie pamiętam, kiedy siedziałam beztrusko na tarasie. – Thelma się przeciągnęła.

Agnieszka pomyślała, że Kostas pod maską dumy i dystansu kryje serdeczną naturę. Doceniła niekłamaną gościnność tego domu. Spotkanie upłynęło w miłej atmosferze, do drugiej w nocy słuchali na tarasie płyty z muzyką Mikisa Theodorakisa, potem śpiewu Giannisa Pariosa. *Strose to stroma sou* z muzyką Theodorakisa było najlepsze – *Przygotuję posłanie dla dwojga...*

– Twój pokój gotowy. Rano będzie ci miło, bo masz widok na Pontikonisi, na morze, na Albanie, byle nie padało.

Agnieszka się podniosła.

– Tylko nie bój się węży – ostrzegł ją Kostas na odchodnym. – Może się jakiś pojawić, te czarne są niebezpieczne tylko dla myszy i ryb. Wyglądasz na przerażoną, nie bój się. W starożytności tylko szczęśliwcy mieli węża w domostwie.

Agnieszka z trudem przełknęła ślinę. Mimo że czuła, że to był ze strony Kostasa żart, nie miała odwagi się rozebrać. Najpierw pozamykała wszystkie okna, potem siadła na fotelu obok łóżka i przerażona biła się z myślami, czy natychmiast nie wrócić do miasta i nie poszukać tam noclegu. Ale spojrzała w okno i znowu zauroczył ją księżyc oraz światła w dolinie, odbijające się od tafli morza. Narzuciła szal i wyszła z pokoju.

W domu panowała cisza, na tarasowym stole stała rozpoczęta butelka *tsipouro*. Agnieszka przyłożyła ją do ust. Poczowała piekący smak, ale jednocześnie zapomniała, że przed chwilą panicznie bała się węży. Nie dbając, że jest boso, zeszła z tarasu na ścieżkę i usiadła na kamieniu. Miasto Korfu było wyspą świetlną w morzu ciemności, podobne do wieczornych miast, obserwowanych z okien lądującego samolotu. Oprócz księżycy na niebie świeciło mnóstwo niewiarygodnie wyraźnych gwiazd; wydawały się być bliżej niż w Polsce, niż na Hubach Moraskich. Nawet bliżej niż w Kletnie.

Weszła do pokoju, czując, że jej się kręci w głowie, ale to nie alkohol, a zapachy ziemi i cisza nocy ukołysały ją do snu.

* * *

Obudziła się, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest. Wodziła wzrokiem po suficie, rozejrzała się i uniosła na rękach. Było jasno, pastelowo, słonecznie. Tak! To dom Kostasa i Thelmy – uspokojona przeciągnęła się na łóżku. Biała, wykrochmalona pościel w czarne motylki przyjemnie zaszeleściła; Agnieszka przeciągnęła się raz jeszcze, lubiła taką sterylność. Gdyby tylko głowa tak nie bolała!

Sięgnęła po szklankę z wodą, ale jej palce dotknęły komórki. Usiadła i spojrzała na wyświetlacz, było po dziewiątej. I żadnych połączeń, ani od Wiktora, ani od mamy. Jasna prześwitująca zasłonka zatrzepotała na wietrze, ukazując czyste niebo w swej greckiej jasnej ultramarynie. Na parapecie stał wazon z drobnymi kwiatami i gęstymi listkami, na pewno jakaś odmiana róż. Nie przypominała sobie, czy były w pokoju, kiedy kładła się spać. Spała twardo, nie słyszała deszczu dzwoniącego o szyby, a w nocy niewątpliwie musiało padać. Mimo że słońce już dawno rozgoniło chmury, po parapecie spływała woda, a trawa była mokra.

W domu panowała cisza, tylko zza okna dobiegał warkot ciężarówek dowożących towar do wiosek i kurortów. Agnieszka się odświeżyła i przeszła do salonu w poszukiwaniu właścicieli. Chciała się pożegnać i ruszyć dalej, nie potrafiła nadużywać gościnności. Już i tak miała wyrzuty sumienia, że zajęła im cały wieczór i pół nocy.

Cóż to było w jej wykonaniu? Bawiła się w śledczą, szukającą czegoś? Wczorajszego dnia na

pewno! Dobrze, że Kostas i Thelma jej nie wyśmiali. Owszem, można szukać, na przykład zaginionego na wojnie brata albo córki, która z jakichś cholernie głupich przyczyn trafiła na manowce i się zbiesiła, syna, co poszedł w narkotyki...

Ale któż z ludzi w jej wieku szuka dawnej przyjaciółki matki?!

* * *

Kostas był jeszcze w pidżamie, siedział na tarasie i przeglądał coś w komputerze. Stała za jego plecami. Lekko się wzdrygnął i przestraszył, kiedy zaczęła mówić.

– Bardzo wam dziękuję. Rzadko się zdarza, żeby tak serdecznie przyjąć nieznajomą... Bo w sumie jestem nieznajomą, po prostu. – Agnieszce ze wzruszenia, ale i z powodu kaca, zaschło w gardle i głos zaczął jej niebezpiecznie drżeć.

– Za nic nie przepraszaj. Elle będzie zadowolona, jak do niej dotrzesz.

– Może...

– Zrobię ci kawę.

– Dzięki. Ale mimo wszystko, narobiłam wam kłopotu.

– Żaden kłopot. I zakazuję ci w tych kategoriach mówić o naszym spotkaniu!

Thelmy już nie było. Uprzedzała wieczorem, że zamierza wstać przed siódmą, mimo to Agnieszka była rozczarowana, że kobieta się nie pożegnała. Zostawiła dla Agnieszki papierową torbę przewiązaną wstążką w kolorze greckiego morza. W środku była ładna bluzka z greckim haftem na rękawach i na dole. Kiedy wieczorem rozmawiały o ciuchach, Thelma sklasyfikowała Agnieszkę jako południową piękność, czym przypomniała jej Wiktora – on też tak uważał. Powiedziała, że ma dla niej prezent, ale Aga nie wzięła pod uwagę, że będzie tak kosztowny. Do bluzki dołączona była kartka. „*Niech cię otula nasze słońce. Wracaj*”.

– A ja nic dla was z Polski nie przywiozłam.

– Będziesz miała okazję, przyjedziesz znów, przywieziesz. Pomyślałem, że zadałem ci bobu tym gadaniem o Krzysztofie. No cóż, jezor mnie świerzbił i wymsknęło mi się. Nie powinienem.

– Spoko, dzięki w sumie, bo nigdy bym nie wpadła na to, żeby zapytać mamę, czy w jej życiu był ktoś jeszcze. Ktoś poza tatą. To moja wina.

– Tylko zrób to delikatnie.

Pomyślała, że Kostas otworzył furtkę do jej zainteresowania... matką.

– Wyobraź sobie, ona dotąd wydawała mi się najnudniejszą postacią pod słońcem. Przewidywalną, nawet w picu, bez zainteresowań, nuda, po prostu nuda.

Zapadła cisza. Kostas smażył jajka na bekonie.

– Nie obrazisz się, jak dostaniesz ociupinkę śniadania? Znalazłem tylko dwa jajka.

– Dajże spokój.

Usiedli nad patelnią z jajkami.

– Wiesz... chcę ci coś jeszcze powiedzieć. Wolę, żeby tego akurat Thelma nie wiedziała.

– Mów.

– Przyjechałem do Grecji w osiemdziesiątym czwartym roku. Miałem wyjechać z Polski już pod koniec osiemdziesiątego pierwszego, ale ogłoszono, jak zapewne wiesz, stan wojenny. W tym smutnym szarym okresie, ja, mały żuczek, dostałem bardzo dobre zlecenia w Warszawie. Przeniósłem się do stolicy, no i tak wyszło, że dopiero po trzech latach udało mi się wyjechać, zresztą po długich staraniach. Elle była na ostatnim roku Greki, zahartowała się w boju, można tak powiedzieć. Ale też stała się obcesowa, może to była moja wina, że ją zostawiłem. Pewnie tak. Mieliśmy wziąć ślub, ale odległość, czas i kłopoty dnia codziennego wyprały nas z romantyzmu, zaczęły się kłótnie. Elle kilka lat była sama, to ona wszystko dla nas przygotowała. Doszły jej problemy z matką, która wyglądała strasznie,

zaniedbana, jakby miała sto lat, a przecież wtedy ledwie dobiegała pięćdziesiątki. Elle musiała wziąć ją na jakiś czas do siebie i po prostu stać się głową rodziny.

– Tłumaczysz ją? To, że miała silny charakter?

– Nie, raczej mam na myśli, że mi to nie pasowało. Tłumaczę siebie.

– Nie musisz.

– Elle okazała się być kobietą, która w kłopotach pokazuje pazur, teraz nawet chyba bardziej niż kiedyś. Z naszej dwójki to ja byłem ten słabszy, ale na szczęście tylko w związku z Elle. I na szczęście dawno temu. Dobrze, że Thelma tego nie słyszy – uśmiechnął się. – Rozstaliśmy się po dwóch latach, wynająłem pokój z kuchnią. Ale pozostaliśmy... przyjaciółmi. – Kostas miał niewyraźną minę. – Zaprosiła mnie na swój ślub – dodał, gwoli wyjaśnienia.

– W którym to było roku?

Agnieszka wypytywała Kostasa o Elle, bo czuła, że uczucia między nimi wciąż są żywe, że Elle nie jest mu obojętna. Musiała jednak przyznać, od wczoraj zaczął interesować ją ktoś inny. Krzysztof. Ciekawe, jak się nazywał. Gdyby wiedziała, mogłaby sobie go wyszukać w necie. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy w hotelu chwyci za telefon i zadzwoni do matki.

– To było na początku osiemdziesiątego ósmego, a na jesień wpadliśmy na siebie z Nestorem i zaprosiłem go do siebie na wódkę. Wtedy jeszcze nie miałem domu, tylko małe mieszkanie na peryferiach Salonik, z pracownią na poddaszu.

– Kto to Nestor?

– Mąż Elle. Nestor Balafas. Pogadaliśmy... Miał dla mnie dziwną propozycję... – Kostas zamilkł. – Chciał, żebym dał im dziecko, oferował za to krocie – dodał po chwili.

– Boże, to u was tak się załatwia te sprawy? – jęknęła Aga.

– Nie odpowiem na twoje pytanie. Nestor chciał, żebym zapłodnił Elle, mówiąc dosadniej. Miał już wtedy ponad sześćdziesiąt lat i podobno zero szans na potomka.

– Jejka! I? – Agnieszka aż podskoczyła z zainteresowania. – Zgodziłeś się?

– Nie. Chyba mu padło na mózg! Albo za dużo *ouzo* wypił. – Kostas westchnął.

– Elle ma dzieci?

– Ma dwóch dorosłych synów.

– Z Nestorem?

– Tego nie wiem. Raczej tak.

Kostas, jak obiecał, zaopatrzył Agnieszkę we wszystkie adresy Elle, a było ich sporo, następnie spojrzął na zegarek i wybiegł z salonu. Wrócił ubrany w szykowny lniany garnitur, na pewno znakomitej marki. Agnieszka zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Bez pośpiechu – powiedział. – Przepraszam, że poczęstowałem cię skromnym śniadaniem, ale dzisiaj Irina ma wolne. Wypij kawę, pokażę ci, gdzie masz potem wrzucić klucze. Zejdź do tawerny na dół i koniecznie zamów sobie ryż z kozim serem i z oregano. Możesz też spróbować świeżych okoni, mają tam bardzo dobre.

* * *

Agnieszka zamknęła skrzypiące drzwi. Dokładnie w momencie, kiedy klucz do domu Kostasa i Thelmy stuknął o dno stojącej przy drzwiach donicy z cerkwi, w dolinie odezwał się dzwon. Schodząc do wsi, zerwała cytrynę i dwie pomarańcze. Pomyślała, jakie to dziwne, że się jeszcze uchowały.

Zaszkodził jej alkohol. Najpierw było wino, potem *tsipouro*, a na koniec znów wino, zdecydowanie najsmaczniejsze, choć bardzo zwodnicze. A potem znów *tsipouro*, jako lekarstwo na strach przed węzami i jaszczurkami. Na szczęście nie było żadnych węży ani innych gadów, chyba że urojone, w głowie, od alkoholu.

Tawerna znajdowała się zaraz za rogiem, przy drodze, pod wielkim cyprysem. Tęga Greczynka powitała Agnieszkę tak, jakby się dobrze znały i nie widziały od miesięcy.

– Coś mi się wydaje, że nigdy cię nie widziałam, ale zaraz to nadrobimy i już na zawsze będziesz moją dobrą znajomą – oświadczyła po grecku.

– Nie rozumiem – powiedziała Agnieszka po angielsku.

– To nie jesteś stąd, ale masz naszą urodę... – Greczynka przeszła na angielski. – Skąd idziesz?

– Byłam u Kostasa i Thelmy Skolias.

– To ci na górze. Bogaci, choć kryzys. Ciekawe, skąd mają pieniądze.

Greczynka łypnęła na Agnieszkę, która nie podjęła tematu.

– Jeśli i ty byś chciała coś dla siebie – dodała Greczynka – to mój stary jest najlepszym budowląncem na Korfu. Wiele nie weźmie, a pomoże szukać jakiegoś domku za bezcen.

– Raczej nie skorzystam.

Kobieta zrobiła zawiedzioną minę.

– Nie mam pieniędzy. – Agnieszka uznała, że musi się wytłumaczyć. – Pochodzę z Polski, wojna zabrała nam majątki, domy trzeba było odbudowywać, potem spustoszeń dokonał socjalizm. Dopiero w Unii zaczynamy odrabiać straty.

– Ale jakbyś chciała, to pamiętaj. Nikogo nie szukaj, przyjeżdżaj do nas, kładziesz pieniądze na stół i masz. – Kobieta wyglądała na udobruchaną. – To co ci podać?

– Ryż z kozim serem i oregano, poproszę. Kostas polecił.

Kobieta zniknęła za drzwiami, zostawiając na wpół odsłoniętą zasłonę. Agnieszka wyjęła z torby cytrynę, rozerwała ją palcami i wgrzyzła się w miąższ, jakby nie jadła od paru dni. Skrzywiła się, zaczęła kaszleć i chwyciła za szklankę z wodą. Ten smak! Okropność!

Greczynka pojawiła się natychmiast, jakby stała za drzwiami.

– Dziecko, to nie jest jadalne! Nie o tej porze roku! Podobnie pomarańcze! Można z nich zrobić sok czy sos, nawet konfiturę, ale trzeba sporo roboty, żeby się pozbyć gorzkości.

Ryż z kozim serem był rzeczywiście przepyszny. Kobieta postawiła obok drugi talerz z dwoma pulpecikami.

– Jedz, boś za chuda.

Za chwilę pojawiła się z dzbankiem i szklanką.

– To nasze *ouzo*[7].

Agnieszka nie знаła tej wódki. Zapytała o nią gospodynię, która okazała się rozmowna, może dlatego, że się nieco nudziła, bo w gospodzie nie było nikogo.

* * *

Musiła przyznać, że po *ouzo* z lodem poczuła się lepiej. Coś w tym było, żeby na kacu wypić klinika. Szła na przystanek rozluźniona, syta, w dobrym humorze. Lekko owiewał ją wiaterek, po jednej stronie lśniło morze, po drugiej wznosiła się wysoka skarpa; nie było jeszcze południa, więc upał na razie nie doskwierał. Wszystko razem sprawiło, że wystukała na smartfonie numer matki.

– Mamo, czy ty wiesz jaka rewelacja!? Nocowałam u Kostasa i jego żony, Thelmy!

– Thelma! Cóż za okropne imię! Poza tym nie wypada się wpraszać w gościnę, przecież się nie znaliście. Nie możesz wymuszać...

– Mamo, ja niczego nie wymuszam. – Odechciało jej się tej rozmowy.

– Kostas nie jest z Elle? Spodziewałam się...

– Dawno temu się rozeszli.

– Jak on wygląda? – zapytała cicho matka.

– Świetnie jak na swoje lata. Dobrze mu się powodzi. Opowiedział mi o tobie i o tacie. Jestem

zdumiona, bo wydawało mi się, że poznałaś tatę dużo później, gdzieś koło osiemdziesiątego czwartego. Wtedy jednak Kostasa już nie było w Polsce

– I tak, i nie. – W telefonie zaległa cisza.

– Czyli znaliście się wcześniej?

– Tak, my, to znaczy ja i tata, poznaliśmy się na pierwszym roku, to znaczy ja byłam na pierwszym roku. Bo tata wyżej.

– I od razu zostaliście parą?

– Chyba tak.

– I?

– Muszę kończyć, ktoś puka do drzwi.

Aga nabrała stuprocentowej pewności, że ze strony matki był to wybieg. Miała zapytać o Krzysztofa, ale nie starczyło jej śmiałości.

Stanęła na przystanku, próbując rozszyfrować z tablicy, czym można dojechać do Kerkiry; stamtąd czekały ją jeszcze kilometry na północny wschód. W smartfonie wytyczyła sobie trasę, zastanawiając się, w który autobus wsiąść. Zapytała o to dwie kobiety w czerni, które właśnie przechodziły drogą, ale rozłożyły bezradnie ręce. Następnie sytuacja powtórzyła się ze starszym mężczyzną: też nie potrafił albo nie chciał jej pomóc.

Kiedy siedziała na przystanku, przyplątał się mały piesek. Był kudłaty, w sumie brzydki, na pewno brudny, ale jednak w jakiś sposób bliski. Łasił się, jakby znał ją od lat.

– Czyj on jest?! Wie pan?! – zawołała do Greka pchającego taczkę po drugiej stronie ulicy. – Proszę pana! Pytam o psa. Nie chcę, żeby się zgubił! Jest pan stąd?

– Nie wiem, od jakiegoś czasu się tutaj płacze. – Grek poszedł dalej.

Agnieszka wzięła łaszącego się psa na ręce. Nie był młody, miał rany na łapie i na uchu. Zza zakrętu wyłonił się niebieski autobus.

– Tym autobusem dojedzie pani do Kerkiry. – Przez jezdnię przebiegł mały chłopiec.

– Dziękuję. A może ty wiesz, czyj to pies?

– Może go sobie pani wziąć, jest niczyj. Nie gryzie, ale może mieć pchły.

Nie miała sumienia zostawić zwierzaka, ale nie chciała też złapać pcheł. Cóż zrobić, musiała być racjonalna. Postawiła psa na ziemi i wyjęła z notesu żółtą kartkę, na której poprzedniego dnia zanotowała ważne słowa Kostasa:

Zawsze szkoda, gdy coś idzie źle. Mimo że później jesteś szczęśliwa, to jednak szkoda, że wcześniej miałaś przejścia innej natury.

Odnosiły się również do niej. Przykleiła kartkę na tablicy z rozkładem jazdy.

Kiedy odjeżdżała, przez okno widziała, jak pies biegnie za autobusem i dramatycznie szczeka. Mały chłopiec siedział na ławce na przystanku i machał nogami.

* * *

Elle

Minęły trzy lata, trzy lata samotności. Trzy lata bez Kostasa. Stało się tak, że ta, która nie miała w planach emigrować do Grecji, wciąż próbowała się tu urządzić. A ten, który nie wyobrażał sobie, by po studiach zostać w Polsce, nadal tam mieszkał. To nie było w porządku. Elle miała do Kostasa żal, mógł się postarać, nie przekonywało jej, że w Polsce trzyma go praca.

Ale miłość przecież wybacza.

Elle w Salonikach wciąż czuła się jak wtedy, kiedy z pożyczonymi dolarami w kieszeni próbowała odnaleźć się w miejscu całkiem nieznanym. Jej życie było tymczasowe, nie dokonywała w nim żadnych zmian. Nieustannie oszczędzała na czas z Kostasem. Wciąż chodziła w dwóch

sukienkach z tetry, jeszcze z polskich czasów, które w Salonikach robiły furorę. Jesienią i zimą przechodziła w swetrach własnej produkcji i w poncho, w którym w Polsce zadawała szyku. W Grecji kupiła sobie tylko sandały i półbuty z prawdziwej skóry. Zimą zakładała dwa swetry i poncho, bo czerwony, wełniany płaszcz z Polski został w pociągu.

Brała wszystkie zlecenia. Na trzecim roku studiów miała mniej zajęć, zresztą szło jej bardzo dobrze. Zbierała nagrody, dostała stypendium, ale to wciąż było za mało. Musiała uwić gniazdo dla dwojga, a to nie było łatwe. Nie miała żalu do nikogo, tylko do siebie, jeśli wieczorem padała na nos i nie miała już siły na dodatkową arabistykę. Na szczęście nie nachodziły jej myśli o rezygnacji. To słowo w słowniku Elle nie występowało.

Mama poznała wdowca ze wsi obok, wzięli ślub. Wiedli biedne, ale szczęśliwe życie i Elle cieszyła się, że nie musi się już o nią martwić, nie musi wysyłać jej pieniędzy.

Któregoś razu sąsiadka, Nina Balafas, samotna starsza pani, spotkawszy Elle na schodach, poprosiła ją o pomoc przy upięciu firan. Tak bardzo podobały jej się te, które widziała u Elle; mocno zmarszczone, zasłaniające okna przed słońcem i wścibskimi sąsiadami. Sute marszczenie firan nie było popularne w Grecji, ale jej się spodobało. Od tamtego czasu Elle podpytywała, czy w czymś kobiecie nie pomóc. Nina miała w domu sporo do zrobienia: okna do umycia, porządek pod wielkimi kanapami z pluszu, terakotę do wypucowania, fugi na podłodze do wyczyszczenia. Kiedy postanowiła zrobić porządek w szafach, wyrzucić zbędną odzież, zbędne pościelenie i obrusy, Elle dostała mnóstwo dobrych i eleganckich ubrań, które podczas ferii zimowych poprzerabiała. Szafy Niny były kopalnią diamentów.

Nina Balafas była zachwycona talentem i pracowitością dziewczyny. Zawsze ktoś taki w pobliżu był jej potrzebny. Zaczęła więc przynosić jej swoje rzeczy do przeróbki.

Pewnego dnia zaprosiła Elle na *musakę* własnego wyrobu.

– Przyjdź, będziesz tylko ty i mój brat, Nestor.

– Oj, nie chcę przeszkadzać.

– Przyjdź, nie miej wyrzutów sumienia. Masz chłopaka? Bo nie widzę, żeby jakiś przychodził.

– Mam, jest jeszcze w Polsce, ale za parę miesięcy przyjedzie.

Nina Balafas machnęła ręką.

– Mój też miał przyjechać, ale jakoś zabarłoczył. A ja taka wierna mu byłam.

– Gdzie zabarłoczył?

– W Ameryce. Pojechał zarobić na nasz ślub. Nie czekaj, szukaj tutaj i teraz.

– Nie, to Kostas mnie namówił na powrót do Grecji. Przyjedzie i będziemy razem, tak się umówiliśmy.

– Dobrze ci tu samej?

– Mnie było w Polsce dobrze. Już bym kończyła studia.

– Ale tam wojna, czołgi.

– Już nie, ludzie żyją w miarę normalnie. W kolejkach po jedzenie kwitnie życie towarzyskie.

Podstawowe produkty są na kartki.

– Zimno tam, śnieg. W Grecji ciepło.

– To można się grubiej ubrać. I też jest dobrze.

– Czuję, że masz do swojego chłopaka żal. Słusznie. Szlachetny mężczyzna nigdy by nie zostawił kobiety samej. Koniecznie przyjdź, moja *musaka* jest słynna w rodzinie. Napijemy się wina albo czegoś mocniejszego.

– Byle nie *ouzo*! Nie znoszę anyżu. – Elle już nie trzeba było namawiać.

Nestor, brat Niny, młodszy od niej o kilka lat, był szarmancki, dowcipny, elegancki. Byli bardzo podobni; te same wydatne orle nosy, usta o podobnym, regularnym zarysie. Ciemne włosy bez śladu siwizny. I zarażająca radość życia.

Zanim Kostas wraz z niewielkim dobytkiem wylądował na lotnisku w Salonikach, spotykali się w trójkę jeszcze parę razy. Nestor w jakimś sensie zaczął się Elle opiekować, a jej to było na rękę. Grali w gry planszowe, rozmawiali o kierunku, w jakim zmierza świat; Elle opowiadała rodzeństwu Balafas o Polsce. Sporo też dowiedziała się o Nestorze. Miał niewielką winnicę na wyspie Korfu, a do siostry

lubił zaglądać, szczególnie zimą, kiedy nie było prac w polu.

Przegadali też parę godzin o Dance. Elle wciąż nie miała z nią kontaktu. Pisała listy, które wprawdzie nie wracały, ale od dwóch lat nie było odpowiedzi. Ostatni list od Danki dotyczył prawie w całości Krzysztofa, który został internowany w pierwszy dzień stanu wojennego. Elle nie wiedziała, że działał w solidarnościowym podziemiu. Danka pisała, że go odwiedza; to był smutny list... i śmierdział wódką, mimo że przebył kilkaset kilometrów.

Nestor nigdy nie miał żony, był może i nieco zdziwaczały, zwłaszcza w swoich konserwatywnych poglądach, ale miał hojną rękę. Na przyjęcie z okazji przyjazdu Kostasa wyłożył kilkaset drachm, mówiąc do Elle:

– Trzeba go w kraju jak najlepiej przywitać.

Kostas wprowadził się do mieszkania Elle, parę tygodni szukał pracy, wreszcie dostał małe zlecenie i zaczął pracę architekta. Do domowego budżetu mógł dołożyć niewielkie pieniądze. Nie miał nazwiska ani doświadczenia na greckim rynku, jednak domy w Polsce wyglądały nieco inaczej. Zresztą w Polsce zlecenia też się skończyły. Zastanawiał się, czy nie zostać marszandem.

– Nie chcę pieniędzy – kategorycznie oświadczyła Elle. – Mam wobec ciebie dług z Polski, pożyczyłeś mi dolary na wyjazd.

– Ale...

– Zostawmy to, dobrze?

Przez kilka miesięcy było dobrze, żyli jak małżeństwo, a Elle była szczęśliwa.

– Czas na ślub, kochany – powiedziała, leżąc na nim po jak zawsze znakomitym seksie.

– Nie.

– Nie?

– Jeszcze nie – poprawił się. – Muszę stanąć na nogi.

– Przecież stać nas na wesele, a nawet na dzieci.

– Elle, ja cię nie poznaję. Przecież nie skończyłaś jeszcze dwudziestu czterech lat. Mamy czas.

Musimy stanąć na nogi.

Elle była rozgoryczona. Odejmowała sobie od ust, żeby wystarczyło na życie z Kostasem. Mogli już wychowywać dzieci, niebawem skończy studia, mogła podjąć pracę w szkole, jak jej proponowano.

Kończył się osiemdziesiąty czwarty rok. Kostas chciał spędzić sylwestra w jakimś lokalu, ale Elle miała inny finansowy cel, nie chciała wydawać pieniędzy na zbytki. Wynikła sprzeczka.

– Przyjechałem, a ty co?

– No co?

– Przecież nie będziemy siedzieć w domu. Wszyscy się gdzieś bawią.

– Możemy się bawić w łóżku – zażartowała, choć nie była w nastroju do żartów. Pożądała go, był jej miłością, tyle na niego czekała.

– No chyba kpisz! – prychnął.

Pokłóceni, w minorowych nastrojach poczłapali na plac Arystotelesa, bez szampana. Tak przywitali rok osiemdziesiąty piąty.

Kolejne dwa minęły w podobnym rytmie. Trzy dni miłości, tydzień kłótni, tydzień milczenia. Elle to przerastało, zaczęła mieć kłopoty na studiach, zwłaszcza że już wcześniej na jeden rok wzięła urlop, bo chciała pobyć z Kostasem. Nie szło jej pisanie pracy dyplomowej. Okres załamania nie trwał na szczęście długo. Gdy napisała pracę, potem ją obroniła, mogło być już tylko lepiej, więcej czasu spędzała w domu.

Wtedy Kostas się wyprowadził.

To był dla Elle szok. Przecież miał być na zawsze, do śmierci. Dla niego opuściła Polskę, dla niego jeszcze raz zrobiłaby to samo. Nie rozumiała jego decyzji, choć próbował się wytłumaczyć. Powiedział, że nie mogą mieszkać razem, bo się spalą, i poprosił o kilka miesięcy na przemyślenie. Elle wyplakiwała się Ninie, znów spędzały ze sobą dużo czasu.

Po tygodniu Elle nie wytrzymała i pojechała do pokoiku, który Kostas wynajął na peryferiach miasta. Znów było dobrze, dopóki w łazience nie zauważyła śladów innej kobiety: pomadka, jakiś krem

na noc. I tampony.

– Przyjechałam do Grecji przez ciebie, dla ciebie, żeby być z tobą. Nie możesz mi tego robić!

– Elle, jestem wolny. Nie prosiłem cię, żebyś się dla mnie poświęcała. Nie musisz nic dla mnie robić. Nie czyni ze mnie ofiermy. Sam potrafię na siebie zapracować.

– Nie prosileś? Nawet o to, żebym wyjechała z Polski?

Kostas westchnął i zaciągnął się papierosem.

– To znaczy prosiłem, ale to był inny czas i to byłaś inna ty...

– Inna ja...

Kostas podszedł do Elle, uniósł jej twarz, pocałował w czubek nosa i powiedział:

– Będziemy w kontakcie.

Owo „będziemy w kontakcie” wzięła dosłownie.

Zakładała najlepszą bieliznę, w którą od niedawna zaczęła inwestować. Wsiadała w autobus, a po półgodzinnej jeździe wślizgiwała się do kawalerki Kostasa. Wychodziła z niej w przekonaniu, że kiedyś będą razem.

Kostas bez Elle uwierzył w siebie, co przyniosło efekt w postaci kilku zleceń, które dały mu wreszcie upragnioną niezależność i wizję przyszłości bez finansowych kłopotów. Zawarł znajomości, najbardziej pomogły mu kobiety.

Elle, wychodząc od niego któregoś listopadowego popołudnia, rzuciła:

– Wynajmij lepsze mieszkanie, stać cię na coś przyzwoitego.

Sama po ukończeniu studiów szukała pracy w szkole, ale skończyło się jedynie na wpisaniu jej na listę rezerwową. Ratowała się tłumaczeniami, dzięki którym zarabiała dobre pieniądze. Ale to nie było to, chciała mieć czas zapelniony co do minuty; albo już nie potrafiła żyć inaczej, albo nie chciała myśleć o rozczarowaniu miłością.

Przyszła samotna zima osiemdziesiątego szóstego roku, Kostas nie miał dla niej czasu. Nie wynajął lepszego mieszkania, do tego zaczął się spotykać z dziewczyną, która przyjechała z Polski. Krystyna Grygiel była dziennikarką, jej ojciec był Polakiem, a matka Greczynką. Obie uciekły od męża i ojca pijaka. Elle przyjechała kiedyś do Kostasa, ustalili wcześniej, że dniem ich spotkań będzie środa. Przyjechała i zastała tlenioną blondynę, w najlepsze wylegującą się na ich łóżku z papierosem w ustach!

– Jestem dziewczyną Kostka – powiedziała po polsku.

– Daj papierosa. – Elle powiedziała to niezbyt grzecznym tonem. Dziewczyna wyciągnęła w jej stronę paczkę polskich caro.

Elle nie była palaczką, ale powinna czymś szybko zatkać usta, bo na język cisnęły jej się okrutne słowa. Mocno się zaciągnęła i poczuła, że papieros uratował jej życie. Mogła uspokoić emocje.

Tego jesiennego popołudnia rozsypało się wszystko. Wszystko się zmieniło. To był kres, koniec. Jak będzie mogła żyć bez Kostasa? Najpierw trzymała ją nadzieja, że przyjedzie do Grecji, potem, że zamieszkają razem i wezmą ślub. Wciąż się łudziła, że do niej wróci, ale to już tak nie cieszyło, zbyt dużo było rozczarowań. Elle potrzebowała stabilizacji. Z kimś. Dobrze jest się dzielić swoim życiem z kimś bliskim.

Przeplakała dwa dni.

W życiu Elle znów zaczął pojawiać się Nestor, pozwoliła mu na to. W listopadzie we trójkę, razem z Niną, obchodzili jego pięćdziesiąte ósme urodziny. Dziewczyna wciąż była zrozpaczona po stracie Kostka, ale przy Nestorze się uspokajała, w jakimś sensie była z nim szczęśliwa. On też doskonale ją wyczuwał, chociaż nie miał bogatych doświadczeń z kobietami, jak się zorientowała, zwłaszcza z tak młodymi. Elle uważała, że bliskość, która się między nimi zrodziła, była wynikiem gwiazdowego przyciągania, braterstwa duszy. Nestor był szlachetny, szarmancki i, dziwnym trafem, zawsze w pobliżu, kiedy ciążyła jej samotność.

Pewnego popołudnia w mieszkaniu Niny długo grali w karty. W końcu Nestor zadeklarował, że odprowadzi Elle do jej mieszkania, piętro niżej. Stanęli przed drzwiami.

– Dziewczyno! – Wziął jej twarz w ręce. Czowała, jak są gorące, silne i twarde.

Uśmiechnęła się.

– Dziewczyno! – Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem wbiegł po schodach.

To była wymowna scena, Elle wiedziała, co chciał powiedzieć, i wcale jej to nie zraziło. Oprócz przyjaźni przyszła też chemia, poczuła do niego pociąg, nawet kilka razy jej się przyśnił.

Kolejnym razem już nie uciekł. Kiedy stanęli pod jej drzwiami, Nestor chwycił ją za rękę i zapytał:

– Wejdziemy do środka?

Elle sięgnęła ręką do włącznika prądu.

– Nie zapalaj – usłyszała. – Wyjdźmy na balkon. Popatrzmy, jak zasypia miasto.

– To wcale nie jest ciekawe. Widzę to codziennie.

– A ja ze swojej wsi widzę tylko ciemność.

– W ciemności lepiej się śpi.

Czuła, że jest podniecony, to ją mile łechtało. Wkręciła się w jego rytm, szła za nim w ciemności, na tle okna rozświetlonego ulicznymi latarniami. Widziała jego ciało i chciała go dotknąć. Podobała się jej ta jego surowość i twarde mięśnie nabyte w wyniku ciężkiej pracy. Na pewno nie miał czasu na zbytki, jak... Kostas. Cholera, co za palant, i ona mu kiedyś wierzyła!

Nestor otworzył drzwi na balkon. Zrobiło się mroźnie, ale Elle było gorąco, serce waliło jej jak młotem, kiedy oparła się o Nestora. Objął ją i odwrócił twarzą do siebie.

– Nie przeszkadza ci, że jestem od ciebie dużo starszy?

– A tobie nie będzie przeszkadzało, że jestem od ciebie nieco młodsza?

Miał miękkie wargi i ciepłe dłonie, które sprawiły, że nie było jej zimno. Objęła go za szyję, a stopą po omacku zapaliła lampkę. Pomarańczowe światło zalało pokój i przykryte haftowaną pluszową kapą duże łóżko.

To ona rozebrała go pierwsza. Potem już było pewniej, tego wieczoru Elle kilka razy wzdychała z rozkoszy. Nestor dał jej to, czego chciała. Nie wrócił do mieszkania siostry, około trzeciej nad ranem zmęczeni zapadli w sen.

Mimo że Nestor, jak na swój wiek, był sprawnym kochankiem i przeżywała z nim w łóżku miłe chwile, jednak na pewno nie było to szaleństwo. Kostas był emocjonalny, nie musiał jej wyczuwać, każde z nich osiągało orgazm, myśląc wyłącznie o sobie. To było szalone, podniecające, a spełnienie przychodziło w tym samym czasie, co jeszcze bardziej podniecało Elle, chciała więcej. Żyła szybko i podobnej prędkości potrzebowała też w łóżku.

Mimo że zbliżyła się z Nestorem, z Kostasem też się spotykała, ale po każdym wyczerpującym seksie z nim czuła się tylko gorzej. Z czasem owe intymne spotkania zaczęła traktować jak wykwintne jedzenie. Dobrze jadła rzadko. To było mądre postępowanie, inaczej smakołyki by jej spowszedniały.

Nestor był spokojny, z wycuciem, dawał jej poczucie stabilizacji. Zastanawiała się nad fenomenem ich związku.

– Zostań moją żoną. Będiesz miała wszystko. Kocham cię. I ty mnie z czasem pokochasz.

– Nestor!

– To znaczy, że się zgadzasz?

– Daj mi parę dni.

Kostas nie miał czasu na schadzki, a Elle też się o nie przestała dopraszać. Bardzo przeżyła jego ślub z Krystyną. O ile w związku z Kostasem to Elle była mózgiem, o tyle w związku z Krystyną to Kostas musiał się starać. Krystyna nie pracowała i nie miała zamiaru tego zmieniać.

W grudniu osiemdziesiątego siódmego roku Nestor i Elle wyszli do teatru. Elle, w nowej małej czarnej od Nestora, pelerynie własnego pomysłu i wykonania, z kopertówką pod pachą i w czółenkach na wysokich obcasach, nie czuła się pewnie, ale niewątpliwie wyglądała atrakcyjnie. Była tego pewna, łapiąc spojrzenia mężczyzn.

Podczas przerwy, w foyer, Nestor objął ją w pasie i pocałował w czoło. Elle pogłaskała go po twarzy.

– Podoba ci się?

– Bardzo, kochany.

Przygarnął ją do siebie.

– Twoja oferta jest aktualna? Bo chcę zostać twoją żoną.

To był uczciwy transfer, nie mogła czekać.

* * *

Wyspa Korfu to tylko sześćdziesiąt kilometrów lądu. Będąc w stolicy wyspy, Agnieszka podjęła decyzję. Sprawdziła na planie możliwości dojazdu, wsiadła w autobus miejski numer piętnaście i pojechała na dworzec autobusów dalekobieżnych. Kierunek – winnica. Liczyła, że zastanie Elle, spotkają się, porozmawiają, i Agnieszka będzie wreszcie wolna, pozbędzie się tej historii. Położy się na plaży, wyciszy i zastanowi, co z tym wszystkim zrobić.

Jadąc, oglądała krajobrazy. Droga do Liapades wiodła przez tereny nizinne, ale w tle widać było góry. Musiała przyznać, to była ładna wyspa. Urzekły ją mijane po drodze gaje oliwne, najpewniej prastare, bo drzewa miały niesłychanie splątane gałęzie. Akurat trafiła na sjęstę, na drodze panował niewielki ruch, okolica spała. Tylko owady nie zapadły w południową drzemkę, głośno zaznaczając swoje istnienie.

Wysiadła w Liapades na przystanku. Miała do przejścia półtora kilometra polną drogą wśród chóru cykad. Dom znajdował się na wzniesieniu. Zapukała do bramy, długo nikt nie otwierał. Właśnie zastanawiała się, jak sforsować wejście, kiedy po paru minutach brama się uchyliła. Za drzwiami stał mężczyzna w białym kitlu, spod którego wystawały chude nogi w szortach w kratkę. Na głowie miał czapkę, a jego twarz była zasłonięta siatką, której na widok Agnieszki nie odsłonił, jakby miała ebolę.

Wyglądał jak Marsjanin, ale Agnieszka niewiele widziała horrorów o Marsjanach w białych kitlach, zatem wyobraźnia podpowiedziała jej bardziej racjonalne rozwiązanie, że ubrał się w ten sposób do oprysku.

Rozejrzała się po okolicy. Dom był stary, niewielki, zbudowany z kamienia, z wielkim eukaliptusem przed wejściem, klimatyczny, według słownika Agnieszki.

Z domu wyszedł starszy mężczyzna. Stanął na szczycie schodów i zawołał:

– Nestor! Miałeś odpocząć, a potem iść ze mną do winnicy!

– Tak, jestem gotowy, ale za chwilę, Theo! – odkrzyknął mężczyzna z siatką na twarzy.

Agnieszka przedstawiła się i zapytała o Elle Spiropoulos.

– Spiropoulos... hm, to panięskie nazwisko. Nie ma szefowej – powiedział oschle.

Była rozczarowana, do tego zmęczona, w jakimś stopniu zbita z tropu, czego nie lubiła i co prawdopodobnie można było odczytać z wyrazu jej twarzy.

– Nie wiem, kiedy będzie – dodał mężczyzna nieco łagodniejszym tonem. – Myślę, że dopiero za parę dni, nie wcześniej.

– Szkoda.

– Trzeba było zadzwonić. Coś ważnego?

Trzeba było zadzwonić... Miał rację, w cywilizowanym świecie ludzie się umawiają.

– Nie, chciałam tylko zapytać o parę rzeczy. – Pominęła uwagę, a raczej przytyk. – No trudno, będę musiała poczekać.

– Tutaj? – Usłyszała zdziwienie w głosie.

– Nie, nie tutaj. Oczywiście, że nie tutaj.

Zapadła cisza.

– To kiedy w takim razie mam zadzwonić?

– Za parę dni, najwcześniej za tydzień.

Z jakichś powodów zataiła prawdziwy powód przyjazdu. Była blisko Elle, dużo bliżej niż w Salonikach.

– Uprawa winogron to na pewno ciężka praca? – Zrobiła szeroki ruch ręką, wskazując na widoczne w oddali pole. Pomyślała, że zamaskowany mężczyzna już jej na to nie odpowie, ale nie miała racji. Jakby się rozluźnił. Jakby przestał się spieszyć.

– Przywykłem. Wystarczy, że powiesz sobie, że droga nie będzie łatwa, i lepiej się przystosujesz do trudów. Ale tak, racja. Sporo jest zachodu. Wiosną opryski, potem latem zaczyna się temat liści; za szybko rosną, oceniają owoce i winogrono przez to długo dojrzewa. Część liści trzeba usunąć i to robi się prawie cały czas. Wreszcie, pod koniec września, zbiory. Wielu z nas zatrudnia Albańczyków, taki to natłok pracy. I w końcu produkcja.

– Widziałam po drodze sporo winnic, zazwyczaj małych.

– Większość z nas produkuje wino dla własnych potrzeb. Prawie każdy na wyspie ma piwniczkę z zapasami.

– Czyli nie na sprzedaż.

– Nie. Dla znajomych, dla podtrzymania towarzystwa, dla zabicia długich zimowych wieczorów, dla podniesienia smaku potraw...

– Można kupić wasze wina w sklepach?

– Tak, ale nie wszędzie. Na Korfu są dwie winnice zajmujące się produkcją wina na dużą skalę. To posiadłość braci Gramenou, a drugie miejsce to Theotoki. Wina o tych nazwach znajdziesz we wszystkich supermarketach na wyspie.

Sporo wiedział i lubił mówić. Agnieszka łaknęła tej wiedzy.

– Długo pan tutaj pracuje? W winnicy?

– Od siódmego roku życia – zaśmiał się.

Nie mogła ocenić, ile to już lat, bo wciąż miał siatkę na twarzy. Głos był młody, ale owo wrażenie mogło być zwodnicze. Gdyby nie ta siatka, czułaby się bardziej komfortowo. Podczas ich rozmowy Theo kilka razy wychodził na taras, ale widząc, że rozmawiają, wracał do domu.

Agnieszka postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o Elle.

– Jest pan spokrewniony z panią Elle?

– Hm. Coś jeszcze panią interesuje? – Usłyszała zimne tony w głosie mężczyzny.

Zawstydziała się.

– Nie. Tylko... – Zbierała myśli. – Nestor, proszę mi powiedzieć, czy na pewno pani Elle za parę dni przyjedzie do winnicy?

Zapadła cisza. Nie widziała jego twarzy, ale wydawało jej się, że bawi go ta sytuacja.

– Taaa... Masz dziwny akcent. Nie jesteś stąd, prawda? Grecy inaczej kaleczą angielski. – Zaczął się śmiać, z ironią, jak jej się znów wydawało.

Dziwne byłoby, gdyby Greczynka z Grekiem rozmawiali po angielsku. Cóż za logika!

– Z Polski, jestem z Polski – powiedziała wyniosłe i już chciała się wycofać i wrócić na drogę prowadzącą do miasteczka. Zrobiła krok w stronę bramy.

– Z Polski... To ciekawe – usłyszała.

Zatrzymała się i wzruszyła ramionami.

– Podwieźć gdzieś? – Zawiesił głos.

No cóż, piesza wycieczka do winnicy dobrze jej zrobiła, widoki po drodze były przecudne i miała czas pomyśleć. Ale... było już popołudnie, autobusy, jak się zdążyła zorientować, jeździły niekoniecznie według planu i do tego rzadko. Lepiej, bo bezpieczniej, było znaleźć hotel przed wieczorem. Zwłaszcza że większość nazw w mieście zapisana była cyrylicą.

Propozycja podwiezienia wydała jej się interesująca.

– Chętnie. Może do przystanku, jeśli nie sprawi to kłopotu.

– A nie na plażę? Niedaleko od nas jest Paleokastritsa. To jedna z ładniejszych miejscowości na Korfu i jedna z ładniejszych plaż. Można wynająć łódź i opłynąć zatokę. Jest dużo do oglądania. Normalnie bierzemy za dowóz dwadzieścia euro, ale od ciebie wystarczy dziesięć. – To było złośliwe.

Któż przed wieczorem wybierał się na plażę?! Chyba tylko tubylec. Na końcu języka miała ripostę, ale się powstrzymała.

– Nie, dziękuję.

– Theo! – zawołał mężczyzna.

Theo pokazał się natychmiast w drzwiach, wyglądało to tak, jakby cały czas za nimi stał. Szybkiem krokiem zszedł ze schodów, chwilę na boku porozmawiali. Agnieszka wytrzymała ucho, ale rozmawiali po grecku. Potem Theo wrócił do domu, a za chwilę wyjechał zza budynku małym renault.

– Na pewno do Liapades? – upewnił się Nestor.

– Tak. Za ile?

– Za miły uśmiech.

– Do zobaczenia, Nestor. Do zobaczenia, ale bez siatki na twarzy.

Uśmiechnęła się.

– Do zobaczenia... Jak sobie życzysz...

Jadąc wyboistą drogą, wyglądała przez okno i zerknęła na Theo. Miał silne, żylaste, opalone ręce, mógł mieć pewnie i z sześćdziesiąt lat, był przystojny, ale spracowany, taki człowiek ziemi. No i przy tym milczący, co wzięła za surowość. Trochę się go bała. Ani razu się nie uśmiechnął, choć musiał przecież widzieć, że na niego zerka.

– Do Kerkiry? – mruknął, kiedy dojeżdżali do Liapades. – To po grecku Korfu – dodał, widząc, że dziewczyna nie wie, o co chodzi.

Skinęła głową, ale po chwili zrozumiała, że może chce ją podwieźć do stolicy wyspy. Zanim zdążyła zapytać, padło następne pytanie:

– Autobusem z Liapades?

Znów skinęła głową. Mężczyzna zatrzymał samochód na przystanku autobusowym i patrzył, jak Agnieszka mocuje się z plecakiem. Zbyt szybko podjęła decyzję o wyjeździe do winnicy, mogła chociaż zostawić bagaż w hotelu. Mężczyzna cierpliwie czekał, aż pozbiera pakunki. Otworzyła drzwi, wystawiła na zewnątrz plecak i odwróciła się w stronę kierowcy.

– Theo?

– Tak? – Na moment oderwał wzrok od drogi.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy Elle wróci do winnicy? – Zawiesiła głos i uśmiechnęła się nieco kokieteryjnie.

Tym razem spojrzał na nią, była tego pewna. Spojrzał wzrokiem, który mógł zabić.

Zapalił silnik i odjechał, jakby miał dwadzieścia lat, a nie przeszło sześćdziesiąt. Ledwie zdążyła odskoczyć. Za samochodem wzbił się tuman kurzu. Czowała się tak, jakby naruszyła im mir domowy.

A przecież tylko chciała się spotkać z Elle!

Czekając na autobus, włączyła telefon komórkowy i zadzwoniła do Kostasa. Nie chciała mu się narzucać, doceniała to, że poświęcili jej, on i Thelma, tyle czasu. Ale znów utknęła w martwym punkcie.

– To ja, jestem cała, choć miałam wątpliwości, czy wyjdę stamtąd bez szwanku. W winnicy było dwóch strasznych facetów, bałam się, że mnie zabiją. Każdy z nich niemiły, ale na inny sposób. Może tam będzie za parę dni.

– Kto?

– No, się pytasz. Elle może tam będzie.

Agnieszka wyjechała, żeby zająć się sobą, a tymczasem szła tropem cudzego życia, życia Elle i nawet własnej matki, i niesłuchanie ją to wciągało.

– Leć w takim razie na Maltę. Tylko tyle mogę ci doradzić.

I przesłał jej SMS-a z adresem. Gdy go zapisywała w telefonicznym notatniku, zza zakrętu wyjechał autobus.

Siedziała na przednim siedzeniu, z którego widziała drogę, i myślała. Na Maltę? Polecieć na Maltę? Nie, jeszcze nie teraz. Dobrze się czuła na Korfu. Było ciepło, bardzo przyjemnie. Malta? Wyspa? Okazało się, że to zespół wysp. Ten kraj nigdy nie leżał w kręgu jej turystycznego zainteresowania. Szukała informacji w Internecie, ale niedługo, ponieważ ekran telefonu zrobił się czarny. Dopiero akumulatory przywrócił mu życie.

Jeszcze z drogi wynajęła pokój w pobliżu centrum Korfu. Być na wyspie i jej nie poczuć, nie

dotknąć? Wykluczone!

* * *

Elle

Ślub Elle i Nestora odbył się wiosną osiemdziesiątego ósmego roku w Salonikach, bo tak życzyła sobie Elle. Nestor nalegał na Korfu, chciał się tam pokazać, miał znajomych, z którymi przyjaźnił się od lat. Opowiadał Elle o zimowych, leniwych wieczorach, które spędzał z przyjaciółmi na śpiewie i grze na gitarze. To się Elle podobało, nie znała go z tej strony. Zapominając o różnicy wieku, jaka ich dzieliła, pomyślała, że będzie miała kilkadziesiąt lat, żeby go poznać.

Ślub był bardzo uroczysty. Elle w białej sukni, z welonem do ziemi zachwycała, po prostu zachwycała. Trzeba przyznać, że promieniała. Licznie zgromadzeni goście, w większości rodzina Balafasów, zachwycali się jej urodą, ale też jej temperamentem. To ona po skończonej ceremonii obróciła Nestora w stronę wyjścia z kościoła, co według polskiej tradycji oznaczało, że będzie przewodzić w małżeństwie. To ona podczas przyjęcia zapraszała weselników do stołów. To ona tworzyła klimat wesela.

Kuzyni i inni pociotkowie złośliwie życzyli Nestorowi licznych potomków. Nie brakowało w rodzinie Balafasów zazdrośników. Żony jego kuzynów miały swoje lata i kuzyni na widok Elle przetykali ślinkę. To nie miało dla niej znaczenia.

Brali życzenia za dobrą monetę, aczkolwiek oboje, i Nestor, i Elle, wiedzieli, że poczęcie dzieci w ich przypadku może być trudne. Wiek Nestora robił swoje, ale przecież przyroda znała takie przypadki. Gorzej by było, gdyby to Elle przekroczyła czterdziestkę. Miała komfort młodości i świadomie z niego korzystała, a że posiadała szerokie horyzonty, w przeciwieństwie do krewnych Nestora i w przeciwieństwie do swojej rodziny, nawet się ich złośliwościami świetnie bawiła.

Na ślubie i na weselu pojawił się też Kostas z Krystyną. Elle nie znosiła tej modliszki, za jaką uważała interesowną Polkę, mającą się za żonę Kostka. Zaprosiła go, ale z myślą, że będzie sam i że pójdzie po rozum i zweryfikuje wreszcie ich relacje. Potrzebowała przyjaźni z Kostasem. W jakimś sensie potrzebowała go w pobliżu. On miał żonę, ona męża. To była równowaga. Tylko po co na jej ślubie ta Krystyna?

Nie rozumiała kobiet, które trwały przy mężach, wczepiały się w nich jak bluszcz, nie miały swoich pieniędzy, nie mogły o sobie stanowić. Jeszcze pół biedy, jeśli mąż był szczodry, jeśli był dżentelmenem, ale przecież nie zawsze tak było. Budziły się potem z ręką w nocniku i obnosiły swoje cierpienie jak relikwię, walcząc w sądzie o alimenty.

Elle nie była taka, musiała żyć tak, by dać sobie radę samodzielnie.

Matka nie była wprawdzie dla niej wzorem, ale żyła podobnie, tyle że na wsi, z nowym mężem było jej teraz lżej. Nie mogła czuć się samotna, myślała o niej Elle, i z rzadka zaglądała na wieś. Nie musiała przeżywać tylu rozczarowań, co córka. Kiedy miała okazję, powinna bardziej zadbać o wykształcenie, teraz było już za późno, poprzestała na podstawowym, co Elle od dawna doprowadzało do szału.

Na weselu bawili się do rana, wspomagani trunkiem z winnicy Balafas.

Elle swoim ślubem uszczęśliwiła wiele osób. Nie tylko męża, nie tylko swoją mamę. Nie tylko siebie. Uszczęśliwiła też Ninę Balafas, która nad ranem, po weselu, już pijana rodzinnym szczęściem, po przetańczeniu Zorby i mnóstwa innych tańców, miała jeszcze na tyle siły, by zakomunikować nielicznym, którzy dotrzykali jej kroku:

– To wszystko moja sprawa. To ja ich ze sobą poznałam, to oni mnie uszczęśliwili, to im oddam serce.

I rzuciła się do całowania Elle.

– Wiedziała, wiedziała, że tak będzie. Jesteście dla siebie stworzeni!

Elle złapała zazdrosne spojrzenie Kostasa, co ją bardzo ucieszyło. Z wyższością spojrzała na modliszkę. Niepotrzebnie, bo żona Kostasa, jej Kostasa, leżała pijana z twarzą w talerzu.

– A fuj! Zrób coś z nią – nakazała Kostasowi.

Wzruszył ramionami, ale po chwili już ich nie widziała przy stole.

Rok przeleciał Elle bardzo szybko. Żyli na dwa domy. Zimą spędzili w Salonikach, znów razem z Niną grali w gry planszowe albo w szachy. Wiosną, latem i jesienią mieszkali na Korfu. Stary rodzinny dom w Liapades ją zachwyił. W kuchni z belki pod sufitem zwisały stalowe patelnie różnych rozmiarów i pęki suszonych ziół, na parapetach suszyły się pomidory, a w miedzianym zlewie, naznaczonym przez czas zielonkawą patyną, stały misy z winogronami i oliwkami. W salonie zaskakiwały kanapy z lnu w czerwone róże, zważywszy że dotąd gospodarzem domu był samotny mężczyzna.

– To sprawka siostry – wytłumaczył się.

– No, ja myślę – uśmiechnęła się Elle. Wiedziała to, o pokryciu kanap nową tkaniną rozmawiały jeszcze w Salonikach.

Stare, ciemne, rzeźbione meble były prześliczne. Niektóre obrazy wiszące na ścianach były bardzo dobre, być może nawet cenne. Elle nic w tym domu nie chciała zmienić oprócz sypialni.

Była zdumiona swoją nową sytuacją, i była szczęśliwa. Małżonkowie mieli dla siebie mnóstwo czasu. Elle opowiedziała Nestorowi całe swoje życie. On uważał swoje za zbyt nudne, by opowiadać. Sporo czytali i dyskutowali na temat książek.

W osiemdziesiątym dziewiątym roku w Polsce zmienił się ustrój. Odetchnęła z ulgą, mogła tam wreszcie pojechać. Dzięki małżeństwu z Nestorem były też na to pieniądze.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosił.

– Świetnie, ale boję się, kochany, że nie zrozumiesz, dlaczego chciałam tam pojechać. Jest zimno i boję się, że możesz zniechęcić zimową Polskę. Latem i wiosną, a nawet złotą jesienią jest tam dużo przyjemniej.

Pojechali jednak razem, nieco później, niż planowali, w marcu dziewięćdziesiątego roku. Opracowując plan podróży Elle postanowiła najpierw pokazać Nestorowi Poznań i swoje miejsca. Sama zaś chciała pojechać do mieszkania Danki. Im dłużej nie miała od niej wiadomości, tym bardziej się bała zmierzenia z faktami. Jeśli Dana się o coś obraziła? Owszem, miała do niej żal, że tak parszywie potraktowała Stefana, owszem, miała do niej żal, że nie pożegnały się na peronie. Ale żeby się o to obrażać?

Gdy po podróży wysiadła z taksówki przy hotelu Merkury, próbowała zrozumieć uczucie, jakie nią szarpało. Dom, ojczyzna, nie potrafiła nazwać tego miasta. Była w niej jakaś nostalgia, wzruszenie, ale i rozczarowanie. Kiedy opuszczała ten kraj, wyglądał inaczej. Teraz był inny, jakby odarty z jej lat w Grecji.

Pierwszego dnia nie miała odwagi pojechać do Danusi. Spędzili dzień na zwiedzaniu miasta. Pospacerowali po ścisłym centrum, zjedli obiad na Starym Rynku; Elle koniecznie chciała pierogi, a Nestor zadowolił się kotлетem schabowym. Powiedział wtedy, że to kuchnia dobra na zimę, że ten schabowy go rozgrzał. O dwunastej w południe, osłaniając się od wiatru, oczekiwali trykających się na wieży koziołków. Potem pojechali tramwajem na uczelnię Elle.

– Żałujesz, że wyjechałaś?

– Nie. Już nie.

Nestor przygarnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Chciałbym, żeby w tym nieżałowaniu było trochę mnie.

– Jesteś moim nieżałowaniem.

Zdziwiła się, że tak łatwo zapomniała o wszelkich przyjemnościach związanych z Polską. Wszystkich, na których jej zależało, za wyjątkiem Dany, miała blisko siebie, w Grecji. Poza tym urodziła się do ciepła, zrozumiała to całkiem niedawno, mieszkając na korfiańskiej wsi. Urodziła się w słońcu.

Nie odnalazła w Poznaniu nic z poprzedniego klimatu. Była rozczarowana, bo spodziewała się

silniejszych emocji. Może na takie postrzeganie miasta wpłynęło i to, że pogoda ich nie rozpieściła. Była plucha, początek roztopów, padał deszcz ze śniegiem, a na poboczu ruchliwej w latach siedemdziesiątych ulicy Armii Czerwonej leżały kopce brudnego śniegu. Na ulicy nie było żywej duszy. Elle i Nestor marzli w zbyt lekkich płaszczach, a dodatkowo Elle wściekała się na siebie za swoją nieroztropność. Przed sklepami nie było kolejek, co ją zdziwiło, a na ladach stało mnóstwo towaru. Szkło, kryształ, za którymi przepadała, wyroby z mosiądzu. Kupiła kilka kryształowych karafek, a Nestor trzy mosiężne zegary i jeden drewniany, z kurantem. Wszystko z myślą o obdarowaniu znajomych i rodziny.

Drugiego dnia pojechali razem na ulicę Naramowicką. Blok wciąż stał przy przystanku, był taki, jak go zapamiętała. Zresztą nic się nie zmieniło: przystanek, wiata, okolica. Weszła na klatkę, ale tu również nie zauważyła zmian, na ścianach wciąż królowała ta sama olejnicza w bladzielonym kolorze. Inne były jedynie drzwi do mieszkania: białe z dykty zastąpiły drewniane w kolorze dębu.

Zza nich słychać było płacz dziecka.

Czy to dziecko Danki? Serce chciało Elle wyskoczyć z piersi. Żałowała, że nie ma przy niej Nestora, mogłaby się na nim oprzeć, ochłonać, tak na nią zawsze działał spokój męża. Zostawiła go w restauracji przy hotelu Naramowice. Na pewno wcina swój ulubiony kotlet schabowy, lekarstwo na ziąb. Zakręciło jej się z emocji w głowie. Nic nie miała dla dziecka, nie przewidziała tego. W rękę ścisnęła skórzaną torebkę dla Danki i kopertę z dolarami, których było dużo więcej niż pożyczka, dużo więcej, niż przyjaciółka dostałaby z lokaty w banku.

Zapukała do drzwi. Płacz dziecka ucichł. Pomyślała z radością, że nie ma żadnych innych względów, że Danką nie obraziła się, tylko zmieniła się jej sytuacja. Jest dziecko i pewnie mąż. Może to nie pierwsze? Wiadomo, przy takich maluchach jest całe morze zajęć.

Drzwi się otworzyły, mała dziewczynka, może czteroletnia, stała przy nodze mamy. Jakże była urocza! Elle tak zachwyciła się małą, że trudno jej było oderwać od niej wzrok. Mała miała jasne włosy do pasa, bujne i kręcone. Patrzyła na kobietę błękitnymi oczami, w których Elle nie dostrzegła podobieństwa ani do Dany, ani do... No właśnie.

Jeśli chodzi o dzieci, wzruszały ją, rozczulały, chciała być matką, ale już straciła nadzieję. Lekarz zapewniał, że z nią jest wszystko w porządku. Najbardziej żał jej było Nestora, widziała, jak mu zależy, wiedziała, że ta sytuacja go deprymuje, ale przecież nie będzie go wysyłać na badania, torturować wizytami u lekarzy. Mieli siebie, ale... Przecież chciała go wciąż uszczęśliwiać. Wiele mu zawdzięczała. Był bardzo dobrym człowiekiem. Byłby wspaniałym ojcem. Na pewno chciałby przekazać synowi wiedzę na temat uprawy winorośli.

– Słucham?

Podniosła wzrok, w drzwiach stała zupełnie obca jej, młoda kobieta.

– Zastałam Danusię?

– Nie rozumiem.

– Czy zastałam Danusię Żak?

– Tutaj nikt o takim nazwisku nie mieszka.

– Jak to? Na pewno nie pomyliłam mieszkań, bywałam tutaj dziesiątki razy. Państwo Żakowie, oboje pracowali w Kombinacie Naramowice, mieli córkę w moim wieku. Danusię.

– Myślę, że chodzi o rodzinę, która mieszkała tu przed nami. Tacy starsi państwo, wiem tylko, że wyjechali w okolice Szczecina. Niedaleko Gryfina. Pan Żak dostał tam pracę i mieszkanie w dworku, dużo większe niż tutaj. Ich córka podobno wyjechała do Francji. Tak opowiadały sąsiadki. Nic więcej nie wiem. My się sprowadziliśmy kilka miesięcy po ich wyjeździe.

– Może w takim razie ktoś z mieszkańców bloku mi coś więcej powie?

– Tutaj ludzie ich znali, ale przypuszczam, że nie wiedzą więcej niż ja. Może dostanie pani nowy adres państwa Żaków, ale wydaje mi się, że o ich córce niewiele wiedzą.

Elle podziękowała i się pożegnała, ale odwróciła się, żeby komplementować małą.

– Śliczne dziecko.

– Śliczne, ale niegrzeczne. – Kobieta, mówiąc to, niewychowawczo pogłaskała córeczkę po

włoskach.

Elle poszła pod wskazane drzwi i tam dostała adres Żaków. Rzeczywiście, niedaleko Szczecina. Postanowiła, że napisze do nich po powrocie do Grecji. Danką we Francji? Same dziwy.

Gdy dotarła do hotelu Naramowice, Nestor siedział na fotelu przy recepcji, był wyraźnie znudzony.

– Biedaku ty mój! Myślałam, że zamówisz sobie kotlet, tak ci smakował. Tutaj zawsze mieli tradycyjne polskie jedzenie. No, chociaż mogłeś wypić kawę! Smakowała ci nasza, z fusami.

– Czekałem na ciebie. Już nie potrafię jeść sam. Jeszcze niedawno byłem starym kawalerem, a teraz...? Coś ty ze mną zrobiła!

– Żałujesz?

– Wypluj to słowo!

– To w takim razie zapraszam cię na coś dobrego, mam nadzieję, że jeszcze to serwują.

– Nie kotlet z kapustą? – Nestor zrobił rozczarowaną minę.

Elle zaczęła się śmiać. W restauracji usiedli przy stoliku; gości było niewielu, w końcu to był dzień powszedni.

Kelnerka pojawiła się od razu.

– Poproszę dwa bryzole z pieczarkami, frytki i surówkę z kapusty. Na deser lody Cassate.

– Coś do picia?

– Wino czerwone. I dwie kawy po turecku.

– Jakie wino?

– A jakie macie?

– Z europejskich wszystkie. Mamy też niemieckie reńskie, ale przewaga białych. Mamy greckie, mamy włoskie. Francuskie, węgierskie, muszę zajrzeć do karty...

– Węgierskie, może niech będzie jakieś węgierskie.

Kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła.

– To będzie zestaw nostalgiczny – powiedziała Elle do Nestora.

Bryzol z pieczarkami był soczysty, kruchy, przepyszny. Podczas obiadu rozmawiali o Dance. Elle opowiedziała Nestorowi, czego się dowiedziała.

– No i co dalej w takim razie? Pojedziemy tam?

– Nie, to daleko. Mam adres, napiszę do jej rodziców. Napiszę z Grecji, coś mi na pewno odpiszą.

Następne dni spędzili na zwiedzaniu Poznania. Potem pojechali do Warszawy, stamtąd do Częstochowy, na końcu do Krakowa i Zakopanego.

Nestorowi Polska bardzo się podobała. Powiedział, że jest bardziej rolnicza niż Grecja.

* * *

Hotel miał się znajdować w centrum miasta, w dzielnicy żydowskiej, niedaleko synagogi. Nie mogła go znaleźć. Ta cyrylica! Kręciła się w kółko, jedną uliczką weszła, drugą wyszła i znów się znalazła na tym samym placu. Z restauracji wyszedł mężczyzna i zapytał, czy jej w czymś pomóc. Pokazała wydruk z booking.com z adresem. Mężczyzna zaprowadził ją pod drzwi. Hotel był za rogiem.

W niewielkiej recepcji stały rattanowe fotele z poduszkami w kolorze intensywnej zieleni, obok ciemnobrązowa szafka z filizankami z całego świata. Hotel był niewielki; Agnieszka sięgnęła po ulotkę i przeczytała, że kamienica, w której się mieści, ma około pięciuset lat, że zbudowali ją Wenecjanie. Czuć było to brzemień czasu, zwłaszcza wchodząc na trzecie piętro po stromych drewnianych schodach.

Szybko znalazła się w pokoju, gdzie z niewielkiego balkonu roztaczał się widok na dachy sąsiednich budynków pokryte starą, zapewne powenecką dachówką. Sklepy były jeszcze czynne, a wąska uliczka idąca w stronę portu błyszczała nawierzchnią z kamienia. Agnieszka obserwowała, jak

próbowały się na niej wyminąć dwa niewielkie auta. Było to niemożliwe.

Korfu zaczynało płakać. Deszcz był rześisty, uniemożliwiający wyjście na miasto bez kaloszy i parasola. Było już późno i nie był to czas na samotne eskapady. Po chwili dudnienie o dach ustało. Deszcz skończył się równie szybko, jak się zaczął.

Agnieszka zrobiła kilkadziesiąt zdjęć pokoju. Wszystko tam dla niej było ciekawe. Krzesła pamiętające czasy Wenecjan, szafa, okropnie skrzypiąca przy otwieraniu, ale cudna w detalach, niesłychanie rzeźbiona. W pokoju pozostał na pamiątkę nawet kawałek oryginalnej weneckiej podłogi. Misy na owoce i filiżanek bała się nawet dotknąć, tak były delikatne. Na ścianie wisiały obrazy, grafiki, ale i współczesne ozdoby rustykalne: aluminiowe pokrywki od garnków z wizerunkiem gaju oliwnego i splecionej winorośli. Najciekawsze było łóżko, duże, ciemne, na dwie, a nawet trzy osoby, z zagłówkiem w kształcie serca i z moskitierą.

Tej nocy spała lekko, budziły ją chóry słowików i drozdów. Zerknęła za okno; na parapecie siedziały dwie czarno-pomarańczowe wilgi.

Miała zostać jedną noc, ale przedłużyła pobyt w mieście – Atena zadzwoniła z rana i bardzo ją na to namawiała. Powiedziała, że będzie na nią czekać w porcie. Gdy Agnieszka zapytała o szczegóły, Greczynka odpowiedziała, że ją znajdzie.

Agnieszka zjadła w hotelowej restauracji śniadanie, uporządkowała swoje rzeczy w walizce i zrobiła małą przepierkę, bo zaczynały jej się kończyć czyste ubrania. Po południu poszła do portu i skierowała się w stronę miejsca, gdzie zacumowały trzy olbrzymie wycieczkowce. Oczarowały ją ich kolory: błękit, turkus i biel. Było słonecznie i ciepło, słońce przegoniło chmury i zanosilo się na to, że ładna pogoda potrwa dłużej.

Na ławce, pod białym haftowanym parasolem, siedziała kobieta. Widać było tylko jej długie lniane szarawary w kolorze błękitnym, reszta była osłonięta parasolką. I spod tych uroczych haftów wyleciał w stronę Agnieszki ogryzek jabłka. Gdyby się nie uchyliła, dostałaby nim w nos.

Podeszła bliżej.

– Sorry, ale... – zaczęła.

Spod parasola wychyliła się Atena.

– Inaczej byś nie podeszła.

Obie zaczęły się śmiać.

– Zjadłam jabłko, ale mimo to nadal nie czuję się dobrze. Wiesz, jak to jest w podróży. Nie myłam jeszcze zębów i mimowolnie jeżdżę po nich językiem.

Zaśmiała się i pokazała duże, idealnie białe zęby.

– Jejka, wcale się ciebie nie spodziewałam. Myślałam, że żartujesz, mówiąc, że się jeszcze spotkamy.

– Ale chyba lepiej podróżować we dwie niż w pojedynkę? Wszystko ci pokażę. Wsiądziemy do autobusu, pojedziemy na południe wyspy. Pokażę ci Kavos, Lefkimmi, Moraitikę i Benitses. Po drodze zajrzemy na Pontikonisi. Słyszałaś, co to?

– Nie bardzo.

– Ten obrazek masz na wszystkich wizytówkach Korfu. Mały biały kościółek na wyspie Vlacherna. Z Kanoni na wyspę prowadzi pomost. Stamtąd możesz popłynąć łódką na Pontikonisi, czyli mysią wyspę.

– Bo tam są myszy?

– Nie, bo ma kształt podobny do myszy. Atrakcją jest grobla łącząca Kanoni z Peramą, to stamtąd wyślesz najbardziej ekscytujące zdjęcie z samolotem nad głową. Wyobraź sobie, ogłuszający ryk silników nad tobą i ty, mała, trybik we wszechświecie. Tam zawsze czyha sporo ludzi z aparatami, czekają na lądujące lub startujące samoloty, które nad groblą są naprawdę bardzo blisko ziemi. Tam możemy pojechać autobusem miejskim, to niedaleko.

– A ile by kosztowała taksówka, żeby zwiedzić tamte miejscowości?

– Ze sto pięćdziesiąt euro? Zwiedzać, jeżdżąc taksówkami? To zbyt łatwa droga. Idziesz, jedziesz, po drodze masz pokusy, żeby sobie drogę ułatwić, zawsze tak jest. Rezygnujesz z ułatwień

i uczysz się pokory. To wszystko czegoś cię uczy, zdobywasz wiedzę, ale też robi ci się śmietnik w głowie. Zbyt dużo zapamiętujemy, zbyt dużo robimy zdjęć, a w życiu liczy się tak naprawdę parę chwili.

- Tak tylko pytałam. Nie chciałabym, żebyś się ze względu na mnie za bardzo męczyła.
- Świetnie, o mnie się nie martw. To kiedy jedziemy?
- Wolałabym jutro, dzisiaj chce mi się pooddychać miastem.

Pospacerowały po mieście, zajrzały do kościoła pod wezwaniem patrona wyspy, św. Spirydona, na placu Spianada wypily kawę, zrobiły kilka zdjęć twierdzy i pokreśliły się po starych uliczkach.

– Muszę się gdzieś umyć i zostawić plecak – westchnęła Atena.
– Możesz spać w moim pokoju, mam szerokie łóżko. Jakoś się prześlizgniesz bez meldunku, wierzę w ciebie.

Atena się bardzo ucieszyła.

* * *

W ciągu dwóch godzin, a także w drodze na Pontikonisi, Atena opowiedziała Agnieszce o swojej rodzinie: tacie, mamie i dwóch siostrach. Po drodze zajadały się pysznymi kandyzowanymi owocami kumkwatu.

- Kumkwat zbiera się tylko na Korfu.
- Niesamowity smak. To jakby cytrusy, tylko małe.
- Jakby cytrusy, to fakt. Drzewka kumkwatu zostały sprowadzone tu z Chin przez Brytyjczyków.

Wolałabym mieć pole kumkwatu niż to, co mi daje tata, z drzewami oliwnymi. Do tego przyszedł mąż obiecuje, że prezentuje mi kurnik. Tylko ja nie potrafię zabić kury. Ale się nauczę...

– Kurnik? Moja ciocia miała kurnik, ponadto uprawiała ziemniaki, zboża, rzepak... A w ogóle podoba ci się twój przyszedł mąż?

– Fizycznie jest w porządku, mógłby być tęższy, bo lubię tęgich facetów. Czuję się wtedy jak przy skale. Jorgos jest poważany i ma dobry charakter. Obiecał, że pozwoli mi zrobić studia na Akademii Sztuk Pięknych. Tyle razy się zakochiwałam, a potem przychodziły rozczarowania. Jorgos nikogo nie udaje. Jeśli jest zazdrosny, to widać, jeśli wkurzony, też, ale nieczęsto mu się to zdarza. Wiem, że mnie kocha. Wiesz, myślę, że sekretem dobrego związku są niskie oczekiwania.

Agnieszce podobała się wycieczka. Zapomniała o Elle, tym razem była tam dla siebie. Zrobiła sobie parę zdjęć z widokiem na biały kościółek, kilka z lądującymi samolotami. Wtopiły się w tłum czekających na samolot ludzi i dobrze się bawiły.

Wieczorem na ulicach było gwarno.

– Fajnie tu – powiedziała Aga.

– Jak się czujesz w Grecji?

– Bardzo mi dobrze. Mogłabym tutaj zamieszkać. Nie wiem dlaczego, ale czuję się u was bardzo swobodnie.

– O, zobacz, zwalnia się miejsce! – pokazała Atena.

Usiadły w knajpcie przy brzegu. Miejsce rzeczywiście prezentowało się znakomicie, turkusowe stoliki wpasowywały je w krajobraz, choć przeszkadzały nieco papierowe obrusy zalane winem. Krzesła były pomalowane na niebiesko. Po ziemi, między stolikami, raczkowały dzieci. Nieopodal, na podwyższeniu, instrumenty rozkładało dwóch młodych ludzi. Po chwili usłyszały żalosne rzępolenie skrzypiec. Ale widok stamtąd był niezmierny. Z zachwytem patrzyły na rój żaglówek, dwa olbrzymie wycieczkowce i dalej, na górzystą Albanie.

– Nic się nie martw. Najważniejsze jest dobrze zjeść.

Wieczór był ciepły, ale nie upalny. Agnieszka otuliła się lekkim szalem, mogłaby tak siedzieć aż

do rana. Atena wyglądała prześlicznie w krótkiej, białej, lnianej sukience. Ciemne, kręcone włosy spływały jej po ramionach aż do pasa. Co chwilę poprawiała rzemyki z sandałów, które oplatały jej opalone nogi.

– Piękne sandały – zauważyła Agnieszka.

– Kupiłam je na targu.

– Gdzie? Tutaj?

– Nie, na Krecie, ale tutaj też znajdziesz świetne skórzane sandały i buty.

– Przejdę się po mieście, może jutro.

Zamówiły paterę owoców morza na dwie osoby i karafkę domowego wina. Kelnerka przyniosła koszyk ze świeżym pieczywem, oliwę, oliwki i miseczkę sosu *tzatziki*. Maczały pieczywo w oliwie albo w sosie i jadły, słuchając szumu fal.

– Pytałam cię już jak się masz w Grecji.

Wbrew pozorom Agnieszce nie było łatwo odpowiedzieć. To było pytanie o podróż. Nie wyjechała tylko po to, żeby uciec od kłopotów, odpocząć, żeby zwiedzić kolejny kościół czy kolejną cytadelę. Nie była to także, mimo wszystko, podróż w poszukiwaniu Elle, kobieta była tylko pretekstem. Ta podróż była dla Agi czymś więcej.

– Wiesz, jak to jest, kiedy jedziesz, idziesz, i nie bardzo wiesz, co zastaniesz. Jaka będzie droga, czy dasz radę dojść pieszo, potrafisz sama się zorganizować? Mimo wszystko jesteśmy nastawieni na życie w stadzie. Poza tym oczywiście napotykasz na trudności. Nie znasz języka miejscowych, no, powiedzmy, znasz angielski, ale to nie znaczy, że wszyscy inni go też znają, Wiesz, jak to jest...

Atena milczała, ale po minie Agnieszka wyczuła, że jej nie przynudza.

– Jesteś rozczarowana?

– Absolutnie nie jestem rozczarowana, dobrze mi tu, zachwyam się ciepłem, zachwyam się zabytkami, tym, że rośliny rozwijają się szybciej niż w Polsce. Wyobraź sobie, u nas na drzewach są dopiero zawiązki liści.

– Miło mi to słyszeć. Dolać ci wina?

– Pewnie. Mogę z tobą siedzieć tutaj dzień i noc. Dlaczego ty w ogóle za mną idziesz? Musisz się wysilać i mówić po angielsku, żebym cię zrozumiała. Interesować się mną. W ogóle same trudności...

– Przesadzasz. Idę, bo to lubię.

Kelnerka wniosła kolejny dzbanek z winem.

Kiedy zadzwonił telefon Ateny, przeprosiła i z aparatem przy uchu stanęła na brzegu, aż Agnieszka zaczęła się bać, czy dziewczyna nie wpadnie do wody, w końcu co nieco już wypłył. Atena zrobiła parę kroków w bok; Agnieszka widziała, jak krzyczy do telefonu. Wróciła do stolika wściekła.

– Telefon przeszkadza w skupieniu się na tym, co tu i teraz. No i koniec naszej wycieczki. Jorgos jest w drodze do Kerkiry.

– Przecież miał nie wiedzieć, gdzie jesteś.

– Tak mówiłam, ale wiesz, jak to jest. Trochę się minęłam z prawdą. Musiałam go wypróbować, no nie? Nasi rodzice myślą, i jego, i moi, że widzieliśmy się tylko dwa razy, na spotkaniach rodzin. Ale to nieprawda. Musimy udawać, bo jeszcze moi by mi znaleźli gorszego.

– U nas nie ma takich sytuacji. Mogę wyjść za mąż za kogo chcę.

W tym momencie przypomniało jej się, że to nie do końca jest prawda. Rodzice naciskali, żeby nie wiązała się z Szymonem. Szczególnie matka go nie lubiła. A teraz daliby się pociąć za Wiktora.

– Ja też, i chcę wyjść za Jorgosa. Masz chłopaka?

– Tak jakby, ale nie jestem go pewna.

– A siebie jesteś pewna?

– Nie wiem.

– Twój chłopak ma jakieś pole albo zakład? Co mają jego rodzice? Wiesz, pytam, bo mogę ci doradzić. Ważne jest, żeby twoi rodzice i jego żyli w jakimś szacunku. Bo wiesz, będą mieli wspólne wnuki.

Agnieszka pomyślała, że Atena może nie rozumieć rys na rodzinach Wiktora i na Wrońskich. W sumie były one podobne. Gdy ojciec Wiktora jeszcze żył, prowadził biznes, utrzymywał rodzinę i pił. Agnieszki ojciec też prowadził przedsiębiorstwo, ale piła matka. Nie powiedziała tego Atenie, nie chciała używać stereotypów, mówić skrótami. Wyszłoby, że Polacy piją.

– Rodziny są okej. Tylko że... mój chłopak jest ode mnie kilkanaście lat starszy, tego się boję, że on ma dużo więcej doświadczeń.

– To dobrze, ja bym chciała, żeby Jorgos więcej umiał, no wiesz, chodzi mi o łóżko...

Zapadła cisza. Łóżko... Do tego między nią i Wiktorem w ogóle nie doszło, ale nie chciała o tym mówić. Zamierzała wyrzucić z siebie obawy, żale, ale nie potrafiła ich sprecyzować, uświadomiła sobie podczas tej rozmowy, że może przesadza, że może źle Wiktora ocenia. To, co powiedziała Atena, było uproszczone, ale jednak zawierało jakieś ziarno prawdy.

– Parę miesięcy temu kupił pensjonat w górach, no i pisze książki – dodała to, co oczywiste.

– Czyli może tam uprawiać oliwki albo winorośl. Będiesz miała z nim ciekawe życie! Nie zrywaj więc, jeśli on taki ciekawy. Mój jest zwyczajny, to ja jestem ciekawsza. – Atena zaczęła się głośno śmiać.

– Jest za ciekawy i ciągle jakaś go podrywa.

– To zmusz go do ślubu i w umowie małżeńskiej zawrzyj wszystko, czego byś nie chciała z jego strony.

– To jest jakaś myśl, tylko że u nas nie sporządza się takich umów.

– Będziesz pierwsza.

– Umowy to nie dla mnie. A gdzie uczucie?

– Uczucie pójdzie inną drogą, bezumowną. – Teraz Atena już szczyrzyła zęby bez zahamowania.

Zaraziła tym Agę. – Żeby uciec od uczucia, przyjechałaś do Grecji?

– Może też, ale przede wszystkim jestem ciekawa świata.

– A co z koleżanką mamy?

– Ludzie niechętnie opowiadają, gdy okazujesz zainteresowanie kimś. Nabierają wody w usta.

Zazwyczaj sporo mówią, ale jak zapytasz konkretnie, to napotykasz na mur milczenia. Tak było w winnicy, nic mi nie chcieli powiedzieć. W ogóle dziwni jacyś byli, jeden w masce i jakichś białych szatach, chyba młody, drugi, stary, jeszcze gorszy. I wyobraź sobie, muszę teraz polecieć na Maltę, a potem być może jeszcze tutaj wrócić. Już nic nie wiem, choć mimo wszystko jestem bliżej, niż gdy wylądowałam w Salonikach.

– To ty jesteś detektywem. Może powinnaś się poświęcić tej profesji?

– Przestań, po co ja ci to powiedziałam...

– Z grzeczności. – Obie zachichotały. – Powiedz mi w takim razie coś neutralnego, na przykład coś... o Polsce. Żeby mi się chciało odwiedzić twój kraj.

To było trudne. Zwykle wyjeżdżała z rodzicami za granicę, powiedzieli sobie kiedyś, że Polskę zwiedzają, jak już nic w świecie nie zostanie do zobaczenia.

– No co? Mieszkam na obrzeżach dużego miasta, większego niż to. – Zamachnęła się ręką. – Dom jest duży, ale i tak się z niego niebawem wyprowadzam. Mam pracę, a raczej miałam. Poznań to ciekawe miasto, ale czasem myślę, że wcale nie. Kurczę, muszę się chyba nauczyć opowiadać – powiedziała Aga, widząc, że Atena bębni palcami o stół

– Tak jakby – potwierdziła Atena z pokerową miną, pod którą czaił się uśmiech. – To powiedz mi w takim razie, co tam u was rośnie? Jakie drzewa?

– Drzewa liściaste i iglaste. Od kilkadziesiątu lat sadzimy też tuje, cyprysy i... no zapomniałam, jakie jeszcze iglaki. Obok mojego domu jest las, wiadomo, płuca miasta. Mi przeszkadza, bo muszę się przez niego przedzierać, ale ci, co nie mają zieleni blisko domu, bardzo mi zazdroszczą. W lesie na polanach jest zielona trawa, czasem jak dywan. Położysz się na niej i słyszysz śpiew ptaków. Niedaleko mojego domu jest staw, w którym pływają łabędzie. – Agnieszka zamknęła oczy.

– U nas nie ma lasów, za to kwitnie mnóstwo kwiatów, są winogrona, oliwki, brzoskwinie, pomarańcza, bardzo lubię zapach kwiatów na drzewach pomarańczy. Ale lasów na pewno ci

zazdroszczę. Nie jest w nich gorąco?

– Jasne, że nie, raczej jest tam cień. Polska jest krajem fajnym wiosną, latem i wczesną jesienią. Późnej jesieni i zimy nie znoszę. Nie ma słońca, pada deszcz, jest ciemno. Już wolę, kiedy pada śnieg.

– W Grecji kiedyś też spadł, drzewa pomarańczowe razem z owocami były w śniegu. Wyobrażasz to sobie?

– Ojej, u nas rosną choinki, a pomarańcze od was kupujemy. A zima jest straszna.

– To co wtedy robicie?

– Czekamy na wiosnę.

Agnieszka się zamyśliła. Dużo lepiej czuła się w słońcu. Zimą miała depresję, która o mało i w tym sezonie nie doprowadziła do zerwania z Wiktorem. On nie miał czasu częściej przyjeżdżać do Poznania, ona musiała jeździć do pracy.

– To ja ci się w takim razie odwdzięczę i opowiem o oliwkach. Zbiera się je ręcznie, takimi specjalnymi wytrząsarkami albo grzebieniami, oliwki spadają na rozłożoną na ziemi płachtę. Wkłada się je do specjalnych lnianych toreb. Bardzo ważne jest, żeby owoców nie uszkodzić i nie dopuścić do ich kontaktu z ziemią. Potem, za pośrednictwem taśmy, jadą do transportera.

– Ciekawe.

Atena znów podniosła telefon do ucha.

– Gdzie się zatrzymałeś? No dobrze, to będę na ciebie czekać. Jestem na nabrzeżu, w tawernie U Kritikosa.

– Rozumiem, że nie możemy jutro pojechać razem na północ?

– No chyba nie.

W stronę dziewczyn biegł super przystojny chłopak, Atena zerwała się od stolika i wybiegła mu naprzeciw. Objęła go za szyję, a on podniósł ją do góry i zaczął z nią tańczyć na placu. Agnieszka przyglądała się im z zazdrością. Z Wiktorem też tak tańczyli. Z Wiktorem też była szczęśliwa.

– Jorgos, Agnieszka – dokonała prezentacji Atena. – Będziemy w Cavalieri Hotel. Jutro koło południa wpadnę do ciebie po rzeczy. Nie gniewasz się?

– Jasne, że nie. Bawcie się dobrze. – Mrugnęła do Ateny.

– Do zobaczenia na drodze życia.

Agnieszka pomyślała, że są podobne, że nigdy by na siebie nie trafiły, gdyby nie wyruszyły w podróż. Z tą myślą ciemnymi uliczkami wróciła do hotelu. Przez szybę w drzwiach wejściowych widziała, że właściciel hotelu śpi na fotelu przed telewizorem, więc trzasnęła głośno drzwiami. Zerwał się i popatrzył na nią nieprzytomnie.

– Czy mogę wziąć żelazko? – zapytała, żeby nie myślał, że trzasnęła drzwiami złościwie.

– Oczywiście, przyniosę do pokoju. Podoba ci się u nas?

– Bardzo.

– Pierwszy raz na Korfu?

– Tak, w ogóle w Grecji jestem pierwszy raz.

– Byłaś w Albanii?

– Nie.

– To niedaleko, kilkanaście kilometrów stąd do Sarandy, warto zobaczyć. Jest dużo wycieczek.

Hotelarz rzeczywiście przyniósł żelazko do pokoju Agnieszki.

– Wiesz, że ten hotel ma prawie pięćset lat?

– Rzeczywiście. Ale mi się to podoba.

– To się cieszę. Jeśli ktoś lubi nowoczesność, powinien zamieszkać w nowoczesnym hotelu. Ten jest dla koneserów, dla tych, co to doceniają.

Leżąc na łóżku i oglądając telewizję, zreflektowała się, że od paru dni nie szuka w Internecie informacji i recenzji książki Wiktora. Z tą wiedzą, a raczej z jej brakiem, czuła się dużo lżej. Dobrze byłoby razem odkrywać świat. Miała tyle do opowiedzenia, ale nie miała się z kim podzielić wrażeniami.

* * *

Następnego ranka, czekając na Atenę, zadzwoniła do matki, to już było rutynowe. Wolała rozmawiać, kiedy ona miała na to ochotę, nie kiedy matce przyszedł na myśl telefon do córki. Wydawało jej się, że w ten sposób wyciągnie od matki więcej informacji.

– Poznałam fajną dziewczynę, Greczynkę, mogłabym z nią konie kraść, albo przynajmniej oliwki i winogrona, a tutaj tego jest sporo. Czekam na nią, potem jadę dalej.

– No wiesz! Kraść!

– To przysłowie. Nie wychowaliście mnie na złodziejkę!

– Wiem. Cieszę się, że poznajesz ludzi.

– Sama też się cieszę. Taka podróż to wiele niewiadomych, a to jest w tym najlepsze. Jaka jest w Polsce pogoda?

– Plucha, a czegoż się spodziewać po kwietniu? Przepaliliśmy dzisiaj w kominku.

– Tutaj wczoraj było dwadzieścia siedem stopni, ale noce są jeszcze chłodne.

– Dobrze sobie przedłużyć lato. Wczoraj spotkałam się z Małgosią, to moja koleżanka ze szkoły podstawowej. Chodziłyśmy do sześćdziesiątki, to znaczy ja tam doszłam w piątej klasie. Małgosia była przewodniczącą klasy, a ja skarbnikiem. Spotkałyśmy się w tesco na Naramowickiej. No i zabrała mnie autem do Motylarni, to taka knajpka po drodze na cmentarz. Wiesz gdzie?

– No, wiem. Nigdy tam nie było miejsca.

– Tym razem było. Siedziałyśmy z godzinę, przypominałyśmy sobie koleżanki i kolegów i postanowiłyśmy zebrać starą ferajnę i zrobić spotkanie. Wyobrazasz to sobie? Może w przyszłym tygodniu.

– To kto tam jeszcze będzie?

– Taka Bogusia, zdaje mi się, że wciąż mieszkają na Wilczym Młynie. Kupili tam działkę i wybudowali szeregowiec. No i jeszcze ze dwie, trzy dziewczyny, zobaczymy. Okazuje się, że wielu się wyprowadziło, kilka osób już nie żyje, a tylko parę z nas skończyło studia.

– Zobacz, mamu, ja w ogóle nie znam twoich koleżanek.

– Nie możesz ich znać, ostatnio widziałyśmy się dwadzieścia lat temu na jakimś zjeździe.

– Dwadzieścia lat temu... U ciebie wszystko było dwadzieścia lat temu.

– Nie wszystko...

– No, racja, teraz będziesz się ze mną kłócić, zawsze tak robisz. Że obowiązki, bo ja, bo tata... Tęskniłaś za tą Małgosią? Nie interesowało cię, co u niej słychać?

– Nie tęskniłam. Akurat za nią nie.

– A za kim? Za kimkolwiek? – Agnieszka nie chciała tego, ale podniosła głos.

Zapadła cisza.

Mama przed wyjazdem opowiedziała jej nieco o sobie. Wtedy słuchała pobieżnie, dopiero teraz sobie to przypominała. Widziała małą dziewczynkę, wyrwaną ze swojego wiejskiego środowiska, gdzie każdy znał każdego, gdzie nie było tłoku na drodze, gdzie można było się zgubić, ale nie wśród domów, tylko na polu, w życie albo kukurydzy, i przeniesioną do miasta, do bloku. Słyszała rozmowy dziadków, których z trudem sobie przypominała, o przenosinach, widziała smutek wypisany na ich twarzach i nadzieje na nowe, lepsze życie.

Agnieszka wiedziała, że rodzice mamy przekazali niewielkie gospodarstwo rolne najstarszej córce. Kiedy ciocia Wiesia zginęła w wypadku, na gospodarstwie został jej mąż, który szybko ponownie się ożenił i gospodarstwem zaczął zarządzać pasierb. Jeździli do nich w odwiedziny, ale mama miała żal do swoich rodziców, że przekazali gospodarstwo Wieśce, choć przecież dziadkowie, zatrudniając się w Kombinacie Naramowice, nie mogli przypuszczać, że ich starsza córka nie będzie mogła mieć dzieci i że zginie. Dziadkowie dostali od kombinatu niewielkie mieszkanie przy ulicy Naramowickiej, składające się z kuchni, łazienki i dwóch małych klitek. Mama Agnieszki wychowała się w pokoju, gdzie

całą ścianę zajmowała meblościanka, a gdy się rozłożyło kanapę, nie było już jak przejść. Kanapa na dzień przykrywana była kocem, na ścianie przy kanapie przyczepiona była słomianka, żeby ściana się nie zniszczyła. Na słomiance Danka wieszała zdjęcia zespołów rockowych. Lekcje odrabiała, trzymając zeszyty na kolanach. Dopiero gdy była w szóstej klasie, rodzice pozbyli się rozkładanego tapczanu, w którym popękały sprężyny, a który pamiętał ich młode lata.

Agnieszka nie widziała zdjęć mamy z tamtych czasów, bo nikt jej ich nie robił. Właściwie istniało tylko jedno: ona i ciocia na wsi pod Ślesinem. Uśmiechnięte, siedzą na przewróconej gałęzi, która udawała ławkę. Potem ta gałąź podobno spróchniała. Całą resztę opowieści musiała sobie wyobrazić: słomiankę na ścianie, gęste bawełniane firany w oknie, z którego widać było przystanek autobusowy, lniane zasłony w kwiaty, wazon siwak na oknie, a w nim suszone kwiaty. Mimo że w pokoju było wiele kolorów, i tak tchnął szarzyzną czasów.

Ta szarzyzna mamę ukształtowała.

Ta szarzyzna mamę obciążyla.

Atena wpadła do pokoju z rozwianym włosom, ubrana jak do drogi, w swoje niebieskie szarawary i białą bluzkę na ramiączkach. Chwyciła za plecak i łyknęła lemoniady.

– Pamiętaj, żeby nie spać pod figowcem ani pod cyprysem. Figowce zsyłają komary – rzuciła na odchodnym.

– Jasne.

– Jakbyś wiedziała, jak wygląda figowiec!

– Nie wiem, ale szybko się uczę.

Atena podeszła blisko Agi i dała jej całusa.

– Kochana, sprawiasz wrażenie zimnej, ale tak nie jest. Po paru godzinach się rozkręcasz.

Powtórzmy, pod czym masz nie spać?

– Pod figowcem mam nie spać ani pod cyprysem.

Agnieszka odprowadziła Atenę do wyjścia. Jorgos siedział w cieniu, na skuterze, parę metrów od drzwi hotelu, i stamtąd pomachał dziewczynom. Pożegnała się z Ateną, chwilę patrzyła za znikającym skuterem, następnie usiadła na ławce przy hotelowej restauracji, gdzie z każdą chwilą ubywało cienia. Obok, na drugiej, siedziało kilku dziadków i rozprawiali o czymś w najlepsze. Nigdzie im się nie spieszyło.

Poddała się chwili. Cudowne było uczucie, że nie trzeba się nigdzie spieszyć.

* * *

Elle

Elle nie mogła się pogodzić, że nie zachodzi w ciążę. Już podczas podróży do Polski obiecała sobie, że musi coś zrobić, iść do lekarzy, przebadać się, zobaczyć, jakie to da wyniki.

W styczniu dziewięćdziesiątego pierwszego roku definitywnie postanowili przenieść się do posiadłości Nestora, a to opóźniało zajęcia się tematem dzieci. Zapomniała też o Dance. Tyle się działo. Byli spakowani, jeszcze tylko parę dni, a będą na wsi. W marcu trzeba było już na serio zająć się winnicą.

Pewnego wieczora, jeszcze w Salonikach, długo czekała na Nestora z kolacją, chodząc nerwowo od okna do okna. Ciągle się o niego bała. To on przewrócił jej świat do góry nogami, nigdy by nie pomyślała, że będzie posiadaczką winnicy, że będzie produkować wino. To mogła być całkiem dobra odmiana. Saloniki były dużym miastem, w nim czuła się anonimowo. Tam, na korfiańskiej wsi, na pewno tak nie będzie. Nestor miał wielu przyjaciół, poznała ich na ślubie i na weselu; pocieszała się, że skoro był lubiany, to i ją polubią.

Wreszcie około północy klucz w drzwiach zachrobotał.

Jej mąż wyglądał na zawianego.

– Chuchnij. Gdzie byłeś? Martwiłam się.
– Z Kostasem wypiliśmy trochę *ouzo*.
– Z moim Kostasem? Skąd go znasz?
– Z naszego wesela. Spotykaliśmy się też na klatce, kiedy z nim mieszkałaś, a ja przyjeżdżałem do siostry. Ależ masz pamięć! – Nestor zachichotał.

– Aha, no tak.
– Wpadliśmy na siebie w mieście i poszliśmy pogadać.
– O czym? Zaliłeś się na mnie?
– Gdzieżbym śmiał. Zresztą, nawet na mikron nie mam powodów. – Próbował się do niej przytulić, ale się wywinęła.

Pomyślała, że pojedzie do Kostasa i powie mu, co myśli o upijaniu jej męża. Niech nie włązi z butami w jej życie. Miał swój czas.

Okazja nadarzyła się już po paru dniach. Nestor pojechał z bagażami na Korfu, Elle miała polecieć tam za dwa dni. Zadzwoiła do Kostasa.

– Mamy do pogadania.
– O czym?
– Ogólnie, dawno się nie widzieliśmy. Wyjeżdżam na Korfu, wyprowadzam się, za dwa dni tam lecę. Może przyjedź do mnie, co? Albo nie. Nie mamy już ze sobą nic wspólnego. – Zmieniła zdanie. Przecież na Korfu nie będzie upijał jej Nestora. Zresztą, złość na Kostasa już jej przeszła.

– Cała ty. Chcesz i nie chcesz.
– No dobra, to przyjedź, pożegnałam się z ptakami, które mi siadały na parapetach, to i z tobą się pożegnaj. – Zarzucił jej cechę, jakiej na pewno nie posiadała. Znow wróciła złość.

– Nie, ty przyjedź do mnie, mam coś do roboty.
– Jeszcze czego! Nie chcę patrzeć na twoją babę. Jak mogłeś zamienić mnie na taką okropność?
– Przyjedź, nie gadaj. Nie ma jej, poleciała do Polski.

Przyjechała tak, jak chciał. Dlaczego? Nie wiedziała.

Porozmawiali, owszem, ale nie tylko. Obudziła się około pierwszej w nocy, naga, w ramionach Kostasa; obudził ją zapach dymu papierosowego, którym dmuchnął jej w twarz. Miał minę zdobywcy.

– No i co szczerzysz kły? Uwiodłeś mnie, do cholery, uwiodłeś mnie!

– Niedobrze ci było?

– Teraz jest mi niedobrze! Zdradziłam Nestora.

Machnął ręką.

– Nie machaj, zdradziłam go, a dla mnie jest ważne, żeby była między nami uczciwość. Nie chciałam taka być.

– Nie samą uczciwością się żyje. To między nami jest jak ogień. Ależ mi było dobrze! Ty też krzyczałaś z rozkoszy, jak ja to lubię.

– Jesteś potworem, uwiodłeś mnie! – Zaczęła okładać go pięściami.

– Poczekaj, mała. Kto kogo uwiodł? Ty mnie pocałowałaś, ty mi rozpięłaś koszulę.

– To nie to samo. To nie to samo...

Łzy ciurkiem leciały jej po policzkach, nie mogła opanować szlochu.

– Uspokój się, wariatko!

– Zamów mi taksówkę.

– Zostań, przecież nie musimy się spieszyć. Zrobię ci jeszcze lepiej, nic między nami nie wygasło, wręcz przeciwnie. Ogień jak włązi na szczapę, to zapala cały stóg.

Oczywiście mówił prawdę. Seksualnie to było to. Z Nestorem też nie było jej źle, ale nie tak wariacko, nie tak dziko. Kostas powiedział prawdę. Kiedy go obok siebie poczuła, wszystko wróciło. Miał rację, ogień mógł zamienić ich w popiół. Znow była podniecona, już czuła wilgoć w majtkach. Tyle że poza zmysłami został jej jeszcze rozum! Nie była potworem i miała zasady. Nie będzie sobie wciąż udowadniać, że nie jest taka zła jako kobieta, skoro kiedyś ją odrzucił i źle potraktował. Że na próżno na niego czekała. Miała o to do siebie żal. Wstydziła się, że była taka nieroztropna. Nestor był najlepszym,

najuczciwszym mężczyzną, jakiego spotkała, nie mogła go skrzywdzić. Kochała go.

To z Kostasem to był wypadek, zakończenie, właściwe zakończenie ich związku. Taki akord. Niech potem żałuje.

– Mam swoje miejsce na ziemi, wreszcie mam obok dobrych ludzi. Nie zostanę, niedoczekanie. Zaśmiał się.

– Gdybyś się rozmyśliła, gdyby ci na tej wyspie, na tej wsi było niedobrze, wracaj. Mnie już znasz. Wiesz, jakie mam wady.

– Tak mówisz, jakbyś nie był mężem Krystyny.

Machnął tylko ręką.

– Sam nie wiem, jak to się stało. Przez ciebie.

Zachnęła się i wyszła.

Korfu przywitało ją słońcem. Czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy z żalu nad sobą, czy ze szczęścia, być może i taka możliwość wchodziła w rachubę, z Nestorem przez pierwsze trzy dni nie wychodzili z łóżka. Wszystko robili razem, spacerowali po winnicy, jeździli traktorkiem, obcinali zbyt długie gałązki, prześwietlali krzaki, razem dosadzali przy domu róże i malowali drabinki do pnączy. Razem obmyślali, jak upiększyć dom. Po południu, na tarasie z widokiem na winnicę, przy zachodzącym słońcu, pili wino. Kończyło się to zawsze tym samym, fizyczną miłością. Elle czuła się panią Balafas, czuła się użyteczna i szybko wpadła w rytm codzienności w winnicy.

Po trzech tygodniach od przyjazdu zaczęła się źle czuć. Poranne wymioty, niestrawność, bóle brzucha i bóle pęcherza złożyła na karb nadmiernego picia wina. Odstawiła alkohol, przestali się kochać na tarasie, w obawie, żeby jeszcze bardziej nie przeziębili pęcherza.

Gdy po miesiącu objawy nie minęły, pojechała do lekarza.

– Pani Balafas, cieszę się, że mogę ogłosić radosną nowinę. Jest pani w ciąży. Gratuluję.

Popłakali się oboje. Nestor nie wypuszczał jej z domu, w obawie, że coś się stanie mamie i dziecku. Jak na dokładkę pogoda była przepiękna i winogrona prezentowały się dorodnie. Tegoroczne wino okazało się znakomite, ich dom pękał w szwach, co rusz przychodzili goście, rodzina, przyjaciele. Całą zimę spędzili przy kominku, śpiewając.

Byli najszczęśliwszymi ludźmi na Korfu. Elle nie podejrzewała, że tak może się zakochać. Kostas poszedł szybko w całkowitą odstawkę, zapomniała o nim. Liczyło się tylko to, co tu i teraz.

Dwudziestego piątego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku na świat przyszedł śliczny chłopczyk, Andrea Balafas.

– Jakież podobny do ojca – cmokali sąsiedzi i rodzina. – I do matki trochę też.

Nestor nie posiadał się ze szczęścia. Elle także, dała mu syna, dała mu największe szczęście. O ileż ważniejsze to było od dobrych zbiorów winogron, ważniejsze niż udany rocznik wina. Poza tym jakże piękna to była kruszynka. Może i mały był podobny do Nestora, ale widziała w nim również swoje rysy.

Z uwagi na obowiązki Elle przy dziecku Nestor zatrudnił w winnicy młodego mężczyznę, Theo Nikosa.

– Do twoich obowiązków będzie należało opiekować się moją żoną, kiedy mnie nie będzie w winnicy. Ale to nie wszystko. Masz ją wozić do lekarzy, na zakupy, przywieźć od czasu do czasu razem z dzieckiem na pole. Masz spełniać jej wszystkie zachcianki. Mój syn też musi być traktowany jak królewicz. Tak długo na nich czekałem...

Theo był starszy od Elle o dwa lata, ale nie miał pojęcia o pracy w winnicy, nie miał też pojęcia o pomocy przy dziecku, ale był pojętny. Szybko się z Elle zaprzyjaźnili, mężczyzna przypominał jej urodą Kostasa, jednak w odróżnieniu od niego Theo był stateczny, prawdomówny, surowy w obejściu, a Elle była pewna, że w każdej sytuacji będzie mogła na niego liczyć. Nie był lekkoduchem, jak Kostas.

– Theo, powiedz mi, jakie jest twoje marzenie? Jeśli mi powiesz swoje, ja ci powiem moje – droczyła się z nim.

– Marzenie. – Wzruszył ramionami. – Nie mam marzeń. – Zawstydział się i spojrzał na nią z ukosa.

– No dobrze, to powiedz mi, co byś chciał robić, tak najbardziej. Bo nie powiesz chyba, że chcesz całe życie pomagać mi przy dziecku.

Długo milczał.

– No co? Mowę ci odjęło? – Elle szturchnęła go w bok.

– Chciałbym pracować w winnicy.

Elle nie zapomniała o marzeniu Theo. Podczas którejś z kolei wyprawy na zakupy do miasta Korfu zostawiła śpiącego Andreę na placu Spianada pod opieką Theo, a sama odwiedziła księgarnię, skąd wróciła z torbą pełną książek.

– Mam to – oznajmiła, gdy wśród turystów znalazła Theo z dzieckiem na kolanach, siedzących w cieniu przy kawiarnianym stoliku. Przed Theo stała pusta filiżanka po kawie, Andrea trzymał w rękach pustą butelkę po mleku.

Theo spojrział na pakunki, ale nic nie powiedział. Andrea na widok matki wyciągnął do niej rączki.

– Może być jeszcze głodny, płakał, gdy mleko się skończyło.

Ruszyli w drogę powrotną.

Elle w samochodzie rozpięła bluzkę i przystawiła dziecko do piersi. Theo jechał wolno, spoglądając na ładny obrazek.

– Jedź szybciej, przecież się nie zachłyśnię.

– Dobrze – westchnął Theo i nieco przyspieszył.

Spotykali się, kiedy chłopczyk spał. Zadawali sobie zadania i spotykali, żeby rozmawiać. Po miesiącu o uprawie winogron i oliwek wiedzieli wszystko. Po trzech miesiącach, gdy Andrea miał już prawie rok, Elle namówiła Nestora, by zatrudnił dla chłopca opiekunkę, a ona i Theo będą pomagać mu w winnicy.

Nestor długo się wahał. Latami sam prowadził przedsięwzięcie, kobietę widział raczej w domu, przecież pieniędzy mieli dość. Miał nadzieję na przynajmniej jeszcze jedno dziecko. Wierzył, że tak będzie. Na palcach jednej ręki mógłby wyliczyć noce z ostatniego miesiąca bez seksu, choć coraz więcej go to kosztowało. Musiał posiłkować się wspomagaczami, Elle była taka seksowna, taka zachłanna. Tak bardzo zależało mu na dziecku...

– A ja myślałem, że masz dla mnie dobre wiadomości... – zmienił temat. Doskonale wiedziała, co ma na myśli.

– Przestań, trudno jest zająć w ciążę pod presją.

Wieczorem, po powrocie z pola, w łóżku, Nestor położył rękę na kroczu Elle. Na nic zdało się udawanie. Rozczarowanie, jakie widziała na twarzy męża, sprawiło, że ciężko westchnęła. Jakże źle się poczuła. Chciała mu sprawiać radość, mnóstwo radości.

– Następnym razem nam na pewno wyjdzie, będziemy mieli jeszcze co najmniej czterech synów. Za dwa dni powinna mi się skończyć miesiączka.

Podarował jej swój uporządkowany i interesujący świat. Był najlepszym mężem, jakiego mogła sobie wymarzyć. Troskliwy, opiekuńczy, nigdy nie powiedział złego słowa, ba, nigdy nie podniósł głosu.

Spełniał wszystkie jej zachcianki, często mówiąc, że go zaskakuje, że tak wiele jej zawdzięcza. Starła się żyć oszczędnie, niewiele sobie kupowała, a biżuterię od Nestora zakładała tylko od święta. Mimo to była czarująca, gdy z rozwianymi, długimi ciemnymi włosami, w przybrudzonych sokiem z winogron dżinsach jeździła maszyną między rzędami winorośli, gdy zanurzała dłonie w winogronowej pulpie, gdy ją smakowała. Gdy ciepła i miła co rano budziła męża pocałunkiem. Potem jeszcze leżeli w łóżku, patrząc przez okno, z którego roztaczał się widok na winnicę. Czasem przybiegał do nich Andrea. Gdyby Nestorowi parę lat wcześniej ktoś powiedział, że dozna tyle szczęścia, poradziłby, żeby odstawił wino.

Elle zazwyczaj wstawała szybciej niż on.

– Pośpij sobie, odpocznij – mówiła, kiedy podrywał się z łóżka. – Jak będzie się coś waliło i paliło, obiecuję, że po ciebie poślę.

Był coraz starszy i słabszy, zaczynał sobie z tego zdawać sprawę. Dokuczało mu wysokie

ciśnienie, powinien pojechać do lekarzy, powinien brać jakieś lekarstwa. Czerwone wino wszystko wyrówna – myślał, codziennie przed snem wypijając kilka łyków.

– Chciałbym przenieść na ciebie prawo własności winnicy i wszystkiego, co mam – powiedział pewnego razu.

– Nie na syna?

– Nie, ty potem postanowisz, co dalej. Wiem, że traktujesz poważnie to, co mamy – powiedział, gdy wyszli od notariusza. – Dałaś mi tak dużo. Nikt tyle mi nie dał.

Oddawszy prowadzenie winnicy w ręce Elle i Theo, nieraz zazdrośnie patrzył na relacje tych dwojga. Ze strony Elle była to jedynie przyjaźń, tego mógł być pewien, ale nie dałby sobie głowy odciąć za uczucia Theo. W sumie rozumiał go, trudno było nie kochać Elle.

Nestor zajął się planami rozbudowy domu i pomieszczeń dla pracowników, tym żył najbardziej. Jeździł do miasta, kupował potrzebne materiały, pilnował prac budowlanych. O ile kiedyś wystarczały mu cztery sypialnie, o tyle po ślubie i po urodzeniu Andrei, zaczynało być ciasno. Kiedy ciężarówki zaczęły zwozić materiały, Elle zapytała:

– Nie za dużo tego?

– Dla czwórki synów i dla nas dom musi być duży. – Uszczypnął ją w pupę.

Elle miała zaufanie do męża, nie zaglądała mu przez ramię, nie interesowała się planami. Już i tak czuła się winna, kiedy sama co rano wychodziła z domu, wsiadała na traktorek, podjeżdżała pod pawilony dla pracowników i stamtąd zabierała Theo. Spędzała z nim znacznie więcej czasu niż z mężem. Niejeden czyniłby jej z tego powodu wyrzuty.

– Rób tak, żebyś czuła się szczęśliwa. – Nestor zawsze dawał jej dużo swobody. – Nie jestem już młody...

To jej dało do myślenia, czuła zapowiedź jakiegoś kresu. Od jakiegoś czasu było inaczej, na pewno smutniej.

Pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku do Elle zadzwonił Kostas. Nie słyszeli się ani nie widzieli parę lat. Rzadko o nim myślała, był jej mglistą przeszłością. Po latach życia z Nestorem była szczęśliwa i wdzięczna za los, jaki jej zesłała opatrzność.

– Zapraszam cię do mojego nowego domu. Muszę z tobą pogadać, wiesz, znów jestem wolny.

– Co znaczy, że jesteś wolny? – nie zrozumiała.

– Normalnie. Krystyna dała mi spokój, to znaczy rozwiedliśmy się, od paru miesięcy jest w Polsce. Mam nadzieję, że wciąż jesteście przyjaciółmi...

Prychnęła w słuchawkę.

– Samą mnie chcesz zaprosić? – zapytała zimnym tonem. Wiadomość o rozwodzie nie zrobiła na niej wrażenia, choć niewątpliwie była interesująca.

– Nie, no, z Nestorem. Tylko że... musisz wiedzieć, że daleko do mnie nie macie... – zaśmiał się. – Już nie mieszkam w Salonikach.

– Coś ty! A gdzie?

– Blisko was, w stolicy Korfu, mam duże mieszkanie niedaleko portu. W starej części.

To, że Kostas przeniósł się na wyspę, coś dla Elle znaczyło. Tyle że powinien o niej pomyśleć parę lat temu, kiedy jeszcze nie знаła Nestora. Mimo wszystko tym telefonem zburzył jej spokój. Na moment wszystko wróciło: szaleństwo, wspomnienia, ta bezpośredniość...

– To co, widzimy się za tydzień, w sobotę? Nestor nie będzie miał nic przeciwko?

– Żartujesz chyba. To bardzo fajny facet. Nie żaden kmiotek.

Kostas mruknął coś pod nosem.

Dni mijały Elle pracowicie. Andrea rozwijał się nad wyraz dobrze, był ciekawy pracy w winnicy, ciągle o wszystko wypytywał i pilnie obserwował. W ogóle nie chorował i nie stwarzał większych problemów.

Elle uprosiła Nestora, żeby w dniu wizyty u Kostasa, wcześniej spotkał się w Kerkirze z lekarzem. Elle skończyła trzydzieści pięć lat, powinna odwiedzić ginekologa, a Nestor dobiegał siedemdziesiątki i ani razu w życiu nie zrobił sobie badań. I choć uważał, że wysokie ciśnienie to wina

słońca i zbyt dużej ilości wina, niczego nie ograniczył.

W piątek rano upadł, wstając z łóżka, ale szybko się pozbierał.

– Mroczyki – powiedział. – Nic takiego. Czas zacząć nosić okulary.

Dzień minął im leniwie. Zima była ciepła, pozwalała na długie spacerowanie. Elle potrafiła przejść codziennie kilka kilometrów, czasem dołączał do niej Theo.

Tym razem też tak było.

– Theo, kiedy się wreszcie rozejrzysz za jakąś fajną panną?

Wzruszył ramionami, jak to on.

– Bo w końcu ja ci kogoś znajdę i zaprowadzę do ołtarza!

Znów wzruszył ramionami.

– Wiesz co? Wyciągnę z ciebie, która dziewczyna ci się podoba. Nie wierzę, żebyś nikogo nie kochał. Theo, przyznaj się, kogo kochasz?

Wzruszył ramionami, ale zauważyła, że się zawstydzził.

Była między nimi dobra relacja. Z Theo mogła pogadać nie tylko o winnicy, nie tylko o pracy, ale też o filmie, o sztuce. Wtedy stawał się gadatliwy; gdy schodziło na tematy uczuć, milkł.

Wieczorem w łóżku Elle i Nestor pili białe wino i się przekomarzali. Wino było młode, tegoroczne i naprawdę udane, o ciekawym bukacie i zapachu, w którym można było wyczuć nawet aromat róż, wieńczących rzędy winorośli. Lato w tym roku było bardzo upalne, a grona nadzwyczaj słodkie.

Słodkością winogron i fizycznym zbliżeniem zakończyli kolejny dobry dzień.

W sobotę rano Elle obudził hałas. Usiadła nieprzytomna na łóżku. Nestor wyciągał w jej stronę rękę, jęcząc i bełkocząc niezrozumiale. Był inny, miał opuchniętą, wykrzywioną twarz.

Po godzinie karetka pogotowia zabrała go do szpitala.

– Udar, jak rozległy, będziemy wiedzieć po badaniach.

Theo i Elle zrozpaczeni patrzyli za oddalającą się karetką. Dźwięk sygnału kroił im serca.

– Zawiozę cię do niego. – Theo objął Elle za ramiona.

– Nie, pojedę sama. Andrea nie może nic wiedzieć, powiedz opiekunce i innym, żeby trzymali gęby na kłódkę. Dopilnuj wszystkiego.

– Dobrze. Tylko uważaj, nie szarżuj na drodze. Za szybko jeździsz. Masz naładowany telefon?

– Tak.

Mężczyzna podał jej rękę, Elle przytuliła się do niego i rozplakała. Pogładził ją po policzku.

– Na pewno już doszedł do siebie. Będę się za niego modlił – powtarzał uspokajającym głosem.

– Na pewno...

– To nie był udar. Szef znów chodził bez kapelusza.

– No dobrze, Theo, trzeba być silnym.

Przytrzymała jego rękę, popatrzyła mu w oczy i głęboko westchnęła. Podeszła do auta, wsiadła za kierownicę i wbrew temu, o co prosił Theo, ruszyła z piskiem opon. Patrzył za nią, dopiero gdy auto zniknęło za wzgórzem, wszedł do domu i usłyszał, że Andrea właśnie się obudził.

W szpitalu Elle została pozbawiona złudzeń.

– Wylew, nie odzyskał przytomności.

– Zostanę z nim.

– Nie słyszy, prawdopodobnie nie widzi, jest w swoim świecie. Lepiej, żeby zapamiętała go pani zdrowego. Damy znać, gdy się coś zmieni. Zawsze jest jakaś nadzieja.

Usiadła przy łóżku męża, chwyciła go za rękę i zaczęła z nim rozmawiać. Najpierw opowiedziała, co słyhać w winnicy, potem, że wszystkim zajął się Theo, że Andrea bardzo tęskni za ojcem i ten ma natychmiast wracać do synka. Kiedy nie zareagował na jej słowa, ścisnęła rękę męża i powiedziała na głos:

– Kochany, jestem w ciąży.

Poczuła, jak jego ręka lekko zadrżała. Pogłaskała go po twarzy.

– Obiecałam, że będziesz miał synów, i jestem w ciąży – powiedziała pewnym głosem. –

Dotrzymuję słowa. Teraz ty dotrzymaj i natychmiast się obudź! Zrób to dla nas.

Na twarzy Nestora pojawił się grymas podobny do uśmiechu. Długo się w niego wpatrywała, aż w końcu znużona przymknęła powieki.

Obudził ją dzwonek telefonu.

– Gdzie jesteście? – To był głos Kostasa.

Spojrzała na Nestora, oddychał, ale nic się nie zmieniło w jego wyglądzie. Pielęgniarka, która weszła do pokoju i spojrzała na wykresy na monitorze, przecząco pokręciła głową.

Elle w tym momencie postanowiła:

– Jesteśmy w mieście. Jeszcze chwila.

Nie zwróciła w ogóle uwagi, dokąd idzie, trafiła pod adres, ale gdyby ktoś jej kazał powiedzieć jak, nie potrafiłaby udzielić odpowiedzi. Była jak we śnie.

– A Nestor? – zapytał Kostas, gdy stanęła w progu.

– Jestem sama.

– To nawet dobrze. – Zmierzył ją od stóp do głów.

Kostas nieco się zmienił fizycznie, nie był już tym chuderlakiem, którego poznała, a potem zostawiła w Salonikach, ale mało ją to obchodziło. Myślami była daleko, kiedy wygłaszał kwiecistą, oszczerczą mowę na temat Krystyny.

– Dziwnie wyglądasz – powiedział, kiedy nie odezwała się słowem.

– Wiesz, ludzie mają różne etapy w życiu, ja jestem już inna.

– Martwisz się czymś?

– Owszem.

Wyciągnął butelkę.

– W takim razie, na zmartwienia.

Pierwszą szklanekę *ouzo* wypila z żalu, drugą z tęsknoty, trzecią, bo tak. Nie odsunęła jego ręki masującej jej pierś.

– Założyć gumkę?

– Nie, nie, jestem zabezpieczona...

Gdy się kochali, płakała. Nestor tak bardzo chciał mieć synów.

– Możemy się spotykać, jak kiedyś. Wzruszyłem cię. – Kostas był z siebie zadowolony. – Płakałaś, jak kiedyś. Kochasz mnie. Powiedz to. Kochasz mnie.

Chciała, żeby poczuł się dotknięty. Chciała tego.

– Nie, Kostas. Nie Kocham cię. Kocham Nestora, od dawna go Kocham. Teraz jest w szpitalu – połknęła łyżę – nieprzytomny, musi z tego wyjść, bo bardzo go Kocham. Jeśli chcesz wiedzieć, z tobą zabiłam samotność – powiedziała hardo. Była okrutna, to prawda. Była tam po coś.

Pomyślała, że mina Kostasa nigdy nie zatrze się w jej pamięci.

Do szpitala dotarła w chwili, kiedy rozdzwonił się telefon...

Odszedł, jej Nestor odszedł. Nie wyszedł z udaru.

Nie wytrzeźwiała jeszcze po *ouzo* i po tym, co zrobiła. Nestor ją okłamał, obiecując, że będą mieli jeszcze czterech synów. Musiała pojechać do domu, to nic, że była pijana. Tam przywiozą jej Nestora, tam musi na niego poczekać.

Kiedy wsiadła do samochodu, chwyciła za telefon.

– Theo? To ty? Nie żyje, Nestor nie żyje. Proszę, uważaj na synka, on lubi do nas w nocy przychodzić. Lubi się kłaść między nami.

Nie pamiętała, jak przejechała drogę do domu. Mało co widziała, ale najwidoczniej Nestor nad nią czuwał. W domu, tak jak stała, opadła na łóżko, obok Theo, który przyglądał się jej spod przymkniętych powiek, i obok śpiącego Andrei. Było jej niewygodnie, więc przeniosła syna do jego pokoju, wróciła i wtuliła się w ramiona Theo. Głaskał ją po głowie, a ona mogła wreszcie się wypłakać.

Nad ranem opiekunka i robotnicy, którzy przyszli do domu, zobaczyli, że Theo wychodzi z sypialni Elle i Nestora. O śmierci Nestora Balafasa dowiedzieli się, kiedy Theo powiesił nad drzwiami kir.

Andrea kilka miesięcy żył w nieświadomości.

[2] Tłum. Nikos Chadzinikolau.

[3] Jagnięcina z karczochami i pomidorami.

[4] Grillowany kotlet z mieszanki mięs (jagnięce, wołowe, wieprzowe), podawany z serem kozim.

[5] Cukinia zapiekana w cieście *filo*.

[6] Bardzo cienkie ciasto zrobione z mąki, wody i odrobiny oleju. Przypomina ciasto francuskie.

[7] Grecka wódka o zawartości alkoholu do 48%, o smaku anyżowym.

Rozdział trzeci

Samolot zniżał wysokość. Z okna widziała błękit morza i skalisty krajobraz w kolorze beżu, który wyglądał, jakby był wypalony słońcem. Po przejściu z płyty lotniska do sali odpraw Agnieszka wzięła mapkę z rozkładem jazdy autobusów. Naklejanie na przystankach żółtych kartek weszło jej już w krew.

Podobno sekretem dobrego związku są niskie oczekiwania, to słowa, które zapadły mi w pamięć podczas drugiego etapu podróży.

Jeszcze będąc na Korfu, przez Internet wynajęła niewielki pokoik w hotelu przy promenadzie w Sliemie, ze śniadaniem i niewielkim balkonem, z widokiem na morze i na promenadę. Stamtąd miało być wszędzie blisko: na dworzec autobusowy, na przystanki, do mariny. Tylko podjechać albo popłynąć do Valletty, a stamtąd jeszcze dalej, tak przynajmniej wynikało z mapy. Hotelowy balkon z widokiem na morze niewątpliwie był dobrym miejscem na spędzanie samotnych wieczorów. Tego potrzebowała: samotności, morza, dobrego wina, jakiejś egzotyki, a przede wszystkim pobytu w obcym kraju.

Autobus z lotniska w Luqā do Sliemy był zatłoczony, zapchany walizkami i plecakami, a ludzie cisnęli się jak sardynki w puszcze. Jadąc przez wyspę, Agnieszka odkrywała widoki, głównie miejskie, mało rolnicze. Budowle, które mijali, budziły jej zachwyt, a nawet zdumienie, nie spodziewała się tak wielkich i tak starych. Była pewna, że pamiętały czasy bardzo odległe.

Lecąc na Malte, miała w głowie obraz mało znanego kraju, niewiele wiedziała o wyspach, wydawało jej się, że Malta będzie miała niewiele do zaoferowania. Skały, morze, piaszczyste plaże, czyli śródziemnomorski standard. Jakże była w błędzie! Malta okazała się jednym wielkim, starożytnym miastem, ze wspaniałymi budowlami w kolorze piasku i z hotelami położonymi tuż przy brzegu.

Nie miała pojęcia, gdzie wysiąść.

– Hotel Melita, Sliema? – zapytała kogoś z pasażerów, gdy mijali wielki szpital.

– Oj nie, to Gzira.

– Czy to Sliema? – zapytała, kiedy jej oczom ukazało się morze z kolorowymi łodziami rybackimi.

– Nie, to Paceville.

– Hotel Melita? Sliema? – Znów nie wytrzymała i zapytała po paru kolejnych przystankach. Każdy znajdował się przy jakimś hotelu i przy nadmorskiej promenadzie.

– Nie. To jest jeszcze St. Julian's.

Kiedy autobus minął – tak jej się wydawało – St. Julian's, była gotowa wysiąść. Ktoś chwycił ją za rękę.

– Jedziesz do hotelu Melita? Jeszcze dwa przystanki. – Kobieta też była turystką, jechała z lotniska. – Uwierz mi. Sprawdziłam w tablecie – dodała z przekonaniem.

– Dziękuję.

Wysiadła wraz z kilkoma osobami, każda miała bagaż. Słysząc było stukanie kółek o płyty chodnikowe. Chodnik był nierówny, walizka Agnieszki, a raczej uniwersalny plecak, choć lekki, co chwilę się przewracał.

Szła już kilkadziesiąt metrów, mijając wyłącznie hotele; wyglądały różnie, od wielkich, z szerokim marmurowym wejściem, do wąskich na dwa okna, jakby wklejonych pomiędzy inne, większe. Minęła też kilka ruin w remoncie. Zatrzymała się zdumiona przed frontem kilkupiętrowego budynku z rzeźbionymi gzymsami i bogatą ornamentyką. Za ścianą nie zobaczyła nic więcej oprócz podwórka. Na środku leżała sterta cegieł.

Jeśli jej hotel rzeczywiście znajdował się przy tej ulicy, trafiła w dziesiątkę. Po jednej stronie rozciągał się kamienisty brzeg i wielkie morze. Woda uderzała o skały, Agnieszka czuła krople na swoim policzku. W mieście można było korzystać z plaż, więc na kamieniach – mimo wietrznej pogody – siedziało sporo osób, ktoś nawet pluskał się w przejrzystej turkusowej wodzie. Na promenadzie trenowało wielu biegaczy.

Zniecierpliwiona i zaniepokojona, że być może minęła swój hotel, zatrzymała się przed pizzerią na świeżym powietrzu.

– Hotel Melita? – zapytała kelnera. – Nie mogę znaleźć.

– Tak, tak. Jest nad nami.

Agnieszka zadarła głowę: rzeczywiście, nad łukiem drzwiowym był napis.

– Gapa jestem – uśmiechnęła się przepraszająco.

– Och, nie! Nie gapa.

Wciągnęła bagaż po wąskich, stromych schodach na piętro. W niewielkiej recepcji przyjęła ją drobna dziewczyna o ciemnych włosach i oczach. U południowców był to urodowy standard, zresztą sama Agnieszka też się wpisywała w ten kanon. Siadła na fotelu, czekała, aż dziewczyna wprowadzi do komputera jej dane, potem podała kartę, którą opłaciła pobyt. Trzy doby, tylko trzy doby i będzie mogła zająć się sobą, usiądzie wtedy na plaży i więcej nie pomyśli o matce ani o Elle. Jednak to był tylko piękny scenariusz, już się nauczyła, że każdy plan może się wywrócić do góry nogami i przynieść rozczarowanie, o kosztach nie mówiąc. Nieco mniej była już nakierowana na cel. Poluzowała gorset, co tylko wyszło jej na dobre.

Wzrok Agnieszki padł na biblioteczkę z książkami: James Joyce, Camilla Lackberg... Żałowała, że nie wzięła książek polskich autorów. Wstała i przejechała palcem po grzbietach. Była i w duszy, i z wykształcenia humanistką, to były jej klimaty. Zatrzymała się na starym angielskim wydaniu „Komu bije dzwon” Hemingwaya.

Maltanka szybko załatwiła formalności, co rusz w uśmiechu pokazując Agnieszcze duże białe zęby. Wzięła z półki mapę i pozaznaczała na niej najciekawsze miejsca na Malcie i na Gozo.

– Gozo? – zapytała Agnieszka?

– Dokładnie. W skład Republiki Malty wchodzi trzy wyspy, zamieszkałe Malta i Gozo i niezamieszkała Comino. Na Comino i na Gozo możesz stąd dotrzeć drogą morską i bardzo ci to polecam, bo na Comino jest słynna Błękitna Laguna. Na Gozo było znane na cały świat Azure Window, niestety, nasze okno porwał wiatr, zawaliło się i zniknęło pod wodą. Pewnie czytałaś o tym w gazetach. Jest też tam cudowna pomarańczowa plaża Ramla Bay, a stolicą Gozo jest Victoria. Przyleciałaś prosto z Polski? – zapytała recepcjonistka.

– Nie, nie, z Grecji. Byłam w Salonikach i na Korfu.

– O, to ciekawe. Pierwszy raz na Malcie?

– Tak. I powiem ci, jestem bardzo Maltą zaskoczona, dla mnie to takie jedno wielkie, stare miasto.

– Miło mi, niech ci się wszystko spodoba. Moja rodzina przywędrowała tutaj z Sycylii. Mów mi Maria, Agniesko!

To „s” w imieniu było przecudne.

– Agnieszko, przez sz.

Chwilę się pośmiały.

– Co cię tak u nas zaskoczyło?

– Monumenty po drodze, olbrzymie kościoły, cudowne rezydencje. Genialne budownictwo, wszystko sprzed lat, jak sądzę...

– Zapraszamy częściej – uśmiechnęła się Maria.

– Ładna ta książka. – Aga zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Która? Turyści nam zostawiają, żeby inni czytali.

– Hemingway.

– Chcesz? Weź ją sobie.

– Nie, no nie wiem, jest zbyt wartościowa. – Aga wstała, dotknęła grzbietu książki, wyjęła i otworzyła na drugiej stronie. Wydanie było z początku lat sześćdziesiątych.

– Nie – powtórzyła. – Jest zbyt cenna.

– Owszem, masz rację. Ale wartością będzie też to, że ty ją przeczytasz. – Dziewczyna pokazała w uśmiechu dołki w policzkach. – Miałam dla ciebie gorszy pokój, ale co tam, dam ci lepszy.

Agnieszka z kluczem w ręce czekała na windę. Lokum znajdowało się na siódmym piętrze, na szczęście starodawna winda okazała się sprawna. Pokój nie był duży, ale urządzone ze smakiem, posiadał wszystko, co pozwoliło poczuć się tu dobrze. Łazienka, wyłożona dużymi beżowymi kaflami, nie była zbyt nowa, ale z kranu leciała ciepła woda, a to było najważniejsze. Agnieszka wyszła na balkon i zapatrzyła się na morze. Woda z hukiem rozbijała się o skały, ale Agnieszce to nie przeszkadzało. Bardzo dobrze się czuła, wszystko jej pasowało, język angielski, którego używali Maltańczycy, jedzenie, jak przeczytała, bardzo podobne do włoskiego, słońce... Tak, słońce było najważniejsze. Tylko ruch lewostronny trochę ją przerażał.

Założyła białą, bawełnianą bluzkę i zjechała windą na pierwsze piętro. Pomachała Marii i zniknęła w restauracji. Zjadła małą pizzę z owocami morza, popiła gazowaną wodą i syta wyruszyła do miasta. W drodze do portu natknęła się na duży market, gdzie kupiła parę butelek wody, wino, kozie sery i pszenny chleb. Nabyła też słoik pasty kawiorowej. Tak zaopatrzona musiała zrezygnować z planów dalszej wycieczki i wrócić do hotelu. Zrobiło się już popołudnie.

Resztę dnia spędziła na balkonie. Zjadła pieczywo z masłem i pastą kawiorową. Było jej dobrze, jakże dobrze. Zauważyła, że do Internetu zagląda tylko po to, żeby odszukać jakieś miejsce albo przeczytać informację związaną z pobytem na Malcie. Od paru dni nie wpisywała w wyszukiwarke dwóch słów – Iwo Rusin.

Wiktor Radecki, jej Wiktor, to nie ta sama osoba, co Iwo Rusin. Nie obchodził jej Iwo Rusin. Ale Wiktor Radecki bardzo. Tęskniła.

* * *

Maria zaznaczyła na mapie Vallettę i Agnieszka zdecydowała się wyruszyć po śniadaniu. Poszła w stronę Tigne Point Beach, skąd rozciągał się widok na stolicę tego małego kraju. Zatrzymała się, urzeczona widokiem. Szmaragd wody w zatoce, upstrzony kolorami łodzi, dalej kamienne miasto na wzgórzach, bez budynków i brąz kopuł kościołów z dominującą pomarańczową Bazyliką Matki Bożej z góry Karmel. Valletta oferowała kamień, tysiącletnie mury, cytadelę. I jeszcze więcej, i więcej... Na brzegu stało mnóstwo kolorowych łodzi.

To właśnie z tego miejsca uwieczniali miasto fotografowie i turyści. Na cyplu pobudowano ekskluzywne hotele, przepiękny widok niewątpliwie przyciągnął wielkie pieniądze. Agnieszka usiadła na ławce, którą opuściła para japońskich turystów. W przewodniku przeczytała, że Valletta to miejsce, gdzie mieszkają się kultury dawnych zdobywców. Do dziś widać tu ślady Fenicjan, Kartagińczyków, Rzymian, Bizantyjczyków, Hiszpanów, bardzo wyraźne Arabów, a także spuściznę krzyżowców Zakonu Maltańskiego.

Nie chciało jej się wstawać z ławki, słońce przyjemnie grzało, a wiatr chłodził rozpaloną skórę. Gdy wreszcie skierowała kroki do portu, natychmiast oblegli ją właściciele stateczków, proponując rejsy, przeważnie na Comino i dookoła Malty. Agnieszka wciąż była zachwycona widokiem na Vallettę, z portu ukazały jej się jeszcze inne oblicza starego miasta. Pomyślała, że musi przyjechać tu jeszcze raz, z Wiktorem. Zamieszkają w stolicy, nie będą się spieszyć...

Wsiadła na stateczek, który przewoził turystów i mieszkańców na drugi brzeg. Kiedy sforsowała wzniesienie, setki schodów i parę uliczek prowadzących w górę, potem deptak Triq ir-Repubblika, wtopiła się w atmosferę miasta. Na placu widziała tylko młodość i turystów, jak na Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Włóczyła się po Valletcie, zadziwiona rozmachem.

Podróż w poszukiwaniu Elle (i siebie, musiała to w końcu przyznać) zawiodła ją w miejsca, które ją zdumiały. Nie dotarłaby na Maltę, gdyby nie matka. Gdyby nie Elle. Gdyby nie Wiktor... Taka była prawda. Nie kupiła wycieczki w biurze turystycznym, zorganizowała ją sobie sama. Była z siebie dumna.

Zmęczona parogodzinnym wałęsaniem się po mieście, po przejściu każdej wąskiej uliczki wijącej

się między zabytkowymi budowlami, każdych nierównych schodów i ślepych zaułków, dotarła w końcu do katedry pełnej ludzi, mimo że był środek tygodnia. Usiadła na schodach i zaczęła przeglądać zdjęcia w aparacie. Fotografowała całe popołudnie; dominowały zdjęcia cytadeli i uliczek, z beżem fasad i plamami kolorów. W głowie mogło się zakręcić od intensywności czerwieni, żółci, zieleni i błękitów zabudowanych drewnianych balkonów. Gdzieś tam widać było się pnąca kwitnącej bugenwilli, maskujące historyczne ubytki w murach.

Obok na schodach przysiadł ciemnowłosy chłopak. Kogoś jej przypominał, ale to mogło być złudne, ponieważ miała problem z rozróżnianiem ludzi w Grecji i na Malcie. Wszyscy wydawali się do siebie podobni.

* * *

Bardzo dobrze jej było na tych schodach, ale pomyślała, że usiadzie w restauracji naprzeciwko katedry, wypije kawę. Wstała i podeszła, ale kelner rozłożył ręce. Wszystkie stoliki były zajęte. Tego dnia kawiarnie pękały w szwach. Wokół stolików siedzieli turyści, pijąc kawę, wino albo *kinnie*. Agnieszka wróciła na stopnie katedry, postanawiając poczekać, aż zwolni się jakiś stolik. Usiadła obok ciemnowłosego chłopaka, który obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. Gdy wstał, okazało się, że jest wysoki i szczupły, taki typ dojrzewającego drągała, który dopiero co wystrzelił w górę.

– Zrobisz mi foto? – zapytała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ma niewiele zdjęć z podróży, na których widnieje ona sama.

Chłopak wyciągnął rękę po aparat.

– Jasne. Ładne czy prawdziwe?

– Nie żartuj.

– No dobra. – Przyglądał się jej krytycznie, co było krępujące. W końcu nachylił się i szepnął jej do ucha: – W twoim przypadku jedno i drugie będzie tym samym...

Poczuła zaskakujący zapach wody po goleniu, ostry, korzenny. Wstała ze stopnia i wyciągnęła rękę po aparat. Chłopak zrobił krok do tyłu.

– Oddaj – powiedziała zbyt głośno. – Nie potrzebuję zdjęć, jeśli masz wydziwiać.

– O, świetnie! Na stojąco będzie lepsze. Ładnie się ustaw i uśmiechnij.

Choć denerwowały ją kpiące gadki dzieciaka, spróbowała zapozować, ale nie bardzo jej wyszło. W gruncie rzeczy nie lubiła takich zdjęć, wołała spontaniczne, z zaskoczenia. Nie lubiła prosić obcych o cokolwiek, ale na wycieczkę do Valletty wzięła ze sobą ciężką lustrzanekę, a nie zabrała kijka do smartfonu, bez którego nie ujęłaby katedry za sobą.

Maltańczyk pstrykał, zmieniał ustawienia ciała i obiektywu, a Agnieszka pozowała, choć ją to onieśmiało. W końcu chłopak przejrzał zdjęcia i zadowolony z efektu oddał jej aparat.

– To coś za tobą to konkatedra świętego Jana. Na pewno nie wiesz, że w środku jest jeden z najświetniejszych obrazów Caravaggia, „Ścięcie świętego Jana Chrzciciela”.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za informacje, za zdjęcia. Grzecznie jest podziękować.

Uśmiechnął się.

– Najpierw zobacz, czy o takie ci chodziło.

Usiadła i w wyświetlaczu aparatu zaczęła przeglądać zdjęcia. Musiała to przyznać, były dobrze skomponowane, jedne z lepszych, jakie widziała.

– Lubisz zdjęcia? Nie mówię, że swoje, w ogóle zdjęcia – zapytał chłopak.

– Wiesz co? Lubię.

– Ale lubisz, bo lubisz, czy lubisz, bo je rozumiesz?

Spojrzała mu w oczy. To było bezczelne, ale trafne pytanie. Oglądając zdjęcie, myślała zawsze nad jego wymową, starała się domyślić, co autor chciał tym zdjęciem światu powiedzieć.

Zastanawiała się, czy odpowiedzieć krótko, czy wyczerpująco.

– Szkoda mi czasu na pstrykanie dla pstrykania. Chcę zatrzymać w kadrze ważną chwilę. Dlatego te nieudane albo powtórzone zabijam już w aparacie. Najbardziej lubię ludzkie portrety, a bywa, że robię je z ukrycia. – Uśmiechnęła się, szukając w oczach chłopaka zrozumienia. – Kombinuję, żeby złapać fajny wyraz twarzy, układ postaci. Potem, już w domu, czytam mowę ciała, wyobrażam sobie, o czym ten ktoś myślał, co planował.

– Dlaczego w takim razie poprosiłaś mnie, żebym zrobił ci zdjęcie na tle katedry, a nie na przykład w ruchu, z zaskoczenia, w każdym razie bez pozy?

Musiała się nad tym zastanowić.

– Nie wiem, może dla pamiątki, że tu byłam, dla rodziców. Bo fajne są tu kolory, światło... Chyba dlatego.

– Czyli wnioskuję, że nie wierzysz, że Bóg istnieje?

Zaskoczył ją. O ile wygląd chłopaka kazał jej myśleć o nim jak o niedoświadczonym licealiście, o tyle jego pytania zadawały jej wyobrażeniom kłam.

– Nie wiem. Rzadko o tym myślę.

– A widzisz. Ja go sobie czasem wyobrażam. Na przykład, że ma sandały takie jak moje.

Agnieszka spojrzała na stopy chłopaka, na jego skórzane, rozdeptane sandały z rzemykami owiniętymi wokół kostek.

– Na pewno też jest szczupły – kontynuował. – Lubi pływać w morzu, lubi wino; wszystko to, co i ja. Kocha ludzi, a ja też ich lubię. Preferuje dobre rzeczy i ładne samochody, w końcu pozwolił na rozwój motoryzacji, na postęp. Na pewno przepada za ośmiornicami na ostro. Kiedy nie ma postu, wcina szaszłyki z królika. Skoro nam to wszystko dał, to pewnie i sam spróbował.

– Dał nam też złe rzeczy. Zbrodnie, niesprawiedliwość, zdrady.

Chłopak spojrzał jej w oczy, chciał coś powiedzieć, ale wstał i wyjął z kieszeni telefon.

– Zrobię ci fotkę, co? To też będzie dobre ujęcie. – Pstryknął, nie czekając na pozwolenie Agnieszki, po czym podszedł i pokazał jej zdjęcie.

– No...

– Na pamiątkę. – Schował telefon do kieszeni. – Wiesz, gdybym jednak miał spryt Boga, byłbym paparazzi albo... łowiłbym ośmiornice.

Agnieszka zaczęła się śmiać.

– Wymyśliłeś! To takie trudne? Te ośmiornice?

– I trudne, i ciekawe. Nie wiem, czy wiesz, ale ośmiornice żyją w jaskiniach na dnie morza i żywią się muszlami. Małe można złapać ręką, ale ich się nie łowi, lepiej poczekać, aż urosną. Średnie łowi się nożem, ale z dużą ośmiornicą jest naprawdę ciężko. Najgorzej, jak się przyczepi w grocie do skały, i wtedy walcz. Do tego najlepszy jest harpun.

– Nie moja bajka. Wolałabym już uprawiać oliwki. Życzę tłustych ośmiornic. Dziękuję za rozmowę, za zdjęcia, ale muszę już iść. – Agnieszka zebrała rzeczy i zapakowała aparat do torby.

– Poczekaj, pogadajmy. Bo może go spotkałaś?

– Niby kogo? – Słowa chłopaka ją zatrzymały.

– Brata. To taki ciemnowłosy chłopak, jak ja, tylko nieco niższy. Podobny do mnie, ale trochę młodszy.

– Może i spotkałam, ale nie znałam wtedy ciebie, więc nie mogłam wiedzieć, że to twój brat.

– Wszyscy mówią mi to samo. Jakbyście się zmówili.

– Dobrze rozumiem, że masz do mnie pretensje?

– Gdybyś się dobrze ludziom przypatrywała, to może spotkałabyś mojego brata... – powiedział z pretensją w głosie.

– Dlaczego pytasz nieznajomych o brata? Dziwne to trochę.

– Przecież muszę go w końcu znaleźć.

Pomyślała, że jej nie zrozumiał, ale pokręciła tylko głową. Zapadła cisza.

– W jakich okolicznościach straciłeś go z oczu? Kiedy? – zapytała po chwili krępującego milczenia.

– Osiem lat temu. Wszedł do morza.

O mało nie zakrztusiła się własną śliną.

– Osiem lat szukasz swojego brata!? – krzyknęła. – Słabe! Ile miałaś wtedy lat? Gdzie służby, policja, pletwonurkowie i inne instytucje, w Polsce nawet La Strada by się tym zajęła. I ty chcesz mi powiedzieć, że od dzieciństwa szukasz brata... Czy ty żyjesz w jakimś cygańskim taborze, czy co?

Wydawało jej się, że stłumił śmiech, ale gdy spojrzała po raz drugi, już był poważny, a nawet strapiiony.

– To... – zaczął.

– Masz rodzinę? – weszła mu w słowo.

– Mam.

– I co? Co ta rodzina? Jakaś... – Chciała użyć słowa „patologia”, ale się powstrzymała.

– Nie. – Znów wydawało się jej, że się uśmiechnął. To był moment, być może odniosła błędne wrażenie.

– Co: „nie”?

– Myślisz, że pochodzę ze złej rodziny. Nie, to nie tak. Brat wszedł do wody i nie wyszedł.

Wzniosła oczy i ręce do góry. Odsapnęła.

– Twój brat zniknął kilka lat temu pod wodą, a ty liczysz, że po ośmiu latach wypłynie? Poza tym, mam wrażenie, że się wcale nie martwisz.

– Czy to by w czymś pomogło?

– Może ludzie traktowałiby cię poważniej.

– O to akurat nie dbam.

– No, ale szukasz.

– Szukam, nie dbając, co o mnie myślą. Nie można? Co w tym dziwnego? – Zrobił nieokreślony grymas.

– Wszystko.

– Ty nie szukałabyś kogoś, kto zniknął i nic nie wiesz o jego losie? Zwłaszcza jeśli to byłby ktoś bliski albo chciałabyś zrobić to dla kogoś? Nigdy ci się nic takiego nie zdarzyło? Pewnie nie, inaczej byś się ze mną nie droczyła.

– To nie tak, ja tylko neguję bzdury, które mi próbujesz wmówić.

– Niech tak będzie... Twój wybór. Albo uwierzysz, albo nie.

– Znajdź lepszy sposób na podryw. Zresztą jestem dla ciebie za stara.

– Myśl, jak chcesz. – Odwrócił głowę w drugą stronę. Agnieszka miała wrażenie, że od początku rozmowy chłopak pilnie strzeże tajemnic, które mogłaby odczytać z jego twarzy. Mimo to zrobiło się jej go żal. Nie potrafiłaby w tym momencie odejść. Musiała poznać tę historię.

– No więc jeszcze raz. Szukasz go dla kogoś czy w ogóle?

Niepotrzebnie była złośliwa; zapewne dlatego, że chłopak dotknął tematu, w którym tkwiła po uszy. Tylko że Elle nie weszła do wody na oczach matki i brata, nie zniknęła w ten sposób. Po prostu wyjechała.

Agnieszka zapomniała o powrocie do hotelu, zapomniała, że chciała posiedzieć na swoim balkonie z widokiem na morze i na promenadę Triq it-Torri, że chciała otworzyć butelkę wina i w promieniach zachodzącego słońca cieszyć się szumem morza, a czasem hukiem, kiedy wiatr pchał wodę na skały.

Chłopak siedział na schodach, z głową podpartą na łokciach, długie, ciemne, falowane włosy opadły mu na twarz. Wyglądał, jakby przygniotło go życie.

– Dobra, to jeszcze raz. W sumie to przepraszam, ale może jest w tym wszystkim jeszcze jakiś plus, bo jeśli z jakichś powodów sprawa jest niewyjaśniona, to mimo wszystko ciągle jest nadzieja.

– Trzeba szukać. Żeby poznać prawdę, trzeba szukać – powiedział bez emocji. – Pewnie się

dziwisz, że tak spokojnie o tym mówię.

– Czy ja wiem? Właściwie wszystkiemu, co powiedziałaś, się dziwię. Sposób, w jaki o tym mówisz...

– Że bez emocji?

Skinęła głową, jednocześnie nie mogąc się pozbyć wrażenia, że chłopak z jakichś powodów kłamie.

– Wiesz, to doświadczenia uczą, żeby się nie wściekać, nie buntować. Dzieci na przykład tupią nogami, płaczą, kiedy sobie nie radzą, niektóre walą głową w ścianę. Nie wiem, w którym momencie zaczynamy sobie radzić z emocjami.

– Taaa... Mówisz jak dorosły.

Spojrzał na Agę zdziwiony.

– Nie jestem dzieckiem, mam dwadzieścia dwa lata.

– Coś ty, nie wyglądasz.

– A ty? Masz ze dwadzieścia?

– Przestań, mam dwadzieścia siedem i nigdy nie miałam brata... Chodź, dzieciaku, kupię ci żelki.

Miała nieodparte wrażenie, że chłopak wie życie luzaka, może włóczęgi; nie z powodu ubrania czy braku higieny, bo wyglądał schludnie. Mógł też być niespełna rozumu. Mimo to Agnieszka nie czuła się przy nim niebezpiecznie.

– Jesteś Maltańczykiem? Tak sądzę, bo dobrze znasz miasto.

– Zgadłaś.

– Jak ci na imię?

– Nes. A tobie?

– Agnieszka.

– Strasznie trudne. – Starał się powtórzyć, ale poddał się po kilku próbach.

– Aga. Będzie łatwiej.

– Aga – powtórzył, prawidłowo kładąc nacisk na pierwszą literę. – Skąd wiedziałaś, że jestem Maltańczykiem?

– Bo jesteśmy na Malcie. W Grecji, bo tam byłam parę dni temu, i na Malcie wszyscy mają ciemne włosy, ciemne oczy, cerę znacznie ciemniejszą niż ludzie z północy.

Uśmiechnął się.

– Pochodzimy od Fenicjan, Kartagińczyków, także od Rzymian, Bizantyjczyków i Arabów. Zapomniałbym o Hiszpanach i o krzyżowcach z Zakonu Maltańskiego. Im zawdzięczamy wygląd. – Zaczął się głośno śmiać.

– Dużo tych wpływów jak na tak niewielką wysepkę.

Zaproponował jej spacer po mieście i Agnieszka natychmiast się zgodziła. Wprawdzie zdążyła już obejść Vallettę, ale ucieszyło ją zwiedzanie w towarzystwie tubylca. Chłopak znał zakamarki miasta i co kawałek coś jej pokazywał. Przy fontannie z czterema trytonami usiedli na ławce. Przed nimi stały w szeregu konne bryczki, a na dworcu autobusowym po drugiej stronie ulicy tłoczyli się ludzie.

– To najbardziej newralgicznie miejsce na Malcie – powiedział Nes.

– Jak wszędzie.

Przeglądając afisze na tablicach, czytając o spektaklach, przyglądając się młodzieży, Agnieszka poczuła się stara.

Chłopak poprosił, żeby poczekała, wszedł do restauracji i po chwili przyniósł dwa kubki lemoniady. Lemoniady, nie piwa czy wina. Najprawdziwszej lemoniady, z kostkami lodu na dnie, ze słomką i palemką.

Upiła łyk. Dopiero teraz poczuła, że jest spragniona. Panował upał, a w mieście nie było czuć wiatru, tak jak na promenadzie przy jej hotelu.

– Dobra ta lemoniada, dziękuję. Opowiadaj, jak to było? – Metoda gradu pytań zawsze się sprawdzała w sztuce dochodzenia do prawdy.

– Co?

– No, sprawa z bratem.

– Dajmy temu spokój.

Wzruszyła ramionami. Chwilę siedzieli w ciszy, każde zajęte swoim smartfonem. Agnieszka wysłała do Wiktora zdjęcia, które zrobił jej Nes.

Super. Baw się dobrze.

SMS od Wiktora sprawił jej radość.

– Wypiłaś? – Chłopak zajrzał do kubka Agnieszki.

Pociągnęła łyk przez słomkę, aż siorbnęło.

– Pyszna była.

Chłopak wziął puste kubki, wstał i zgniótł je w rękach, a następnie włożył do kieszeni. Najwidoczniej szykował się do odejścia.

– Miło było, ale muszę jakoś wrócić do Sliemy. – Agnieszka również się podniosła.

Powoli zapadał zmrok.

– Ja w lewo – powiedział chłopak.

– Ja chyba w prawo. – Agnieszka rozejrzała się dokoła.

– Zależy gdzie mieszkasz.

– W Sliemie.

– W takim razie tu masz autobus. – Nes wskazał brodą przystanek.

– Tak, ale ja mam bilet powrotny na statek.

– No to w prawo. – Spojrzał na zegarek. – O ile zdążysz. Wydaje mi się, że pływają do dwudziestej.

– Ojej, mam tylko pół godziny. A potem co?

– Autobus. Kursują do północy, a może i dłużej.

– Nie strasz. Drogę z nabrzeża do hotelu znam, jeśli pojedę autobusem, nie będę wiedziała, na jakim przystanku wysiąść. Ciemno się robi.

– Podaj w autobusie nazwę hotelu, ktoś ci powie.

– Dobra, to znikam. Może zdążę.

Zrobiła parę kroków w stronę portu.

– Jutro też będę się tu kręcił. W razie gdybyś mnie szukała! – zawołał z daleka.

– Dobra. Szałowej nocy! – odkrzyknęła.

– Wzajemnie, i nie zabłądź! Wszystko się ułoży, zobaczysz. Dasz sobie radę.

– Taaa. Czasem się układa, choć bywa, że zajmuje to całe życie.

Przystanęła. Musiała wiedzieć, niewiedza nie da jej spać.

– Z tym bratem to bajer, co?

Znów nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł. Wbrew logice, bo spieszyła się na statek, stała i patrzyła, jak idzie.

Valletta stawała się coraz bardziej ponura. Im dalej od centrum, tym bardziej pustoszały uliczki, nawet lamp było mniej. Agnieszka czuła się nieswojo, często oglądała się przez ramię. Schodząc do portu, już wiedziała, że się spóźniła, na nabrzeżu nikogo nie było. Pobliska restauracja, w której przedtem nie było wolnych miejsc, tym razem świeciła pustkami.

* * *

Agnieszka tęsknie parzyła na drugi brzeg; jasno oświetlona Sliema wydała jej się w porównaniu z tym ponurym fragmentem Valletty tętniącą życiem metropolią, pełną sklepów, kawiarni i hoteli, jakże daleką. Zerknęła na rozkład jazdy. Chłopak nie miał racji, ostatni statek odszedł o wpół do ósmej, widziała właśnie, jak przybija do portu w Sliemie.

Cóż było robić? Postanowiła wrócić do centrum, przewyciężając strach przed ciemnym miastem, którego w ogóle nie znała i nie miała pojęcia, czego się może spodziewać. W kilka minut stała się kłębkim nerwów, ledwo dała radę wejść po schodach. Im bliżej centrum, tym robiło się jaśniej i gwarniej. Minęła deptak Triq ir-Republika z mnóstwem ludzi i znalazła się na przystanku. Przed autobusami jadącymi do Sliemy i St. Julian's kłębił się tłum. Z trudem wcisnęła się do przegubowca, który akurat podjechał. Wyświetlacz przystanków nie działał, a do drzwi wyjściowych miała daleko.

– Znasz Sliemę? – zapytała kobietę, która wydała się jej Maltanką, jednak ta nie rozumiała. – Sliema? – powtórzyła Agnieszka.

– Tak. Przez Sliemę pojedziemy – odpowiedział ktoś z boku.

– Hotel Melita, gdzie wysiąść?

– Hotel Melita?

I znów to rozkładanie rąk.

Gdy za szybą dostrzegła zatokę, żaglowce i światła portu, a potem latarnie na promenadzie, wystraszona, że przejechała przystanek, w ostatniej chwili wysiadła. Okazało się, że przed nią był jeszcze kawał drogi, na szczęście już nie tak bezludnej.

Dotarła do hotelu zmęczona, ale dumna z siebie, ze swojej odwagi, ze zdolności do zawierania znajomości. Przy okazji nie zgubiła celu podróży, jakim była Elle. Prawdziwa, nie wymyślona. Chyba że przez mamę... To było możliwe, jako alibi na nietrzeźwość.

Nes wymyślił sobie brata.

Tak to ułożyła.

Wieczorem zadzwoniła do mamy.

– Wiesz, przytrafiła mi się dziwna sytuacja, spotkałam chłopaka, taki młody, typ artysty, może nieco frustrata, pewnie lekko pomyłonego, ale jak wiesz, ja lubię ludzi oryginalnych...

– Byle nie do przesady!

– Nie było tak źle. Opowiedział mi niestworzoną historię. Nie wierzę w nią, ale mimo wszystko mnie zatrzymała.

– Nie wierzysz Wiktorowi, a miałabyś dać wiarę nie zrównoważonemu nieznajomemu na krańcu świata? Czy wy...?

– Mamo! To chłopaczek, nie mężczyzna! Ty mnie w ogóle nie znasz i nie rozumiesz. Nie wyjechałam, żeby poznawać jakichś facetów! Ta podróż wiele mnie uczy. Żyjesz, wydaje ci się, że w normalnym świecie, wydaje ci się, że w ważnym kraju, z bogatą historią, wydaje ci się, że Polanie, Słowianie, to potęga. I bach. Coś widzisz, o czymś przeczytasz i otwierasz ze zdumienia usta, bo tak nie jest. To u nich wszystko się zaczęło, dopiero potem u nas. Czy uczono cię o tym w szkole? Nie. I tego byś nie wiedziała, mamuś, gdybyś nie ruszyła się z domu, z Poznania, z Polski.

– Wiesz...

Usłyszała westchnienie.

– Czy to cię nie dziwi? Nie wzdychaj, wysłuchaj mnie. To dla mnie bardzo odkrywcze spostrzeżenia. Jakże świat jest bogaty: kulturą, ludźmi.

– A cóż w tym dziwnego? W ogóle dobrze, że dzwonisz. Też muszę ci coś opowiedzieć. I ja dzisiaj miałam ciekawy dzień. Leży przede mną fotografia sprzed czterdziestu lat. Jasna, jakby prześwietlona. Widać na niej ogród otoczony siatką. Niewiele tam roślin, małe drzewka owocowe na połowie działki, wyznaczonej przez krawężniki, na zagonkach jakieś warzywa, a na pozostałej części ziemniaki. Przy schodach do domu stoi żeliwna pompa, a zaraz za nią, przy stole, siedzi kilka osób. Uśmiechają się do siebie, rozmawiają. Po ogrodzie biegają dzieci, to moje kuzynostwo, ja też tam jestem. Pamiętam, jak polowaliśmy na stonkę albo na chrabąszcze. To ogród twoich dziadków na wsi, a gośćmi są sąsiedzi i znajomi z okolicy, ze sklepu, z przychodni, z kościoła... Mogę powiedzieć, że byłam wtedy szczęśliwa.

Agnieszka nigdy wcześniej nie słyszała w głosie mamy takiej tęsknoty. Sama niewiele pamiętała z tamtych stron, wieś nigdy jej nie interesowała.

– Zimą skupialiśmy się w domu wokół kozy, takiego popularnego pieca na drewno.

– Mamuś, skąd takie myśli? – zapytała ciepło.
– Och, Aga. Też podróżuję, ale po zakamarkach pamięci. Zbieram swój świat w kawałkach, robię inwentaryzację, coś odkrywam. Na przykład to, że ludzie, którzy mnie otaczali, mają gorzej niż ja.
– A widzisz! Myślę, że przynajmniej twoje dwie kuzynki.
– No tak, Krysia znów bierze chemię, a Fela jedyne go syna poświęciła Bogu, nie będzie miała wnuków, ech... Baw się tam dobrze, Aguś. Znalazłaś jakieś ślady Elle?
– Nieliczne.
Nawet się nie zdziwiła, z powodu wrażeń zapomniała, że przecież nie mówiła matce, że jedzie szukać Elle.

* * *

Wyjęła piwo z lodówki, szkodziło jej bardzo zimne. Odłamała kawałek bagietki, posmarowała masłem i nałożyła grubą warstwę pasty z czarnego kawioru. Na balkonie ustawiła stolik i wygodne krzesło. Z tej perspektywy będzie miała najlepszy widok. Na oparciu przewiesiła koc, myśląc jednocześnie, że to był dobry pomysł z wyjazdem. Naprawdę się relaksowała i przy okazji uczyła ludzi i świata. Na takich chłopaków, jakiego dzisiaj spotkała przy katedrze, na pewno by nigdy w Polsce nie trafiła. W ogóle nie odpowiedziałyby na zaczepkę. W Polsce poruszała się wśród znajomych, towarzystwo było scementowane, rzadko bywała w miejscach publicznych, a jeżeli już, to z kimś znajomym. Podróż otwierała na świat, wymuszała spontaniczność, zejście ze ścieżek rutyny, nieszablonowe zachowanie.

Wróciła po drugie piwo. Rozluźniona wyszła na balkon. Sliema się bawiła, ze swojego siódmego piętra widziała neony w St. Julian's, nadmorska aleja jasna światłem latarni i pomarańczową poświatą nocy prowadziła do miejsc zabawy. Promenada miała kilkanaście kilometrów. Było późno, ale wciąż spacerowali tam ludzie. Miasto żyło.

Otworzyła piwo i upiła łyk. Zawiał chłodny wiatr. Okryła się kocem. Wróciła do pokoju dopiero wtedy, gdy nie mogła opanować opadających ze zmęczenia powiek.

* * *

Elle

Po śmierci Nestora Elle zabrakło chęci do życia, była bardzo wyczerpana. Gdyby nie Andrea, nie miałaby motywacji do niczego. Choć zawsze zdawała sobie sprawę, że mąż odejdzie szybciej niż ona, nie była na to przygotowana. Nigdy się nie jest. Od powrotu z Kerkiry do pogrzebu nie wychodziła z domu, posiłki, które przynosiła kucharka, pozostawiała nietknięte. Niewiele spała, dni spędzała samotnie, w ogóle nie zapalając światła; mogła godzinami przez okno patrzeć w niebo.

Gdy trumna z jej Nestorem zniknęła w ziemi, Elle zemdlała. Kolejne dni nie były lepsze, tyle że namówiona przez Ninę Balafas zaczęła wychodzić na krótkie spacerunki po polu. Kilka razy musiała wrócić do domu, tak się źle się poczuła. Gdy Nina wróciła do Salonik, Theo, zmartwiony stanem zdrowia Elle, wziął wszystko na siebie, włącznie z opieką nad Andrea. Dom posmutniał, kwiaty przed domem przekwitły i opadły, nic już nie przypominało beztrudnych minionych lat. Na szczęście był to okres względnego spokoju w gospodarstwie, zbliżała się leniwa dla właścicieli winnica zima.

Minęło kilka smutnych tygodni. Andrea miał już prawie sześć lat i zaczął zadawać pytania o ojca.

Elle i Theo zawsze odpowiadali tak samo: tata musiał wyjechać. Chłopiec interesował się, kiedy w takim razie wróci, ale gdzieś po miesiącu przestał zadawać pytania o ojca.

– Głupi jest, zostawił nas. Nigdy mu tego nie daruję – powiedział kiedyś naburmuszony.

To był moment zwrotny. Elle musiała się dźwignąć, miała dziecko, obowiązki, majątek, którego nie mogła stracić. Zabrała się za porządkowanie dokumentów. Nigdy nie interesowała się prawem własności; podpisywała jakieś dokumenty podsuwane przez Nestora, słuchała jego instrukcji na czas, kiedy go już nie będzie, ale szybko wyrzucała to z głowy, jakby nie dopuszczając do siebie myśli, że kiedyś w końcu nadejdzie ta chwila. Liczyło się dla niej tu i teraz, a planowanie, finanse i ich gromadzenie zostawiała mężowi. Pieniądze, które zostały po Nestorze, nie były duże i ledwie by wystarczyły na skromne przeżycie zimy. Materiały budowlane nabyte z myślą o rozbudowie nieruchomości sporo kosztowały, a z winnicy coraz trudniej było się utrzymać. Owszem, produkowali wino, ale trudno było je sprzedać. Rynek opanowały firmy winiarskie dużo bardziej prężne, posiadające znacznie większe winnice i znacznie większy kapitał.

Elle po raz pierwszy przejrzała plany posiadłości, nie robiła tego za życia męża. Tyle lat żyła w Liapades, a nie zdawała sobie sprawy, że nieużytki na wzgórzu za winnicą też należą do Balafasów, czyli, po śmierci Nestora, do niej. Założyła czarną kurtkę, na głowę wcisnęła czapkę, wsiadła w auto i pojechała na przegląd nieruchomości.

Na skarpie za winnicą była po raz pierwszy. Rozciągał się stamtąd imponujący widok na szafirowe morze. Ujrzała ścieżkę idącą uskokiem po skałach ku niewielkiej piaszczystej plaży i pomyślała, że zabezpieczenie tego zejścia powinno być możliwe i niezbyt kosztowne. Wzdłuż ścieżki rosły drzewa oliwne i strzeliste cyprysy, sądząc po rozmiarach jedne i drugie wiekowe. Po prawej ręce miała widok na Liapades, skąpane – mimo zimowej pory – w słońcu.

Wracała do domu z pomysłem w głowie.

– Theo, mogę cię prosić?

Siedli przy kominku i zaczęli przeglądać plany posiadłości. Podekscytowana Elle starała się przekonać Theo, że nieużytki za winnicą to znakomite miejsce, żeby postawić tam ze dwa, trzy niewielkie domy z wakacyjnymi apartamentami. Materiały budowlane już mieli, a większego domu nie potrzebowali. Teraz, kiedy zabrakło Nestora, plany posiadania czterech synów zamieniły się w niezrealizowane marzenia...

Dla Elle ważniejszy był pomysł zarabiania na życie. Nestor był konserwatywny; jak ziemia, to winnica albo oliwki, nic innego; można było mieć pewność, że nie postąpi pochopnie, bez długich debat z samym sobą. Elle natomiast była żywiołowa i niecierpliwa, swoje plany musiała wprowadzić w życie natychmiast.

– Chodzi mi o ten kawałek za winnicą.

– Tam nic ci nie urośnie, sama skała. – Theo pokręcił głową.

– Ale wybudować coś będzie można? Jak myślisz?

– Pewnie tak. Nie wiem, jak wygląda sprawa z pozwoleniami. Woda, prąd, kanalizacja. Będzie na pewno trochę zachodu. Są też plusy, oczywiście, wprawdzie to kawałek stąd, ale nie ma problemu z dojazdem.

– Wiem, byłam tam. To polna droga, ale na Korfu takich wiele.

– Racja.

– Postąłeś tam kiedyś chwilę i patrzyłeś w dal?

– Oczywiście, nieraz.

– Jestem zachwycona widokiem; skały wapienne wciskające się w szmaragd morza. Zieleń, szum...

– Blisko Paleokastritsa, dodajmy, a według mnie to właśnie tam jest najładniejsza zatoka na Korfu.

Elle z ekscytacji poczuła się lepiej, miała nowe zadanie i dużo pracy. Była pewna, że to za niebieskim udziałem Nestora zajrzała w te dokumenty, to jej kochany mąż nie pozwolił na długą żałobę. W dzień żyła nowym projektem, ale nocami źle spała, nadal oplakując Nestora w poduszkę.

Powoli układało jej się to życie w pojedynek. Dużo czasu i energii wymagało załatwienie pozwolenia na budowę, pomagali jej w tym przyjaciele. Znalazła architekta, a Kostas obiecał zrobić projekt wnętrz. Miała w stosunku do niego wyrzuty sumienia, nic jej już do niego nie ciągnęło, musiałyby wypić dwie butelki *ouzo*, żeby wpakować się mu do łóżka. Wstydziała się siebie, wtedy wypadki się tak potoczyły, stało się i już zawsze będzie żyć z wyrzutami sumienia albo... Powinna o tym z kimś pogadać, ale nie miała przyjaciółki. Dotąd większość spraw omawiała z mężem, z Niną, także z Theo. To obecnie były ostatnie osoby, którym mogłaby się zwierzyć z tego, co ją dręczyło.

Przegoniła złe myśli, teraz była wdową Balafas, przyszłą posiadaczką apartamentów na klifie, obchodziła ją tylko realizacja biznesowych planów. Nie chciała tworzyć eleganckich i wytwornych pomieszczeń; Kostas miał znaleźć najtańsze meble, tapety z przecen i podobnie niedrogi materiał na podłogi. Miało być swojsko i przytulnie, poza tym nie mogła szastać pieniędzmi, których miała niewiele, choć i tak wiedziała, że będzie musiała się wspomóc kredytem.

Minęły trzy miesiące od śmierci Nestora, Elle wracała ze stolicy wyspy z pozwoleniem na budowę, radosna, z nadzieją na przyszłość. Wyjechała na drogę do Liapades. Tuż za zabudowaniami miasta zakręciło jej się w głowie; na szczęście z naprzeciwka nic nie jechało, gdy znalazła się na przeciwnym pasie. Siłą woli udało jej się zjechać autem na pobocze, mimo że karuzela w jej głowie nabrała rozpędu.

Bezsilnie oparła głowę na kierownicy.

Ktoś otworzył drzwi. Podniosła wzrok, łapczywie łapiąc powietrze.

– Pomóc?

– Nie, zaraz przejdzie...

– Źle się pani czuje? – Starszy mężczyzna był zatroskany.

Minęła dłuższa chwila zanim odpowiedziała.

– Spróbuję jechać dalej.

– Jestem lekarzem. Co się dzieje?

– Już prawie przeszło.

Wziął ją za rękę i zbadał puls. Pokręcił głową.

– Proszę zostawić auto, pojedziemy do przychodni, to niedaleko. W tym stanie nie może pani prowadzić.

Posłuchała, wsparta na ramieniu mężczyzny przeszła do jego auta.

Gdy znaleźli się w przychodni, pielęgniarka zmierzyła jej ciśnienie i zrobiła próbę cukrzycową.

– Kiedy była ostatnia miesiączka? – zapytał ginekolog, do którego w końcu trafiła.

– Nie wiem, nie pamiętam.

Po badaniu lekarz nie miał wątpliwości.

– Dwunasty tydzień ciąży. Mąż się ucieszy.

Tak, jej mąż na pewno by się ucieszył. Marzył o drugim dziecku, i o trzecim, i o czwartym, a ona tak bardzo chciała jego marzenie spełnić. Bardzo...

– On nie żyje – odparła, nie panując nad łzami.

Strumień żalu wylał się z całą dotąd skrywaną mocą. Udawała silną, pogodzoną z losem, tymczasem była sama i czuła się bardzo samotna. Wciąż pamiętała, jacy byli szczęśliwi, jak dobrani.

Lekarz cierpliwie czekał, aż kobieta się wypłaczę. Podał jej papierowe chusteczki.

– Nie wiem, czy się cieszyć. Raczej nie bardzo. – Zwiesiła głowę.

– Dała pani mężowi dziecko. Co by powiedział, gdyby żył?

– Nic. Otoczyłby opieką i pilnował, żebym się nie przemęczała.

– No to ma pani odpowiedź. Tak już w życiu jest, ktoś kochany umiera, ale w to miejsce ktoś, kogo pokochamy, się rodzi. Współczuję, ale i gratuluję.

Wróciła do domu i nikomu nie powiedziała o ciąży. Zwolniła tylko nieco tempo.

Andrea wciąż jej pilnował, chodził za nią, jakby miała mu wystarczyć za dwoje, co było kłopotliwe. O ojcu prawie zapomniał. Kiedyś podszedł do matki z miną wszystkowiedzącego.

– Mamo, ty jesteś taka stara, a nie wiesz wszystkiego. Tata umarł. Nie wyjechał, tylko umarł.

Niania mi powiedziała. Wszyscy kiedyś umarniemy.

– Mówi się umarł. Umrzemy.

Następnego dnia zwolniła nianię i zaczęła szukać nowej oraz, dodatkowo, nauczycielki. Po paru dniach Andrea pod okiem dwóch absolwentek filologii uczył się języka angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego. Niewiele czasu pozostawało mu na rozrywkę i na trzymanie się matczynej spódnicy.

Nestor Junior nie spieszył się na świat. Urodził się w czterdziestym trzecim tygodniu ciąży, w samym środku cudownego korfiańskiego lata. Tydzień po porodzie Elle z niemowlakiem w wózku odbierała pierwszy budynek z czterema dwuosobowymi apartamentami. Przed zimą, gdy chłopiec miał cztery miesiące, stanął drugi, nieco większy. Marzenie Nestora, ale i Elle, o dużej rodzinie i domu tętniącym życiem, miało się spełnić za sprawą Niny Balafas. Po śmierci brata bardzo podupadła na zdrowiu. Była od Nestora starsza o kilka lat, ale dotąd trzymała się nieźle. Coraz częściej mówiła, że chce umrzeć w Liapades. Postanowiła zamknąć swoje sprawy w Salonikach, sprzedać mieszkanie i była bardzo szczęśliwa, kiedy Elle zaproponowała jej zamieszkanie w domu rodzinnym przy winnicy.

Od kwietnia dziewięćdziesiątego ósmego roku do apartamentów zaczęli przyjeżdżać pierwsi turyści. Trzeci budynek stanął przed kolejną zimą, w dużej mierze za sprawą pieniędzy od Niny. Był to piętrowy pawilon, z trzypokojowym mieszkaniem na górze dla Elle i synów. Po dwóch latach Elle spłaciła kredyt i zaczęła myśleć o powiększeniu ilości apartamentów.

W dwutysięcznym roku poleciała na Cypr na swoje pierwsze od lat wakacje. Pokochała tamte miejsca, szczególnie spodobała się jej Nikozja. Gdy wracali na Korfu, Andrea w samolocie czytał książkę, a Nestor Junior się nudził i rzucał plastikową piłeczką w pasażera siedzącego za nimi. Piłeczka wracała do chłopca, który śmiał się do rozpuku, traktując swoje figle jako dobrą zabawę.

– Co robisz, dzieciaku!?! – Elle się zniecierpliwiła.

– Nic!

– Nie rzucaj. – Zabrała synowi piłeczkę.

– My się bawimy. On nikomu nie robi krzywdy, przepraszam, to moja wina – powiedział po angielsku siedzący za plecami mężczyzna. Na pierwszy rzut oka wydawał się sympatyczny. Wyglądało, że nie kłamie i też się dobrze bawi.

– Rozpuści mi pan syna.

– Dzieci trzeba rozpuszczać. Ileż mamy tego dzieciństwa? Przeleci, skończy się beztraska i zanim się zorientujemy, zostaje dorosłość albo, co gorsza, zdziecinnienie. – Uśmiechnął się szeroko. Miał w sobie jakiś wdzięk łobuza.

– No nie mamy zbyt dużo radości w życiu, to racja. Ale dzieci najlepiej rozpuszczać swoje, nie cudze.

– Nie ma się swoich, to zostają cudze.

Na lotnisku, przy taśmie, na której miały wyjechać bagaże, mężczyzna podszedł do Elle i włożył jej w dłoń wizytówkę.

– Miło mi było poznać. Jeszcze milej, gdybym znalazł w pani przewodniczkę po wyspie.

– Chętnie, o ile czas pozwoli.

Czas pozwolił.

Mężczyzna nazywał się Daniel Borg, pochodził z Malty i pracował w ambasadzie w Zagrzebiu. Elle obwiozła go po Korfu, był zachwycony wyspą, jak wyznał ostatniego wieczoru, kiedy zaprosiła go na swój klif. Zatrzymał się tu na noc, ku radości chłopców. Rano Elle odwoziła go na lotnisko.

– Mam jeszcze chwilę czasu. Zatrzymaj auto – poprosił Daniel, kiedy jechali drogą biegnącą wśród winorośli.

– Się robi. Jeśli się spóźnisz na samolot, wywalą cię z ambasady i będę cię musiała zatrudnić u siebie na stanowisku marketingowca.

– A gdybyśmy połączyli przedsięwzięcia?

– O, jak to zabrzmiało? Jakie przedsięwzięcia?

– Mam nieruchomości na Malcie. Właściwie należą do mojej mamy, ale uczyniła mnie zarządcą.

Kiedyś to będzie moje.

Elle posłała mu kokieterijny uśmiech. Co to, to nie! Nie miała w planie łączyć żadnych przedsięwzięć.

– Zastanowię się.

Następne miesiące były dla Elle miłe, musiała to przyznać. Daniel szybko skrócił dystans między nimi. Czuła się z nim beztrosko. Elle nie wyglądała na stateczną matronę, ale wcześniej bywało, że czuła się staro. Nie potrafiła żyć w pojedynkę, brakowało jej mężczyzny; do pogadania, do dzielenia się myślami podczas wspólnego kosztowania wina na tarasie z widokiem na morze, do życia, do kochania. Był Theo, ale z nim łączyła ją jedynie przyjacielska relacja. Nie wszystko mogła mu powiedzieć, a nie chciała się za bardzo zbliżać. Potrzebowała intymności, zapomniała, jakie to uczucie, być w ramionach mężczyzny. Ileż to wieczorów przeleżała samotnie w łóżku. Ileż to natrętnych erotycznych myśli musiała przegnać! Myślała nawet o zakupie wibratora.

Daniel często przyjeżdżał do Liapades. W końcu na stałe wynajął apartament pod mieszkaniem Elle. Siadali po południu na tarasie i rozmawiali o życiu. Daniel był z zawodu historykiem i miał sporą wiedzę o świecie.

– Przyjdź do mnie – powiedział któregoś razu. Jego oczy... Znała takie męskie spojrzenia. – Przyjdź do mnie nocą. – Przesunął palcami po jej karku.

Z jednej strony miała wyrzuty sumienia, że zdradzi Nestora, a z drugiej bała się, że rozczaruje Daniela. Nie bardzo o sobie dbała, żyła dla tej ziemi, dla biznesu, dla synów. Dla pamięci o Nestorze. Często z Andrea i Nestorem Juniorem siadali we trójkę na kanapie i wspominali ojca. Nestor Junior poznawał go. Kazała zrobić ze zdjęcia męża wielki obraz, który zawisł w jej niewielkim saloniku. W Grecji rodzina jest najważniejsza. Zgadzała się z tym w stu procentach. I teraz miałyby do tej rodziny włączyć kogoś jeszcze? Nigdy nie myślała o mężczyznach w kontekście samego seksu. Potrzebowała kogoś na dobre i na złe i jeśli zdecydowałyby się pójść do Daniela, to tylko po coś więcej niż fizyczne zbliżenie.

Miała mnóstwo wątpliwości, ale rozwił je Andrea, który powiedział:

– Mamo, nie chcę, żeby Daniel wyjeżdżał.

– Dlaczego? – zapytała z twarzą rozjaśnioną radością.

– Bo jesteś z nim szczęśliwa. I my też go lubimy.

Gdy chłopcy posnęli w swoich sypialniach, założyła najbardziej erotyczną bieliznę, którą kupiła – tak, tak, przyznała się do tego przed sobą – z myślą o seksie z Danielem. Schodząc do jego apartamentu, była podniecona. Daniel stał w drzwiach.

– Zostań moją żoną – powiedział, kiedy spełniona i nasycona miłością zakładała jego koszulę, by w niej przemknąć na swoje piętro.

Elle rozważała wszystkie za i przeciw.

– Jesteś młodszy. Będę miała sześćdziesiąt lat, ty dopiero pięćdziesiąt pięć.

– To nie ma znaczenia.

– Nie jesteś stąd.

– Nieważne.

– Będziesz w Zagrzebiu częściej niż ze mną.

– Nieprawda. Od lutego wracam na Maltę, razem z tobą. Będziemy kursować między wyspami.

– Weź to. – Położyła mu coś na dłoni. – To klucz od mojego małego mieszkania w Salonikach.

Może ci się przyda w podróży...

Została jego żoną. Ślub odbył się w kościele św. Spirydona w Kerkirze, przyjęcie weselne w starym domu przy winnicy. Elle znakomicie się bawiła, mimo że nogi miała zdarte do krwi i opuchnięte, ponieważ dzień wcześniej, w intencji rodziny, przeszła na kolanach z ulicy Liston do kościoła. Gośćmi na weselu byli ci sami sąsiedzi i przyjaciele, którzy radowali się jej wcześniejszym ślubem z Nestorem. Nina wszystkim opowiadała o Nestorze i o tym, że to właśnie ona poznała go z Elle. Zdawała sobie sprawę z nietaktu, więc szybko dodawała, że to stare dzieje, a teraz Elle będzie szczęśliwa z Danielem. Nie mogła się doczekać, aż mężczyzna przyjedzie do Liapades, wtedy, jak za dawnych dobrych czasów z Nestorem w Salonikach, będą grać w gry planszowe.

Ze strony Borgów w weselu uczestniczyło tylko kilka osób. Matka Daniela, Elena Borg, przez cały wieczór nie odezwała się do Elle ani słowem; nie odstępowała Daniela, ignorując synową. Oprócz niej był brat Daniela, Michael, z żoną Chiarą i nastoletnią córką Oliną, oraz dwie ciotki i wujek, znacznie sympatyczniejszy niż Elena Borg, choć był jej rodzonym bratem. Elle przegadała z nim dużą część wieczora. Mieli wspólne tematy, wujek mieszkał na Gozo i uprawiał winogrona na własne potrzeby. Obiecał przysłać Elle kilka sadzonek bardzo urodzajnej odmiany. Zapraszał na Ghawdex, do Mgarr.

– Ghawdex? Gdzie to? – zainteresowała się Elle.

– To wyspa powszechnie znana jako Gozo, ale w języku maltańskim zwą ją Ghawdex, co oznacza radość. I rzeczywiście radość daje. Nazwana też eko-wyspą, bo bardzo się tam dba o biologiczne i geograficzne dziedzictwo. W porównaniu do Malty jest tam spokojnie i wręcz idyllicznie – wyjaśnił Elle Daniel.

* * *

Śniadania w hotelu były mało urozmaicone: wędliny w rodzaju polskiej mortadeli, sery, jajka, dżemy i jakieś płatki do mleka, czego Agnieszka nie lubiła. Żeby zjeść ciemny chleb, trzeba było przychodzić wcześniej, potem na stołach leżał już tylko pszenny; nie lubiła go, ale brała dwie kromki i to jej wystarczało do wieczora. Wychodziła wcześniej, za każdym razem witana i żegnana przez Marię, która – Agnieszka miała wrażenie – w recepcji była zawsze.

– Wszystko dobrze? – pytała co rano dziewczyna.

– Jak najbardziej – odpowiadała Agnieszka.

Zmusiła się, żeby tego dnia nie myśleć o Elle. Zbyt mocno angażowała się w to śledztwo, a i tak miała wrażenie, że kobieta jest zawsze o parę dni przed nią. Zaczynała też mieć pewność, że Elle po prostu przed nią ucieka, i mimo że to irracjonalne, coraz bardziej wierzyła w tę wersję. Dlaczego miałyby uciekać? Z powodu starego jak świat długu?

Wydawało się to nieprawdopodobne.

Kolejny dzień postanowiła uczynić przyjemnym dla siebie. Akurat wypadła niedziela. Powinna jeszcze raz pojechać do Valletty, by poczuć atmosferę miasta, połączyć bez pośpiechu, bez planu. Usiąść tam, gdzie będzie jej dobrze, pójść, gdzie oczy poprowadzą. Zanim wyruszyła do portu, znów chwilę posiedziała na ławce na najdalej wysuniętym cyplu Sliemy, skąd miała najlepszy widok na stolicę. Na barierce wisiało mnóstwo klódek z imionami zakochanych. Znała ten zwyczaj z Polski, na moście Biskupa Jordana w Poznaniu też widziała takie. Może kiedyś zawiśnie tam jeszcze jedna?

Im bardziej oddalała się od Wiktora, tym bardziej tęskniła i tym większego nabierała dystansu do jego pisarstwa, do książki. Jeszcze niedawno uważała, że publikacja bardzo go kompromituje, jednak nie znalazła nigdzie, żeby ktoś w opinii napisał, że historie z „Procedur seksualnych” być może są doświadczeniami autora. To zmieniło jej myślenie, pozbawiło wątpliwości, została tylko... miłość. Tak, to była miłość. Kochała Wiktora.

Widok na Vallettę był tak urzekający, że nie chciało jej się wstawać z ławki. Pomyślała, że warto podróżować dla widoków. I dla wiedzy. Z przyjemnością zgłębiała historię kraju, do którego zesłał ją los. Kraju wielu wpływów, przeszło trzystu kościołów, z historią cywilizacji sprzed siedmiu tysięcy lat. Co w tym czasie było Polsce? To było trafne pytanie.

W końcu wstała i poszła na nabrzeże. Jak poprzedniego dnia, wsiadła na statek i znów wraz z tłumem turystów dotarła do maleńkiego portu po drugiej stronie zatoki, którą już dobrze знаła. Miasto za dnia było inne, nie dawało odpocząć zmysłom; Agnieszka co chwilę przystawała, żeby zrobić zdjęcie. Z barokowymi wielkimi kościołami sąsiadowały pałace i zdobione kamienice, oblepione mnóstwem kolorowych balkonów, być może dawne domy kawalerów maltańskich. Spojrzała na rozkład jazdy, zastanawiając się, z którego przystanku odchodzi autobus do Marsaxlokk. Kiedy podjechał, zapytała

kierowcę:

– Czy do Marsaxlokk?

– Tak, na targ?

Pokręciła przecząco głową.

– W niedzielę jest tam targ.

Po godzinie jazdy dotarła do nabrzeża rybackiej osady i znalazła się w samym centrum targu. Czego tam nie było! Najbardziej ciekawe były dary morza. Takich ryb nigdy nie widziała w Polsce: malutkie, podobne do sardynek, średnie, różowe, jakby bez skóry i w cętki, jeszcze większe ze skórą imitującą wzorem tygrysią. Na widok świeżych kałamarnic, ośmiornic, muli, krewetek, a zwłaszcza homarów pociekła jej ślinka. Gdyby miała dostęp do kuchni, na pewno zrobiłaby zakupy.

Pod adresem, który dostała od Kostasa, zastała niewielki hotelik z maltańskiego piaskowca. Kaskada ciemnoczerwonych kwiatów zwisała z balkonów tuż nad mieszczącą się na parterze restauracją. Klientów było niewielu, w przeciwieństwie do sąsiednich knajp, gdzie nie było wolnych stolików. Nieco tęga dziewczyna, która wyszła z zaplecza, podała się za menedżerkę.

– Szukam Elle – powiedziała Agnieszka.

Menedżerka pokręciła głową.

– Szefowa jest od paru tygodni w USA i nie będzie jej jeszcze przynajmniej tydzień. Przykro mi.

Cóż za nowość – pomyślała Agnieszka.

– Czy jesteś pewna, że po powrocie pojawi się akurat tutaj?

– Na pewno. Jest umówiona z kilkoma osobami. Po każdej podróży tu wraca.

– Dlaczego tutaj?

Agnieszka miała na myśli, że posiadając kilka nieruchomości, można wracać w każde z tych miejsc. Poza tym musiała wiedzieć na pewno, gdzie szukać kobiety, bo już traciła cierpliwość.

– Tak wyszło. Musi.

– No, ale dlaczego? – nie dawała za wygraną Agnieszka, badawczo przyglądając się dziewczynie.

Menedżerka spojrzała na Agnieszkę jak na kogoś niespełna rozumu.

– Czy wszystko trzeba tak drobiazgowo tłumaczyć? To osobista historia i nie mam upoważnień, by o tym mówić! – Nieco podniosła głos. – Z tego, co wiem, jest też umówiona z architektem, bo hotel ma zmienić właściciela... Wymaga... – Dziewczyna zamilkła, zauważając, że niepotrzebnie się tłumaczy.

Agnieszka omiotła wzrokiem hotel, pensjonat, czy co to było. Budynek nie wyglądał na zaniedbany. Tylko ta pusta restauracja.

Menedżerka podążyła za wzrokiem Agi.

– Czy coś przekazać Elle? – zapytała zniecierpliwiona. – W ogóle z kim mam przyjemność? – dodała, kiedy Aga zbierała myśli, zastanawiając się, co powiedzieć i o co zapytać. Zaczynała grać w grę, w której ona była kotkiem, a Elle myszką. Uznała, że jednak powie prawdę, że poda swoje prawdziwe imię.

– Agnieszka, powiedz, że była Agnieszka. I poproszę o twój numer telefonu, bo chciałabym za parę dni zadzwonić.

– Jasne.

Wracając autobusem do Valletty, Aga zastanawiała się, jak spożytkować wolne parę dni. Odpowiedź znalazła od razu: na pewno na zwiedzanie. Kartonik z nazwiskiem i numerem telefonu dziewczyny wciąż trzymała w ręce. Podniosła go i przeczytała dane, które nic jej nie mówiły. Olina Borg. Fajne imię. I obok numer telefonu. Zadzwoni, na pewno zadzwoni, nie może odpuścić, skoro jest już tak blisko.

Chociaż znów nic nie uzyskała, jednak czuła, że spotkanie z Elle jest coraz bliżej. Wylatując z Polski, czytając stare listy w samolocie, wyobrażała sobie, że wszystko będzie prostsze: umawiają się na spotkanie, Elle mieszka pod dawnym adresem, w starej greckiej klimatycznej kamienicy. Kobieta stoi na podwórzu pełnym cyprysów i pomarańczowych drzewek, wita się z Agnieszką, a potem dziewczyna słyszy opowieść o życiu pełnym złośliwości losu, tragedii, opowieść o tęsknocie. I o radości.

Jakże się pomyliła. Jako socjolożka powinna wiedzieć, że ludzie podróżują, zmieniają miejsca zamieszkania, partnerów, a ich życie zazwyczaj nie stoi w miejscu.

Wysiadła z autobusu na dworcu w Valletcie. Na pobliskim placu kupiła sobie lody o smaku pistacjowym; kulka na spodzie miała być czekoladowa.

Przybiegła mała dziewczynka, filigranowa blondynka, z lodami w ręce, i o mało nie zabrudziła Agnieszce spodni.

– Posuń się!

Bezczelność, a także najczystsza polszczyzna, prawie Agnieszkę замуrowały.

– Nie umiesz grzeczniej?

Dziewczynka popatrzyła wrogo na Agę. O mamó! Aga lubiła dzieci, ale nie takie.

– Przepraszam, Małgosia bywa nieprzyjemna, jest wychowywana na menedżera w korporacji. Ale to nie moja wina.

Agnieszka parsknęła śmiechem.

– Niemniej pracuję nad tym, żeby to wyprostować. – Młody mężczyzna wyglądał na strapionego, czego nie można było powiedzieć o dziewczynce. Siedziała hardo na ławce, machała nóżkami, liżąc lody i w ogóle nie reagując na słowa ojca. Wcale nie była do niego podobna, ale przecież nie musiała! Agnieszka złapała się na tym, że non stop prowadzi dochodzenia, weszło jej to najwyraźniej w krew. Uśmiechnęła się do tej myśli, w ogóle było jej wesoło.

– To prawda, co masz napisane na koszulce? – usłyszała.

– Korporacja żywi, ubiera i uczy? A nie, to nieprawda. Niedawno z tym skończyłam, a bluzkę założyłam z przekory. I powiem ci, skoro zadałeś mi to pytanie, że jestem tutaj, żeby się uwolnić z tego garnituru.

O ile na początku eskapady nie zamierzała udawać, że to cudna zabawa, o tyle po paru dniach doszła do wniosku, że to była jej najlepsza życiowa decyzja.

– Często wojażujesz? – zapytał mężczyzna.

– Zdarza mi się. Raczej rzadko.

– Zawsze sama?

– Nie. Ostatnio...

Chciała powiedzieć, że ostatnio była w Chorwacji z Szymonem, ale się wstrzymała. Wyrzucić go, natychmiast wyrzucić z pamięci, w żadnym z kontekstów jej życia nie będzie już występował.

– Na pewno mam braki w wiedzy o świecie, co uzmysłowiła mi pewna Greczynka na Korfu. W sumie mało wyjeżdżałam, po Polsce też niewiele podróżowałam, bo albo studia... Wiesz, jak mają perfekjonistki? Skończyłam drugi rok, zaczynałam drugi kierunek, skończyłam oba, rozglądałam się za trzecim. Potem praca, korporacja, podeszłam do tego poważnie, nie bardzo miałam czas na rozrywki. Słabo, nie?

– Czy ja wiem... Uważam, że przeceniamy wyjazdy. Dla mnie najpiękniejsze chwile to te zwyczajne. W domu, na spacerze, podczas kolacji ze świecami na stole, z ukochaną u boku, celebrowanie obecności drugiej osoby... Takie rzeczy. – Spojrzał na Małgosię. – Przekazywanie wiedzy o świecie dziecku.

– Ja patrzę na to trochę inaczej. Potrzebna jest równowaga, widocznie w życiu zabrakło mi spontaniczności, stąd wyjazd *ad hoc*. Tak myślę, organizm sam reguluje gospodarkę potrzebami. Potrzebujesz witaminy C, zaczynasz szukać cytryn, potrzebujesz kolagenu, masz apetyt na galaretkę. Myślę, że i u mnie przyjdzie czas na zwyczajność.

– Mogłem siedzieć w domu, wołałem to, ale wybrałem atrakcje dla Małgosi. Ona od września pójdzie do szkoły i będziemy z nią jeździć podczas wakacyjnej apokalipsy. Lipiec i sierpień nie są miesiącami do wypoczynku. Tłumy ludzi, kolejki, hałas, nic dobrego. Kwiecień, maj, październik, koniec września, te pory są najlepsze, można dużo więcej zwiedzić, zobaczyć, pokontemplować.

– Też racja.

– Gdzie mieszkasz, dziewczyno z Polski?

– Mam na imię Agnieszka.

– Patryk.

Podali sobie ręce.

– Mam parę dni na Maltę. Jak uważasz, co powinnam zwiedzić?

– Dużo tego, to zaskakujący kraj. Pytałem, gdzie mieszkasz. Powiesz mi?

– W Sliemie, w hotelu Melita.

– Miałem na myśli Polskę.

– W Poznaniu, a ty?

– W Gorzowie Wielkopolskim.

– To niedaleko, zobacz, w Polsce pewnie byśmy się nie spotkali...

Agnieszka skończyła jeść lody, wytarła palce w chusteczkę i się zamyśliła. Facet był z dzieckiem, nic z jego strony nie mogło jej grozić. A gdyby tak razem wynająć auto i we trójkę zwiedzić wyspę?

Patryk patrzył przed siebie, za to dziewczynka nie spuszczała z Agi wzroku, jakby chciała zapamiętać wszystko, co dotyczyło nieznanego. Agnieszka pieszczotliwie potargała Małgosi włosy, ale dziewczynka się odsunęła.

– Co powiesz, pewnie lubisz przygody z tatą?

– To nie jest mój prawdziwy tata – poinformowała z buzią pobrudzoną malinowymi lodami.

Agnieszka spojrzała pytająco na Patryka.

– Jakaś prawda w tym jest. Zakochałem się w Werze, ona we mnie i od razu zostałem ojcem. Małgosi, jestem twoim tatą, powiedziałaś, że jestem, nie wycofuj się.

Dziecko wrzuciło ramionami.

– Kupisz mi jeszcze jednego loda?

– Jutro, dzisiaj już zjadłaś dwa.

– Nie! Dzisiaj, dzisiaj! Teraz! – Tupnęła nogą.

– Amundsen, gdy szedł na biegun, nie miał ze sobą czekoladowych lodów. Zabrał suszone mięso wymieszane z tłuszczem. Musiał zdobyć biegun i przetrwać. Ty też musisz coś w przyszłości zdobyć i dać sobie radę.

– Gdyby Amundsen szedł na biegun w naszych czasach, wziąłby odżywki dla sportowców i elektrolity – zauważyła Agnieszka, ale po czasie pomyślała, że to było niewychowawcze.

Małgosia jednak najwyraźniej nie brała jej słów pod uwagę, była zasłuchana i zapatrzona w Patryka.

– Wygląda na to, że już Amundsen wiedział, jak osiągnąć sukces. Bez nauk, bez coachów, bez psychologicznych poradników. Na jego przykładzie doskonale widać, że wystarczają własne pokłady mądrości. Trzeba je tylko umieć uruchomić.

– Różne są powody, dla których rozpoczynamy podróż – potwierdziła Agnieszka.

– Wikingowie, oprócz tego, że łupili, żeglowali również w poszukiwaniu ziem, by móc uprawiać rośliny i wypasać bydło. Norwegia była i jest skalista i mało żyzna. Wikingowie nie chcieli niczego odkrywać. Inaczej myśleli Chińczycy, ich cesarz chciał poznać świat, więc kazał spisywać wszystkie spostrzeżenia.

– Czyli mamy podbój i naukowe wyprawy – zaśmiała się Agnieszka.

Małgosię interesowała rozmowa.

– A ty wyruszyłaś na podbój? – Patryk ściszył głos, zerkając lękliwie, czy córka go nie usłyszała.

Aga uniosła brwi w zdziwieniu i rozłożyła ręce. Kolejne dobre pytanie.

– Nie, ja raczej jestem na naukowej ekspedycji – odpowiedziała po chwili, starannie dobierając słowa.

– Jeszcze was ponudzę. Podczas wypraw Marco Polo cztery piąte części zapasów stanowiło wino, bo cała reszta się psuła. Ale podobno to marmolady z pigwy i jabłek ratowały im życie, jako źródło witamin.

– Musimy kupić takie marmolady – zaśmiała się Aga.

– To co, zabierzesz się z nami? Podrzucimy cię do hotelu. Mam w aucie dobrą muzykę i trochę przekąsek – kusił Patryk.

Spojrzała mu w oczy. To był żart.

Patryk dobrze prowadził, ona sama nigdy nie wsiadłaby za kierownicę przy lewostronnym ruchu. Małgosia siedziała na foteliku na przednim siedzeniu. Agnieszka z tyłu przyglądała się relacji dziewczynki z ojczymem.

– Zjesz ładnie kolację, a potem pójdziesz spać – mówił do niej cicho, z tkliwością.

– A ty będziesz znowu siedział na balkonie i nie będziesz spał. Nie chcę, żebyś siedział na balkonie i pił piwo.

– Wino.

Agnieszka spojrzała pytająco w lusterko na Patryka.

– Co? – zaśmiał się.

– Chciałam powiedzieć...

Położył sobie palec na ustach. Zrozumiała i umilkła.

– To do jutra – pożegnał się Patryk, kiedy auto stanęło przed hotelem Agnieszki.

– Do jutra?

– Mamy zamiar pojechać do Rabatu i Mdiny. Radzę wybrać się z nami. Przyłączysz się?

– Z przyjemnością – powiedziała dziewczyna.

Pożegnali się, ustalając godzinę wyjazdu.

* * *

Spotkali się kolejnego dnia, tak jak się umówili. Małgosia miała włosy splecione w dwa warkocze, przez co wyglądała na grzeczną dziewczynkę. Że tak nie jest, o tym już Agnieszka wiedziała.

– Daleko do tego Rabatu i Mdiny? – Nieopatrznie przejęła styl rozmowy od Małgosi. – Przepraszam, nie narzekam, tylko chciałam zapytać.

– Niedaleko, tu wszędzie jest niedaleko, to mała wyspa.

Patryk wyjął papierową torbę, w samochodzie rozszedł się przyjemny zapach.

– To *pastizzi*, poczęstuj się. Część jest z *ricottą*, część z groszkiem. Pomieszały się i nie wiem, które są które.

Agnieszka z zasady nie jadła przekąsek w aucie. Jako dziecko cierpiała na chorobę lokomocyjną. Nafaszerowana lekami przesypiała wtedy podróż na tylnym siedzeniu samochodu, wszystko słysząc. Przeszkadzały jej dźwięki, ale tata bardzo lubił prowadzić przy muzyce. Niemen, Eleni, Demarczyk, Majewska. To byli jego ulubieńcy.

Kiedyś Agnieszkę zemdliliła szybka jazda ojca i „Bema pamięci żałobny rapsod”. Tata ratował ją colą, ale i tak napój i wszystko, co wcześniej dostało się do jej żołądka, poleciało na pobocze. Resztę tamtej drogi odbyli w ciszy. Agnieszka walczyła z okropnymi wyrzutami sumienia. Powinna (wzorem szkolnych koleżanek) siedzieć z przodu i czytać mapę, wtedy być może nie miałyby objawów choroby. Była dobrym przewodnikiem. Ale to mama, która nie miała za grosz daru orientacji w terenie, siedziała obok ojca i dlatego często zbaczali z drogi.

– Dojechaliśmy. To Kórnik.

– Tato! Mieliśmy pojechać do Rogalina.

– Tak, ale się rozmyśliłem, Kórnik dzisiaj nam wystarczy. Tu też jest wiele atrakcji. Do Rogalina pojedziemy innym razem.

Może z tego powodu nie zwiedzali Polski; zawsze coś było nie tak, zawsze ktoś był niezadowolony.

Agnieszka dorosła i zrobiła prawo jazdy. Gdy sama prowadziła, nie chorowała. Ani podczas kursu, ani potem w samochodzie, który kupili jej rodzice. Jadąc z Patrykiem, nawet przy ruchu lewostronnym, nie cierpiała. Tamte czasy na szczęście minęły.

– Miałam ci powiedzieć, że znakomicie jeździsz. Gdzie się nauczyłeś? Ja nie miałabym odwagi się tutaj za kierownicą. Bym się zabiła.

– Trzy lata mieszkałem w Londynie.

– Tak? Co tam robiłeś?

– Próbowałem być dobrze opłacanym informatykiem.

Agnieszka się uśmiechnęła.

– Udało ci się?

– Jak najbardziej. Mnie się wszystko udaje. – Odwrócił się do tyłu i spojrzał na Agnieszkę z taką miną, że nie miała wątpliwości. – Tylko że po trzech latach siedzenia przed komputerem dwadzieścia cztery godziny na dobę rzuciłem to i wyjechałem dla odreagowania do Norwegii.

– Jako informatyk?

– Nie, już nie. Kładłem płyty gipsowo-kartonowe, szlifowałem parkiety i boazerie. Nawet karmiłem łososie. Ale największy plus tego był taki, że nie musiałem myśleć.

– To plus?

– Tak. To plus. Miałem też czas pojechać na fiordy na ryby, posiedzieć na skale z widokiem na ośnieżone szczyty i objechać ten chłodny, ale piękny i bardzo bogaty kraj.

– Nie wyglądasz na zagubionego. To fakt.

Nie kontynuowali tematu. Dojechali do Rabatu, już z drogi Agnieszka widziała gród na wzniesieniu.

– Rabat i Mdina, dwa miasta obok siebie, zrosnięte, oddzielone fosą. Najpierw zobaczymy Rabat.

Patryk zaparkował auto na wielkim parkingu. Małgosia, która zdrzemnęła się w aucie, wyszła na ulicę i przeciągnęła się. Agnieszka nie widziała już w niej hardej dziewczynki z poprzedniego dnia, a miłą, zainteresowaną światem dziecko. Miała ze sobą mały aparat fotograficzny i ciągle pstrykała zdjęcia.

– Dasz mi potem przegrać? – zapytała Aga.

– Dam – odpowiedziała Małgosia.

Spacerowali we trójkę po starych uliczkach. Miasto miało tysiącletnie tradycje. Było wielkim muzeum mieszkalnictwa i rzemiosła, z kościołem św. Pawła w centralnym miejscu, w przewodnikach uważanym za największą atrakcję.

– Tutaj, jak mówią legendy, przez trzy miesiące mieszkał święty Paweł, po tym jak jego statek rozpadł się na kawałki u wybrzeży Malty. W tym właśnie miejscu. Pod poziomem ulic jest sieć katakumb, a w kościele znajduje się polichromia pod tytułem „Katastrofa statku św. Pawła” – powiedział Patryk.

– Rabat i Mdina to arabsko brzmiące nazwy. Dobrze myślę?

– Tak, bo to Arabowie oddzielili oba miasta fosą i nadali im swoje nazwy, które przetrwały do dzisiaj.

Po godzinie zwiedzania przenieśli się do Mdiny. O ile Rabat był rozległy, gwarny, i znajdowało się w nim wiele sklepów i rzemieślniczych punktów usługowych, o tyle Mdina była senna i cicha. Wyglądała trochę jak skansen, jak wymarłe miasto, nie było w nim ducha. Samochody miały zakaz wjazdu, widać było tylko zarobkowe konne bryczki i turystów.

– Ciekawe te miasta – powiedziała Aga, kiedy wracali. – Najeźdźcy wnieśli coś od siebie, zbiorowisko kultur nie zawsze jest złe. Myślę, że dlatego właśnie ten kraj jest tak ciekawy.

– Nie to, co u nas, każdy okupant nie dość, że wymordował, zniewolił, to jeszcze ukradł. Właściwie ze wszystkiego ogołocił.

– Jakby. Nie zapominajmy, że Rosjanie Pałac Kultury nam w Warszawie wybudowali, ale zmienimy temat.

Pośmiali się chwilę.

– Wiesz, Aga, jeżdżę po świecie z nie swoim dzieckiem, co mi Małgosia często wypomina, a i Wera też kontroluje. Kocham Małgosię, ale Wera mogłaby na tydzień się wyrwać, mam do niej o to żal. Nie zawsze mam z kim pogadać o tym, co widzę. Żałuję, ale tak się kiedyś umówiliśmy.

– Jak?

– No, że ja będę w domu, a ona robi karierę. Jak Gosia pójdzie do gimnazjum, to i ja bardziej zadbam o swoje życie zawodowe. Bo chyba już wtedy wystarczająco odpocznę.

– To są poważne sprawy. Wiesz, uważam, że po tym można poznać dżentelmena, że podporządkowuje się tonacji kobiety.

Patryk spojrział na Agnieszkę z wdzięcznością.

– Tylko że Gosia do gimnazjum pójdzie za parę lat – dodała Aga.

– No, wiem.

Zapadła cisza.

– Fajnie, że mi towarzyszysz, że mnie słuchasz. Ale jeśli poświęcasz mi czas, bo w jakimś sensie mnie żałujesz, to nie musisz. Będzie spoko.

– Przestań. Podróżując z wami, czuję się jak odkrywca. Wciąż pamiętam, że Amundsen nie miał podczas wyprawy co jeść. Że tylko wino się nie psuło – zaśmiała się.

– Zajrzyj do torby.

Zajrzała. Papierowa torba leżała na siedzeniu obok Agnieszki, odkąd wyruszyli w podróż.

– Nie zjadłaś ani jednego *pastizzi*. Czekasz na wino?

– Niekoniecznie. Wolę na trzeźwo poznawać wnętrze kraju.

– Wnętrze, ładnie powiedziane.

Wracali drogą, której nie знаła. Na jej kolanach leżała złożona mapa, mogła do niej zajrzeć, mogła też otworzyć tablet, ale wolała zapytać.

– Dokąd teraz?

– Zaraz będziemy na miejscu.

Patryk był jak opoka, zapuszczał korzenie tam, gdzie się znalazł. To domena ludzi, którzy tworzą. Ludzie, którzy uciekają, nawalają, nie muszą być odpowiedzialni.

– Moja mama całe życie ucieka przed odpowiedzialnością, przed obowiązkami, przed spojrzeniem w swoje wnętrze, przed rachunkiem sumienia, przed przeszłością. Przed prawdziwą rozmową z córką też ucieka. Kiedyś będzie musiała z tym skończyć.

– Przyjedź tu z nią kiedyś.

– Może... Malta to bardzo katolicki kraj, te kościoły... Przypomniałam sobie o Bogu. Nie bardzo kłaniam mu się na co dzień. Ale będąc tutaj, zadałam sobie pewne pytanie. Gdzie jest Bóg, że pozwala mojej mamie na lata życia bez sensu? Ja widzę jego wskazówki, ona nie, dlaczego?

Patryk dłużej poparzył na Agnieszkę.

– Trzymaj kierownicę. – Trochę się zdenerwowała.

Lekko się uśmiechnął.

– Wiesz co?

– Co?

– Gdybyś mi pozwoliła, to bym cię uwiódł.

– Daj spokój. Z powodu Boga?

– Nie. Dlatego, że myślisz. Dlatego, że miałbym się z kim pokłócić, o całokształt, o Boga. Ale tego przecież nie zrobię.

– W sumie dlaczego?

– Z prostego powodu. Nie jestem uwodzicielem.

Chwilę trwała cisza. Wyjechali z drogi podporządkowanej na główną. Mimo wrażenia bałaganu, tłoku, korków, był w tym jakiś porządek.

– Masz chłopaka? – zapytał Patryk.

– Mam.

– I co z nim jest nie tak?

– Nic, wszystko dobrze. Czeka na mnie.

– To mu powiedz, żeby nie był debilem.

Westchnęła. Dotknęły ją słowa Patryka. Wiktor nie był debilem! Milczała, szukając

odpowiednich słów, aby pokrótce nakreślić swoją sytuację, nie obrażając przy tym Patryka.

– Wierzysz w Boga? Zaczęłaś mówić, ale nie skończyłaś. – Patryk poczuł, że popełnił nietakt.

– Chyba nie w sensie kanonicznym. Siądę sobie, spojrzę w sufit, a w myślach mam: halo, jesteś tam? To mnie prowadź. Czuję jego obecność, nie zawsze, ale czasem czuję. Gorzej z praktykowaniem, bo kościół nie jest mi do niczego potrzebny.

– To ci coś w takim razie opowiem. Wiesz, byłem dzieciakiem, z ojcem poleciliśmy do USA. To było gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych. Tata chciał na własne oczy zobaczyć Woodstock, wziąć udział w tym bardzo słynnym śpędzie, kiedyś był takim dzieckiem kwiatem. Tam były jakby dwie imprezy, odbywające się jednocześnie. Jedna dla bogatych, w bardzo dobrych warunkach, widzowie siedzieli na fotelach, nikomu nic na głowę nie padało. I druga dla biednych, gdzie było dużo gorzej, siedzieliśmy na trawie, a gdy padało, to w błocie. I muszę powiedzieć, że to było dla mnie znakomite doświadczenie, wiele z tamtych chwil pamiętam.

– No... – uśmiechnęła się. – Gratki.

– To nie wszystko. Usłyszałem wtedy słowa, które mnie zmusiły do myślenia, mimo że miałem niewiele lat. Tam jest wszechmogący – powiedział prowadzący, wskazując stronę dla bogatych. Miał na myśli pieniąż. Ale prawdziwy wszechmogący jest tutaj, jest wśród was! Podniósł ręce do góry wymownym gestem, który każdy musiał zrozumieć. Bóg jest skromnością!

Patryk zaczął śpiewać, a robił to bardzo emocjonalnie. Agnieszka spojrzała na Małgosię. Dziewczynka, odkąd wyjechali z Mдины, spała na tylnym siedzeniu.

I go crazy, crazy, baby, I go crazy, You turn it on, then you're gone Yeah you drive me, crazy, crazy, crazy, for you baby. What can I do, honey I feel like the color blue[8]

– Znasz?

– Niekoniecznie, ale brzmi znajomo.

– To „Crazy” grupy Aerosmith. Nigdy nie zapomnę, to stamtąd pamiętam.

– Dobrze ci wychodzi. Podobno śpiewają ludzie szczęśliwi – powiedziała Agnieszka.

Nic nie odpowiedział.

– Dokąd jedziemy? – powtórzyła pytanie, na które nie odpowiedział jej, gdy wyjeżdżali z Mдины.

– Spojrzymy na trzy miasta. Birgu, Islę i Bormię. Ale tylko pogładowo, z za szyb, bez zatrzymywania się.

Chwilę jeździli. Ładnie tam było, interesująco. Cała Malta była taka. Patryk zatrzymał auto przed jakimś budynkiem. Chwycił aparat.

– Zrób taką minę jak poprzednio.

– Przestań. Na pewno wyglądam okropnie. Po tylu godzinach w aucie i w słońcu marzę o kąpeli.

– Robię dobre zdjęcia.

– Podobno dobre robi się temu, kogo się lubi.

Uśmiechnął się i spojrzał na wyświetlacz aparatu.

– Mogę ci przesłać wieczorem.

Podziała mu swój adres mailowy. Kiedy Patryk zatrzymał się przed hotelem Agnieszki, zaczęło lekko kroić. To było niespotykane zjawisko, dni dotąd były suche i upalne.

– Może się rozpadać. W końcu to dopiero kwiecień. Masz parasol? – zapytał.

– Nie, ale to nieważne. Przez noc wyschnę.

– Wracając do odkrywców, oni byli zapatrzeni w horyzont, a nie widzieli tego, co w pobliżu. Byli skupieni na celu, na dalekim lądzie. Ja jeżdżę bez celu i jestem pewien, że dzięki temu więcej widzę – powiedział, kiedy Agnieszka zamykała drzwi. Małgosia leżała na dwóch siedzeniach, nie wiadomo kiedy rozpięła pasy bezpieczeństwa i ułożyła się wygodnie. Pewnie Patryk obudził ją śpiewem.

– To podróż po horyzont – powiedziała Agnieszka, patrząc na dziecko.

Patryk nie usłyszał albo udał, że nie słyszy.

* * *

Deszcz szybko ustał, ale wiatr rozszalał się na dobre. Czują jego podmuchy całą sobą. Na ostatnim piętrze hotelu było to trochę męczące. Po godzinie wiatr osłabł, zrobiło się ciepłej, na niebie pokazały się gwiazdy. Agnieszka poczuła się dużo lepiej. Usiadła na balkonie z książką Hemingwaya, którą dostała od Marii. Nie czytała długo, bo zadzwoniła mama.

– Nie rozumiem, dlaczego jest z tobą tak trudny kontakt! – zaczęła ostro. – Denerwujemy się. Nie wiemy, gdzie jesteś.

– Wciąż jestem w drodze, mamó. To znaczy teraz jestem w hotelu, ale to też jakiś odcinek mojej drogi.

– Co z Wiktorem? Nie rób głupstw.

– On też musi wiedzieć, jaka jestem. Że jakiś czas będę się leczyć z podejrzliwości. Szymon zostawił mnie tak, jak się porzuca tanią, zbędną rzecz. Chcę zapomnieć, potem pomyślę. Z Wiktorem... to za wcześnie.

– Przestań wspominać tego... nieudacznika Szymona. On nie był wart ciebie. Lepiej się zastanów, jak mogłaś kiedyś uwierzyć takiemu chłystkowi, zawsze ci to mówiłam. Teraz idziesz w odwrotność, nie wierzysz, kiedy powinnaś. Nie masz w ogóle wyczucia do mężczyzn.

– Mamó!

– Co, mamó!? Dziewczyno! Staraj się nie popełniać błędów.

– Mamó, jeśli jeszcze raz... – Chciała powiedzieć, że odłoży słuchawkę, ale Wrońska jej przerwała.

– Jestem taka podekscytowana. – Agnieszka zdążyła już zauważyć. – Będziemy mieć dla ciebie niespodziankę. Nie wiem, czy uda nam się wszystko zakończyć przed twoim powrotem, ale staramy się.

– Co to jest?

– Ważna dla ciebie sprawa. Ucieszysz się.

– Pewnie biurko w firmie ojca. Nie chcę, powiedz tacie, że nie chcę u niego pracować. Ja muszę robić to na swój rachunek. Mamó, i uprzedzam, ja nie chcę żadnych niespodzianek. Powiedz ojcu.

Usłyszała cichy śmiech matki.

– Jaka u ciebie pogoda? – zapytała matka.

– Upał, dzisiaj w południe było ponad trzydzieści, ale przed chwilą wiał wiatr i pokropiło. Teraz jest spokojnie, a na niebie widzę gwiazdy, więc jutro będzie ładnie.

– Współczuję ci, że musisz siedzieć w Salonikach w upał, to chyba duże miasto, pełne spalin.

– Nie jestem już w Grecji.

– A gdzie?

– Na Malcie. I w sumie to masz rację, bo ten kraj to takie jedno wielkie, bardzo religijne miasto.

– To ładnie... – Poczuła w głosie matki rozczarowanie. – To ładnie balujesz...

– Wciąż masz do mnie pretensje...

– Może, chyba masz rację. – Matka westchnęła. – Musisz mnie zrozumieć, moim życiem rządzi lęk. Jak cienka szpila wbija się w miejsce, które jest odpowiedzialne za rozsądek. Boję się. O przyszłość, o teraźniejszość, o finansowe bezpieczeństwo. Przestałam oglądać telewizję, bo tam wmawiają nam, że zaraz wokół wszystko się rozpadnie, cały ten nowoczesny świat, puzzle z powiązań ekonomicznych i militarnych. Jak prowizoryczna konstrukcja. Kraczą, straszą i demonizują.

– To ciekawe, nigdy o tym nie mówiłaś.

– Bałam się zawsze, odkąd pamiętam. Najpierw, pewnego lata, że nie zobaczę już nigdy swojej ulubionej szkoły podstawowej, że już więcej nie będę zwyciężać w zawodach sportowych. Bo będzie wojna, Izrael. Po co, w takim razie, mama kupuje mi kredki...? Nie mogłam tego zrozumieć. Potem była Czechosłowacja, następny stres. Żegnanie się ze światem, z życiem, w bananowej spódnicy i haftowanej bluzce. No i Afganistan, wtedy miałam już tyle lat, że potrafiłam docenić radości życia. Potwornie się bałam, że to wszystko się kończy, bałam się śmierci, bomby atomowej. A właśnie rodzice kupili mi

oryginalny haftowany kozuch na zimę... I zakochałam się....

– W tacie?

– Nie w tacie. Takie czasy... Miałam wtedy sny polityczne. Pewnej nocy spotkałam się na wielkiej, zielonej łące z Helmutem Schmidtem. Było lato. Biegłam do niego w pięknych jasnoróżowych czółenkach. Obcas wbijał mi się w wilgotne trawiaste podłoże, a ja biegłam...

– Mamo, szczerść za szczerść. Nie jestem tutaj dla zabawy. Podróżuję, przy okazji znacząc swój ślad.

Chętnie opowiedziałyby matce, co czuje, co widzi, jak ją ta podróż otwiera, chętnie powiedziałyby, że fajnie byłoby podróżować razem, z plecakami, pieszo, dużo rozmawiać, dużo ze świata zapamiętać... Ale w pamięci miała słowa matki oraz ton, jakim powiedziała o balowaniu.

Głos matki w telefonie umilkł, więc zakończyła rozmowę.

Patrzyła w okno na morze, zapadł wieczór, dachy okolicznych sklepów i budynków lśniły wilgocią po niedawnym deszczu, drogą spacerowało kilka osób. Agnieszka obracała w palcach kieliszek z winem, ale w końcu zostawiła go na stoliku na balkonie, a sama w ubraniu położyła się na kanapie i zasnęła.

* * *

Wrońska zadzwoniła następnego dnia wcześniej rano.

– Myślałam o tobie w nocy. Pomyśl o nim inaczej, czy gdy przestaną działać hormony, będzie cię interesował, czy wtedy będziesz miała z nim co robić. To trzeba wiedzieć przed ślubem.

– Przed ślubem... Czyli nie mam prawa do pomyłki?

– Nie, macie razem iść do przodu. Każdy ma jakieś wady.

– Mamo, ale ty nie jesteś z ojcem szczęśliwa...

Wrońska zamilkła.

– Kiedyś byłam bardzo szczęśliwa... ale to było kiedyś, a on... – zamilkła.

– Co on?

– Nic. Minęło, trudno do tego wracać.

– Ty w ogóle z nami nie jesteś szczęśliwa.

Agnieszka tęskniła za Wiktorem. To fakt, był człowiekiem zbyt wielu zainteresowań i niestety zbyt wielu realizacji, ale... kochanym. Znów odniósł sukces, czytała, że jeździ na spotkania z czytelnikami, widziała opinie o książce. Były dobre. Powinna podejść do niej mniej osobiście, nie tak emocjonalnie, i też ją w końcu przeczytać. Myślała o tym, jadąc windą na śniadanie. Zawsze się spóźniała, stolik na tarasie, z widokiem na promenadę, był jak zwykle zajęty.

Maria była w recepcji i pokiwała do Agnieszki.

– *Hello!* – zawołała.

Agnieszka odpowiedziała tym samym. Podeszła do recepcji i usiadła naprzeciwko Marii. Kobieta wyglądała bardzo efektownie, ubrana na czarno, z karminowymi ustami i kolorową biżuterią na szyi. Na nadgarstku również miała kilka rzemieni z nanizanymi koralikami. Była piękna: szczupła, niska, wysportowana. Poprzedniego wieczoru Aga widziała, jak biegła po promenadzie. Była w niej lekkość, jakby bieg nie sprawiał jej wcale wysiłku.

– Mam dla ciebie kolegę do pogadania, Polaka. Jest teraz na tarasie, jak chcesz, to się przysiadź.

Aga weszła do jadalni, kolega do pogadania siedział przy stoliku, tym samym, którego ona nigdy nie mogła upolować. Obok niego stał wózek inwalidzki. Poczwała tremę. Pochyliła się nad chłopakiem i zapytała:

– Mogę?

– Jeśli się nie brzydzisz ani nie wstydzisz... będzie mi miło. – Lekko się zacinał na spółgłoskach

bezdźwięcznych, ale wcale tym niestropiony patrzył jej badawczo w oczy. Myśląc o nim „chłopak” nieco przesadziła. Mógł mieć i nawet ze czterdzieści lat. Na skroniach już lekko siwiał.

– Agnieszka, mieszkam w Poznaniu. – Podała mu rękę.

– Maciek, z Torunia. Poczęstuj się. – Wyciągnął w jej stronę talerz z chlebem, po czym sam wziął jedną pajdę, położył ją na talerzu i lewą ręką posmarował twarogiem. Nieporadnie to wyglądało, ale Agnieszka uznała, że oferowanie pomocy mogłoby go zawstydzić. Wzięła się za jedzenie swojej kromki chleba, na którą nałożyła dwa plastry sera.

– Ze mną możesz pogadać o wszystkim. Wcale się nad sobą nie użalam, już się przyzwyczailem, prawie dwadzieścia lat jeżdżę na wózku – zachęcił ją Maciej.

– Co się stało?

– Wypadek samochodowy. Dostałem prawo jazdy, wsiadłem w auto mamy i pojechałem nad morze. Na zakręcie, na drodze z Ustki do Darłowa, wyskoczył na mnie busik i nie ogarnął zakrętu. Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– To jak tam będziesz jechać, nie szarżuj. Droga jest wąska jak diabli, w sezonie zatłoczona. No i posadzili mnie na wózek, tak w skrócie, bo co ci będę czytał notatki ze szpitali. I tak dobrze, że sparaliżowany jestem tylko od pasa w dół i że tylko prawa ręka jest niesprawna. Z lewą też nie było najlepiej, ale ćwiczenia i siła woli uczyniły cuda.

– Masz dobre podejście, ale... – Zamilkła, bo wystraszyła się swoich słów. Co to znaczy, masz dobre podejście? Trochę to było żalodne. Powinna jakoś inaczej, ale nie wiedziała jak.

– Czy ty się mnie boisz?

– Nie. Absolutnie – skłamała.

– Bo tak wyglądasz. No, ale okej. Od tamtej pory minęło prawie dwadzieścia lat i zdążyłem się przyzwyczać, a nawet zapomnieć, jak było przedtem. Zresztą, co by zmieniło przypominanie sobie normalności? I teraz chce mi się żyć. Sporo jeżdżę po świecie, na szczęście mam rodzinne oszczędności, ale i sam też zarabiam. Wózek mało mnie ogranicza. Potrzebuję pomocy, mówię, proszę.

– Gdzie byłeś? Co zwiedziłeś? Opowiedz. Gdzie ci się najbardziej podobało?

Maciek przełykał kęs chleba.

– Nie no, sorry, najpierw zjedz.

– Już, już. – Upił łyk kawy. – Podobało mi się w Kenii. Uwierz mi, zwierzęta, przyroda i widok na Kilimandżaro są oszałamiające.

– Nie byłam. Ale oglądałam film „Pożegnanie z Afryką” i „Palmy na śniegu” też, choć akcja tego drugiego dzieje się na wyspie należącej do Gwinei, kiedyś hiszpańskiej kolonii. A Kenia? To też była kolonia?

– O ile dobrze pamiętam, była pod wpływami Anglików i Niemców, ale jak to się rozkładało i w jakich latach, tego nie wiem. Najbardziej pamiętam z Kenii zapach palonego drewna i, niestety, ludzkiego potu.

– Chciałabym pojechać do Afryki. W zasadzie nie ma kontynentu, którego nie chciałabym zwiedzić.

– Pojedź. Wprawdzie jest tam już mniej bezpiecznie, ale przecież ryzyko wpisane jest w każdy wyjazd. Azja jest też ciekawa. Sri Lanka, pola herbaciane, Wietnam, Malezja. Nam się wydaje, że to prowincja w porównaniu z Europą. Nic bardziej mylnego.

– Naprawdę wszędzie tam byłeś? Sam sobie załatwiasz wyjazdy?

Była zaskoczona i zawstydzona jednocześnie.

– Tak. Co w tym dziwnego? Sam załatwiam, bo to przyjemność. Siedzisz przed monitorem, szukasz samolotów, szukasz hoteli, czytasz, dowiadujesz się. To jest fajne. Czasem plan korygują wskazówki znajomych, oni też mi wyszukują ciekawe miejsca albo polecają dobre, im już znane.

– Nie wolałbyś podróżować z kimś? Zawsze to łatwiej.

Maciek spojrział na Agnieszkę i przez chwilę nic nie mówił.

– Chcę żyć odważniej. Znajomi starają się mnie wyręczyć, coś za mnie zrobić. A przecież ja mam

takie same potrzeby, jak przed wypadkiem. Mam marzenia, pragnienia, zainteresowania. Tyle że po drodze muszę przewyciężyć więcej przeciwności niż ludzie zdrowi. Ale jeśli moje problemy cię przerastają, zrozumieć.

– Przestań.

Ze wstydem pomyślała, jak bardzo jest rozkapryszona. Jeśli nie ufa Wiktorowi, to jest to nie tylko jego problem. Dał jej książkę do przeczytania, mógł nie dać. Wszystkich poznanych w Kletnie uprzedził, o czym będzie. Powiedział jej. Mógł nie powiedzieć. Jest otwarty, to zaleta, nie wada. I choć, odkąd wyjechała, próbowała go sobie obrzydzić, to jednak nie potrafiła się uwolnić od tego uczucia.

I jakże się to ma do problemów Maćka? Poczwała się sobą zażenowana.

– Maciek...

– Tak?

– Dokąd chciałbyś pojechać, ale na wyjazd musisz z jakichś powodów poczekać?

– Do Japonii, najlepiej w okresie, gdy kwitną wiśnie, ale na to potrzeba sporo pieniędzy, i na podróż, i potem, na utrzymanie. Chciałbym też pojechać do Tasmanii, to bardzo daleko. Nie wiem, czy fizycznie dałbym radę. Z Japonią może mi się uda, za rok, dwa spróbuję.

– A dokąd nie pojedziesz?

– Nie ma takich miejsc. Na razie omijam miejsca, gdzie byłem przed wypadkiem. W Pradze piłem piwo U Fleku i U Kalicha... Nie pojedę też do Budapesztu. Opuść sobie Londyn, byłem dwa razy i bardzo mi się podobało. Zwłaszcza piesze zwiedzanie miasta wiosną. – W tonie Maćka Agnieszka usłyszała ostrzejszy ton.

– Wiesz, ja też mam awersje do niektórych miejsc. Nie ciągnie mnie do krajów arabskich, nie bardzo mnie pociąga Ameryka Południowa... No nic, kochany, ty sobie spokojnie śniadaj, a ja muszę lecieć – powiedziała, wstając. – Do zobaczenia.

Miała w planach samotny spacer nadmorskim bulwarem, który ciągnął się aż do St. Julian's, gdzie zamierzała zjeść coś na ciepło, najlepiej w restauracji nad zatoką Spinola Bay.

Przechodząc obok recepcji, szepnęła do Marii:

– Dzięki, kochana.

– Za co? – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Za Maćka.

– No, ba! Wiedziałam, co robię.

Agnieszka wbiegła na swoje piętro, dając susy po dwa stopnie. Nie czekała na windę, była szczęśliwa, doceniła to, że jest sprawna, że jej mama ma się w sumie nie najgorzej, że Wiktor pisze książki, nawet jeśli korzysta z własnych doświadczeń.

W pokoju zajrzała do plecaka. Powinna założyć jakąś sukienkę, w końcu będzie na najważniejszym bulwarze Sliemy, mogłaby się polansować. Wyjęła białą, haftowaną bluzkę, prezent od Thelmy. Przejrzała się w lustrze. Uśmiechnęła się do fajnej, radosnej dziewczyny, którą zobaczyła. Jeszcze tylko telefon do Ewy. W ostatniej rozmowie brzmiała żałośnie, Aga chciała jej powiedzieć, że już jest w lepszym nastroju. Ewa odebrała po drugim sygnale.

– Aguś, jak się cieszę, że dzwonicz. Nie zjadły cię tam węże? A może lepiej jaszczurki? Wyobraź sobie, wróciliśmy wczoraj z Warszawy, byliśmy po wizy do USA. Lecimy do Tosi do Nowego Jorku. Obiecała, że weźmie urlop i obwiezie nas po fajnych miejscach. Już się cieszymy – rozgadała się po krótkim powitaniu.

– Ma kogoś?

– Raczej nie, myślę, że chyba nikt jej do szczęścia nie jest potrzebny, dużo pracuje, jak to ona, ale na wycieczki wykroi czas.

– Nie wybiera się do Kletna?

– Nie sędzę. Kletno, oni tam naprawdę dają radę. Widać ich na wszystkich witrynach hotelowych, a na bookingu pierwsze wolne terminy są na maj przyszłego roku.

– Wiesz, Wiktor... przestał dzwonić.

– Taaa, ja jestem skomplikowana, ale ty do kwadratu. Ale cię w sumie rozumiem, jeszcze parę

miesiący temu byłam taka sama. Trzeba się otrząsnąć, uwierzyć w siebie i rozmawiać. Pomyśl, co by z nas było, ze mnie i Miłosza, gdybyśmy nie rozmawiali? Tylko, wiesz, zawsze ktoś musi zacząć... Kochasz go, co?

Agnieszka nic nie odpowiedziała.

– Nie musisz nic mówić. Wariujesz za nim. Jak zadzwoni, od razu mu powiem, że masz jeża w majtkach. Albo wiem, to ja zaraz do niego zadzwonię.

Ewa mogła oczywiście ten telefon wykonać, Aga zdawała sobie z tego sprawę.

– Kapuś! Kapuś! Kapuś! – chichotała.

– Nie bój się. Nic ci nie ułatwię. To gdzie teraz zdzierasz zelówki?

– Na Malcie.

– Ojjoj. Nie znam. I co tam robisz, poza samotnym poszukiwaniem celu życia?

– Ten cel, zgadłaś. Ale muszę ci zdradzić, że nie całkiem jestem samotna, zawsze się ktoś po drodze do mnie przyklei – zaśmiała się. – To się trzymaj, naraziku! Zadzwonię, kiedyś. A wy, zamiast pchać się do metropolii, zakładajcie plecaki i ruszajcie w nieznane.

– *New York is the best!* Nigdzie indziej.

Agnieszka, schodząc, zajrzała do restauracji. Maciej nadal siedział na tarasie przed laptopem i stukał sprawną ręką w klawiaturę. Robił to powoli, jednym palcem. Po jego lewej stronie stał talerz z nadgryzioną pizzą.

Nie chciała mu przeszkadzać. Cicho zamknęła drzwi, zeszła po schodach na parter i wyszła na zewnątrz. Chciała iść w lewo, taki miała plan, ale skręciła w prawo. Przypomniało jej się, że gdy wracała z portu, przy Triq Marina w jednym ze sklepów widziała na wystawie ładną sukienkę. Pod spodem bawełniany trykot w morelowym kolorze, na nim szyfonowa koszulka. Powinna ją kupić, chociażby na spotkanie z Elle... Zaczynało jej brakować ubrań. Powinna zrobić pranie, coś tam przeparasować, ale złapała lenia. Gdy znalazła się przy Strandzie, usiadła na ławce i obserwowała stateczki odpływające na Gozo i na Comino. Wstała i zdecydowała się odejść, dopiero kiedy (jak zawsze) nagabywanie jej na rejs stało się uciążliwe. Niemniej każdy wypływający z mariny statek czy katamaran niósł zapowiedź przygody. A ona już to polubiła.

Wróciła na Triq it-Torri, zaliczyła kilka sklepów. Kupiła sukienkę, jasne letnie poncho i kilka kolorowych bransoletek. Oprócz tego bibeloty, porcelanowy korek do butelki, miniaturkę łódki *luzzu* i dzwonek z motywem maltańskim. Z mieszanymi uczuciami (wydała sporo euro) i z zakupami w plecaku doszła do St. Julian's i posiedziała parę chwil nad zatoką. Na wodzie unosiło się kilka kolorowych łodzi. Zrobiła selfie i wysłała do znajomych. Podobała się sobie w nowym, greckim ubiorze i kolorowych bransoletkach.

Nie zjadła obiadu w restauracji, jak planowała, w jej kieszeni zasyczał wąż. Wracając do hotelu, odeszła nieco od promenady, ale bała się zgubić w wąskich uliczkach, więc szybko wróciła do głównej drogi, chociaż klimat okolicy oddalonej od promenady bardzo jej odpowiadał.

W sklepie spożywczym zaopatrzyła się w pieczywo, wino, wędliny i sery. Kupiła też dwa *pastizzi*. Gdy zmęczona zatrzymała się przed hotelem, w morzu odbijało się niskie już, pomarańczowe słońce.

– Jest na tarasie – poinformowała Maria, kiedy Agnieszka pokiwała jej zza progu.

Uchyliła drzwi i wsadziła głowę do recepcji.

– Co mówiłaś?

– Że jest na tarasie.

– No dobra. Powiedz mi, kiedy on przyleciał na Maltę?

– Przedwczoraj. Chodź bliżej, to ci opowiem.

Agnieszka siadła na fotelu naprzeciw Marii.

– Jest u nas trzeci raz. Pierwszy pobyt to było kilkanaście lat temu, towarzyszyła mu wtedy matka. To był mój pierwszy rok pracy i wszystkiego się bałam, a zwłaszcza niepełnosprawności. Ale jakoś poszło. Był też dwa lata temu, sam. A teraz, jak mówi, zabrał ze sobą naukową rozprawę, żeby popracować. Oprócz pracy naukowej pisze też do gazet artykuły o niepełnosprawności.

Agnieszka poszła na taras. Maciej zdawał się być zatopiony w rozmyślaniach.

– Cześć, to znowu ja.

Wzdrygnął się.

– Oj, dziewczyno, taką fajną myśl mi przerwałaś. Zaczynam tworzyć zarys kolejnej podróży. Znalazłem ciekawą wyspę w archipelagu Cyklad. Oglądałem kiedyś program Anthonego Bourdain'a o kuchniach różnych stron, nie wiem, czy znasz. Jeden odcinek został nakręcony na Naksos. Na razie mam taki plan, żeby polecieć do Aten, tam pobyć dzień, dwa, pojechać w dwa, trzy najważniejsze miejsca miasta. Zamieszkam nie w Atenach, a w Pireusie, bo stamtąd wcześniej rano odchodzi prom na Naksos. Potem siedem, dziesięć dni na wyspie, pełen luz, już nawet zarezerwowałem nocleg.

– A co, jeśli ci nie spasyją samoloty, promy?

– Odwołam noclegi i poszukam innego terminu. Wrócę tą samą drogą. Prom do Pireusu, przejazd metrem do Aten, samolot do Polski, trochę jest wymyślania. Dzieje się. A pojutrze rano hotelowym busem zawiozą mnie na Armier Bay, posiedzę sobie na plaży. Daleko, ale mówią, że tam jest ładnie i cicho, a i łóżko można wynająć i parasol, kelnerzy drinki przynoszą, kawę. Może się ze mną zabierzesz?

Pomyślała, że to byłaby gratka, ale wcześniej umówiła się z Patrykiem na zwiedzanie wyspy.

– Wiesz, pojutrze nie, już coś zaplanowałam.

– Szkoda.

– Też żałuję, bo jak na razie jeszcze nie siedziałam na żadnej maltańskiej plaży dłużej niż pół godziny. Dzisiaj się trochę przeszłam, byłam sama ze sobą, wtedy się więcej zauważa. Na przykład niebo, zachwyciło mnie dzisiaj niebo. Zobacz, jakie jest ładne.

– Ładne, bardzo pomarańczowe. I w ogóle nie ma wiatru.

– Ciepło, to fakt. I to jest najbardziej zachwycające, z uwagi na to, że jesteśmy tutaj wczesną wiosną, przedłużymy sobie w ten sposób lato. Jak się czujesz, gdy wracasz do zimnej Polski? Nie doznajesz szoku?

– Czy ja wiem? Raczej nie, wprawdzie lubię podróże, ciepło, ale też Kocham swój dom. Witam się z koźmi, z królikami, z chomikiem, istne to dla nas święto... – Na twarzy Maćka pojawiło się uczucie szczęścia. – Dla tych powitań warto wyjeżdżać.

Kelnerka przyniosła Maćkowi kolację. Agnieszka opłaciła tylko śniadania, a kolacyjne zakupy czekały na nią w pokoju. Poczuli się głodni, nic od śniadania nie jadała. Maciek wgrzyzał się właśnie w pizzę.

– Smacznego. Znikam, miłej nocy.

* * *

Tak jak się umówili, czekała na Patryka i Małgosię w ich hotelu. Akurat jedli śniadanie. Przez drzwi do restauracji dała im znak, że mają się nie spieszyć. Małgosia wydeła usta, a Patryk machnął ręką. Agnieszka przysunęła się bliżej drzwi, wyjęła komórkę i wybrała numer Oliny Borg. Minęły dwa dni, odkąd wróciła z Marsaxlokk. Czas się przypomnieć.

– Olina Borg? Mówi Agnieszka. Czy wiadomo już coś na temat przyjazdu pani Elle?

– Jeszcze cztery, pięć dni. Proszę zadzwonić pojutrze, na pewno będę znała szczegóły.

I fajnie – pomyślała Aga. – Tym razem muszę ją przydybać!

Patryk nadal karmił Małgosię, podczas gdy mała robiła wszystko, żeby mu się to nie udało. Agnieszka się nie dziwiła, będąc w jej wieku też nie znosiła papek, zup mlecznych, a Patryk nabierał na łyżkę coś podobnego. Rozśmieszał ją ich dialog. Poza tym Małgosia najwyraźniej się droczyła. To była z jej strony jakaś gra, Aga była tego pewna.

– Za mamusię!

- Nie, za mamusię nie.
- Za babcię.
- Moja babcia jest niedobra. Za babcię nie.
- Dobra jest twoja babcia. Za babcię.
- Nie. Babcia nie pozwala mi jeść cukierków.
- Bo o ciebie dba, o twoje zęby.
- Ja lubię cukierki, a babci nie lubię.
- Nie mów tak. Teraz zjedz za mnie.
- Za ciebie nie wezmę.
- A za kogo w takim razie? Musisz coś zjeść.
- Za tatusia.
- Czyli za mnie.
- Nie, za prawdziwego tatusia. Za rodzonego!
- Dobrze, w takim razie za prawdziwego tatusia zjesz kilka łyżek.
- Nie, jedną. Nie, wcale!
- Jasne. Idę sobie, a ty siedź tutaj sama. Szukaj mnie na tarasie. – Patryk wstał i odszedł parę kroków.

– Tato! Tato! Nie odchodź.

Agnieszka też wstała, weszła do restauracji i podeszła do stolika.

– Ja też nie lubię mlecznych dań, tak że Gosiu, ja się z tobą solidaryzuję.

Dziewczynka uśmiechnęła się do Agnieszki.

– Przecież to czekoladowe chrupki – zdziwił się Patryk.

– Ale zalane mlekiem. Daj Gosi pajdę chleba, na pewno zje. Co, mała?

Małgosia znów spojrzała na Agnieszkę życzliwie. I rzeczywiście, zjadła kromkę chleba z żółtym serem i z pomidorem.

Można było ruszać na wycieczkę. Patryk skręcił ostro sprzed hotelu i skierował auto na północ.

– Dokąd dzisiaj? – zapytała Aga, kiedy mijali St. Julian's.

– Niespodzianka.

– Na Gozo. Tak, wiem, to droga prowadząca na Gozo.

– Nie.

– To gdzie? Powiedz. Nie trzymaj nas w niepewności.

– Mama znowu będzie niezadowolona – odezwała się Małgosia.

Agnieszka spojrzała na dziewczynkę, która znów siedziała naburmuszona. Bachor – pomyślała Agnieszka.

– Bo? – zapytała lakonicznie.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Mama woli, żebyśmy jeździli sami. Nie przyjechaliśmy na wakacje z tobą!

Patryk rozłożył ręce.

– Mama wcale tak nie uważa.

– Wiesz, Gosiu – powiedziała Agnieszka – na wakacjach spotyka się ludzi, zwiedza się, czyli spotyka różne miejsca. To nic dziwnego. To norma. Mój narzeczony nie zakazuje mi jazdy z wami.

Małgosia długo trawiła słowa Agnieszki.

– Tato, pojedziemy pokazać Agnieszcze nasze miejsce? – Najwyraźniej zmieniła nastawienie.

Patryk zatrzymał auto przed lodziarnią.

– Zjecie? Ja stawiam.

Agnieszka odmówiła. Małgosia radośnie podskakiwała na siedzeniu.

– Agnieszka, nie martw się, Wera tak nie uważa. Specjalnością Małgosi jest wymyślanie. Może kiedyś będzie bajki pisać. Co, Gosia?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

Patryk podszedł bliżej Agnieszki i powiedział półgłosem:

– Zastanawiam się, czy chcesz z nami dalej jechać. Czy cię nie drażnimy? Małgosia jest specyficzna.

– No dobra, kup mi też.

Przymknął drzwi do samochodu, poszedł do lodziarni i wrócił z trzema lodowymi górami w waflach. Siedzieli w samochodzie, każde zajęte swoimi myślami i swoimi lodami.

– Auć! Kapie mi na spodnie! – marudził Patryk.

– Jak to lody! Ale są dobre. Dzięki, Patryk.

Gdy skończyli, Patryk ruszył.

Robiło się coraz goręcej, Agnieszka nie mogła sobie darować, że założyła bluzkę z grubego trykotu, z długimi, wąskimi rękawami, których nie dało się podciągnąć ani podwinąć.

– Źle się ubrałam – marudziła.

Patryk rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

– Źe za ciepło? Mów coś, to zapomnisz.

Pośmiali się chwilę, jakież to było proste, mów, to zapomnisz. Humory im dopisywały, dawka słodocy zrobiła swoje. Agnieszka zastanawiała się, co ma im opowiedzieć ze swojego życia.

– No dobra. Wyobraźcie sobie, że jestem w trzeciej klasie szkoły podstawowej – zaczęła. – Nie mam daleko, wystarczy podejść kilkadziesiąt metrów do głównej ulicy, potem w lewo i chodnikiem prosto. Ulica jest ruchliwa, ale przed szkołą jest przejście dla pieszych. Byłam samodzielną dziewczynką i nie chciałam, żeby mama mnie odprowadzała, umawiałam się z koleżanką, tak było najlepiej. Droga powrotna zajmowała nam nieraz nawet i dwie godziny. Teraz, jeżdżąc po Malcie, a przedtem będąc w Salonikach, potem na Korfu, mam dziwne wrażenie, że też opóźnim powrót. Wtedy, w dzieciństwie, zaglądałam do sklepów, oglądałam ołówki, gumki do mazania, okładki do zeszytów, rozmawiałam z koleżankami. Teraz jest podobnie, więc chyba nie całkiem wyrosłam z dzieciństwa, co?

– Gdy jest niewiadoma, a zazwyczaj jest, to życie zaskakuje, i dobrze. Jeśli już rozmawiamy o szkole – roześmiał się Patryk – słuchaj, Gosiu, byłem najniższym uczniem w klasie.

– To tak jak ja – uśmiechnęła się Aga. – Ja i na studiach byłam najniższa.

Chwilę się pośmiali, Małgosia im wtórowała.

– Byłem niezłym karakanem, a przyszło mi zastąpić najlepszego strzelca w międzyszkolnym meczu koszykówki. Rozumiesz, zima, grypy, przeziębienia, w klasie pomór, a ja zdrowy. W ogóle nie chorowałem, tak nawiasem mówiąc. Mogło mnie to wtedy zgubić, ta odporność na choroby. Zresztą nikt się po mnie w tym meczu niczego nie spodziewał, a już najmniej, że trafię do kosza.

– I co?

– Parę razy spudłowałem. Byłem dwa razy niższy od najwyższego zawodnika w drużynie przeciwnika. Mówili na niego „Drabina”. Gdy piłka wpadała mi w ręce, najchętniej bym się jej pozbył. Gra się jakoś toczyła, był remis i dwie, może trzy minuty do końca. I wtedy dostałem tę okropną piłkę. Przyciskałem ją do piersi, żeby nikt mi jej nie wyrwał. Drabina zarżał ze śmiechu. „Ty, z metra cięty, nawijaj, nawijaj”. Kozłowanie między nogami dryblasów, wyskok i wyrzut piłki. Jakimś cudem mi się to udało. Trafiłem w ten cholerny kosz. Wygraliśmy.

Małgosia, zainteresowana opowieściami Agnieszki i taty, chichotała.

Patryk dobrze prowadził auto.

– W poprzednim wcieleniu byłem Anglikiem – puścił do dziewczynki oko.

Gosia znów się roześmiała. Potem jechali w ciszy.

– Dziewczyno, mam ze sobą to, co w podróży jest moim zdaniem najbardziej potrzebne.

– Co mianowicie? – uśmiechnęła się Agnieszka.

– Płyty z muzyką i torbę jedzenia i picia. Chce coś któraś?

Żadna nie reflektowała.

– Jestem szczęściarą, że was poznałam – przerwała ciszę Agnieszka.

– Szczęście nie jest za darmo, trzeba na nie zapracować i nie wymagać zbyt wiele. Kiedyś szczęście wydawało mi się nieosiągalne, bo ciągle chciałem więcej i więcej. A dzisiaj doceniam, że Gosik zjadł śniadanie. Że słończko nam świeci. Że zaraz będziemy na miejscu.

– No, racja. A ja odkrywam, że dla mnie najlepszą terapią jest podróż i ludzie, których po drodze spotykam.

– Jak długo chcesz zostać na Malcie? – zainteresował się Patryk.

– Z tydzień, nie więcej.

– To tak jak my, ale chcemy też pojechać na Gozo. Malta bez Gozo jest niekompletna.

– Czytałam, też się wybiorę, jeśli sprawy się ułożą dogodnie. Co to za miejscowość – zapytała Agnieszka, kiedy zaparkowali.

– Bugibba. Turystyczna mekka. W sezonie podobno nie można tędy przejechać, a dzisiaj było okej.

Patryk wyjął z bagażnika sprzęt turystyczny. Agnieszka rozglądała się po okolicy. Plaża? To była bardziej lita skała. Woda zachwycała czystością i krystalicznym lśnieniem. Fale uderzały o pomosty, tworząc w powietrzu widoczną gołym okiem bryzę.

– Daj łapkę – powiedziała do Małgosi. – Ty już na szczęście nie bawisz się wiaderkiem i łopatką, co?

To miał być żart i mała tak to potraktowała.

– Patryk, pójdziemy do wody?

– Teraz Patryk, już nie tata? Pójdziemy oboje. Aga, masz się w co ubrać?

– Nie zabrałam, trudno, popilnuję wam rzeczy.

Położyła się na skale i było jej dobrze. Słońce wprawia ludzi w dobry nastrój. Miejsce, w którym usiedli, było zaciszne, Agnieszka wzięła w rękę komórkę i zaczęła szukać opinii o książce Wiktora. Pokazało się kilkanaście, w każdej podnoszono jej autentyczność, nikt nie zasugerował, że to być może książka oparta na faktach. Poszukała zdjęć Wiktora, ale nic nie znalazła. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przecież on pisze pod pseudonimem, więc i zdjęcia powinny dotyczyć Iwo Rusina. Było kilkanaście. Jakieś wieczory autorskie w bibliotekach, dwa spotkania w warszawskich kawiarniach. Wiktor, przystojny, kochany, i... Nie mogą się tak głupio rozstać!

Agę ogarnął smutek. Z Wiktorem można było wszystko. Mógłby jej zorganizować ciekawe życie, dobrze się ze sobą bawili. Nawet ta jego słynna ironia i kpienie, także z samego siebie, było miłe. Tęskniła nawet za jego kpiną. Na studiach kuła, niewiele pozostawało jej czasu na radowanie się życiem. Z Szymonem nie czuła się wolna. Wiktor ani jej nie ograniczał, ani nie krytykował, choć za ostatnie zachowania mógłby.

– Widzę, że biegasz po Internecie. – Poczwała krople wody na twarzy. – Przepraszam, nie chciałem cię popryskać. Szkoda, że nie masz nic na przebranie, woda jest genialna.

Małgosia usiadła obok Agi, wzięła ją pod rękę, mocząc rękaw jej trykotu.

– Słońce i Internet też są w porządku.

– Też jestem naszpikowany elektroniką, z tego nałogu się tak łatwo nie wychodzi, to wylazi z człowieka podobnie długo, jak rozkładają się pierwiastki promieniotwórcze... Odżywam w podróży – zaśmiał się. – Moja Wera jest bardziej uzależniona od netu. Zauważyła ostatnio, że wkleja coś na jakiś portal społecznościowy, a potem drży i gryzie pazury, że nikt tego nie zauważy. To jakiś absurd. Siedzi w firmie godzinami nad projektem, ale ma społeczne potrzeby kumpłowania się, jak zresztą każdy z nas. Klika więc, co zjadła, o czym myśli, i bywa, że nikt jej nie odklika.

– Nie polubi?

– Nie polubi. Sama wie, że to głupie, walczy z tym, ale widocznie potrzebuje jakiejś odskoczni. Na faktyczne życie towarzyskie nie ma czasu.

– Tak to już jest. Muszę ci powiedzieć, że to jest mój dobry wyjazd. Jeszcze bardziej rozluźniłam gorset. Dzięki, Patryk.

Wracając z Bugibby, obserwowała okolicę. Jeszcze ostatnie puby kurortu, ostatnie restauracje, kilkupiętrowe hotele. Koniec kamienistej plaży, kolejny skrawek morza.

– Droga powrotna zawsze wydaje się krótsza.

Po kilkunastu minutach byli pod hotelem Melita.

– Bugibba jest dobrze skomunikowana, od Valletty to tylko piętnaście kilometrów.

– Szkoda jednak, że plaża skalista.

– Ale są miejsca zaraz przy brzegu, gdzie można nawet skakać do wody. To dobre miejsce dla nurków. Agnieszka, może pogadamy wieczorem, co? Zapraszam cię na winko.

– W sumie...

– Tylko połóż Małgoškę spać. Z godzinę mi to zajmie. W takim razie spotkajmy się u nas w restauracji na dole.

Gdy Agnieszka pojawiła się w restauracji, Patryk już był i rozmawiał z kelnerką.

– Wziąłem butelkę różowego wina, to tutejsza produkcja, trzeba wesprzeć. Okazuje się, ta Maltanka mi to powiedziała, że oni wcale nie są dumni ze swojego wina. Wolą francuskie i włoskie.

Kelnerka nalala niewiele trunku do kieliszka Patryka. Upił i skinął głową. Nalala więcej do obu kieliszków.

– Bardzo dobre – powiedziała Aga, zanurzywszy usta w trunku. – Jak to jest możliwe, że w kraju są najstarsze w Europie świątynie, a winiarskie tradycje sięgają tylko kilkudziesięciu lat? Nie zastanowiło cię to?

– Kiedyś to sprawdzałem. Malta jest niepodległa dopiero od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Czytałem, że Anglicy kazali wykarczować winnice i w to miejsce posadzono bawełnę.

– Bawełna też jest w cenie.

– Widziałem wczoraj świetną lnianą koszulę, nawet chciałem ja kupić, ale cena mnie odstraszyła.

– Gdzie widziałeś? Też powinnam. Wypadałoby nie wracać z pustymi rękoma.

– Dla partnera?

– To bardziej skomplikowane.

– Nie szukaj samotności, ona gryzie.

– Nigdy bym cię nie posądziła, że coś wiesz o samotności.

– A widzisz! Wiem całkiem sporo. W Londynie parę lat byłem sam. Jeszcze rok dłużej i byłbym nałogowcem.

– Piłeś?

– Nie, namiętnie grałem w gry. Straciłem w ten sposób dobrych parę lat życia.

– Ja najbardziej w swoim życiu żałuję rozstań. Dzisiaj bym nawet wroga oszczędziła, bo i od niego się można czegoś nauczyć.

– Możesz to zmienić. Wszystko można zmienić.

– Wiem.

Szli wolno promenadą. Wielu ludzi spacerowało, Aga pierwszy raz od przyjazdu była o tej porze poza hotelowym pokojem.

– Cudowny wieczór, nie sądzisz? – Patryk oddychał głęboko. Wciągał powietrze nosem, wypuszczał ustami. I tak kilka razy.

– Owszem.

Szybko dotarli do hotelu Agnieszki.

– Dzięki za miły wieczór. Zmykaj do małej, bo jak się obudzi, narobi rabanu. Odbiorą ci prawa ojcowskie. – Agnieszka zaczęła się śmiać.

– Raczej obowiązki – zawtórował jej. – To pojutrze się spotykamy?

– Jasne.

Agnieszka nie weszła na górę, patrzyła za Patrykiem, dopóki nie zniknął za załamaniem drogi. Nie miała dokąd się spieszyć. Marii tego dnia nie było w hotelu, a Maciej albo jeszcze był na wycieczce, albo już w swoim pokoju. Czas kolacji dawno minął, więc na próżno szukałaby go w restauracji. Zresztą nie miała już ochoty na jakąkolwiek rozmowę. Usiadła na murku przy wejściu i gapiła się na dym, który puszczał ktoś siedzący na najniższym schodku. Nie zawsze było to kółko, ale kilka razy się zdarzyło.

Ciemne, mroczne morze waliło o kamienisty brzeg. Popatrzyła w górę. Tyleż było gwiazdzistego nieba, aż po horyzont! Takie niebo obiecuje tylko radość życia. Słyszała, jak się bawi St. Julian's. Nie lubiła głośnych, dużych imprez, wołała kameralne spotkania, żeby każdy każdego mógł usłyszeć. Jej Sliema też nie szykowała się do snu. Grupa podchmielonych młodych ludzi wysypała się z restauracji,

jeden z nich przysiadł obok Agnieszki.

– Zostań – powiedział, kiedy wstała.

– Sorry – odpowiedziała i weszła do hotelu.

W pokoju wyjęła żółte karteczki i napisała.

Szczęście nie jest za darmo. Dotykam kultury, która jest bogatsza, niż podpowiadała mi wyobraźnia. Tę myśl zagryzam pastizzi ze szpinakiem i jestem szczęśliwa.

I na drugiej.

Gdy obcuje ze sztuką, zawsze coś we mnie zostanie. Jakieś zdanie, mądrość, wątpliwość, zachwyt, a może tęsknota za czymś czy miłe wspomnienie.

Gdzieś je kiedyś naklei.

* * *

Elle

Teściowa, Elena Borg, była apodyktyczna, ale Elle większość czasu poświęcała interesom na Korfu, więc skutecznie się omijały. Elena nigdy nie musiała walczyć o przetrwanie, tak jak ona. Elle nie wchodziła w emocje starej kobiety, były od siebie zbyt daleko. Owszem, mogła jej zarzucić, że zbyt pobłażała Danielowi, ale machała na to ręką. Daniel zrobił tak, jak obiecał. Zrezygnował z pracy w ambasadzie i, wolny, kursował między wyspami, szukając, jak mówił, dla siebie zajęcia. Elle nie przeszkadzało, że nie pracuje. Miał bardzo dobry kontakt z jej synami, oni za nim przepadali, podobnie Nina, której Daniel pozwalał wygrywać w karty.

Kiedyś przyjechał z Malty do Liapades z zaskakującymi wiadomościami. Że matka chce się przeprowadzić do Marsalforn na Gozo, a wtedy oni będą mogli zrobić co zechcą z domem rodzinnym Borgów w Marsaxlokk. Elle jeszcze tam nie była, widziała go jedynie na zdjęciach: dwupiętrowy, jasnobezowy, z kolumnkami przy wejściu, które oplatały kwitnące na czerwono pnącza. Podobały jej się zielone drzwi i okiennice w podobnym kolorze. Dom wyglądał na spory, miał piętro i taras na dachu, z którego na zdjęciu wychylała się matka Daniela. Uczesana w wysoki kok, dystygowana, musiała w okolicy wzbudzać respekt.

– Pojedziesz ze mną, co? – Zaproszenie było nieco obcesowe, ale dla Elle, myślącej zadaniowo kobiety czynu, forma nie miała dużego znaczenia.

Polecieli, dokładnie rzecz ujmując, wzięli ze sobą chłopców, ponieważ nigdy dotąd razem nie wyjeżdżali. Andrea zazwyczaj miał szkołę, a Nestor Junior spędzał większość czasu z opiekunką. Elle zatrudniła dla Andrei nauczycielkę, ale dla Nestora nie zamierzała. Dobrze wiedziała, że nauka odebrała Andrei dzieciństwo, chłopiec był nad wiek poważny, rzadko się śmiał, radość czerpiąc z nauki. Godzinami przesiadywał nad książkami. O ile Andrea zaczął mówić, mając prawie cztery lata, Nestor Junior skończył rok i już budował pełne zdania. Chłopiec był żywym srebrem, miał naturalny dar przyswajania sobie różnych, nawet skomplikowanych treści. Zapamiętywał wszystko, co usłyszał od brata albo z telewizji. Co było zaskakujące, mając cztery lata, mówił po angielsku i po grecku i cieszył się, że mieszkając na Malcie, będzie mówił także po maltańsku.

Elle w ogóle nie wyobrażała sobie zmiany miejsca zamieszkania. Była samowystarczalna finansowo, nie wyszła za Daniela dla majątku. Nie była bogata, ale dobrze sobie radziła. Kredyt na budowę apartamentów spłacał się sam, a na luksusy nie wydawała wiele. Od lat chodziła w tych samych ubraniach, doszedł tylko nowy dres, szkoda jej było trwonić pieniędzy. Strojenie się nie miało już dla niej znaczenia. Trochę się pogubiła w swoich oczekiwaniach: nie chciała być sama, to prawda, dlatego zdecydowała się na małżeństwo, ale podejmując tę odważną decyzję, nie przemyślała, jak ono ma wyglądać.

Po ślubie zaczęły się mnożyć trudności. I było tak jak do tej pory, Daniel przylatywał na

weekendy na Korfu, potem wracał na Maltę. Byli niecały rok po ślubie i przez ten czas zdarzyło się wiele niepowodzeń i porażek, które zatrzymały Elle na wyspie.

Najpierw nie udało się winorośl, gronka długo dojrzewały, były mniej słodkie, jak powiedział Theo, zresztą sama to doskonale wiedziała. Pocieszała się, że jeszcze będzie słońce, przyjdą upały, we wrześniu temperatury potrafiły przekroczyć trzydzieści pięć stopni Celsjusza, grona dojrzeją, nabiorą słodyczy. Niestety, lato było deszczowe i ten wyczekiwany wrzesień również. Dodatkowo przyplątała się zaraza, która przetrzebiła kilkadziesiąt krzewów, w końcu nie udało się sprzedać nawet tych winogron, które jakimś cudem się uratowały. Theo zdecydował o produkcji wina dla własnych potrzeb, ale już po dwóch miesiącach wiadomo było, że będzie ono najgorszym winem, jakie Elle w swoim życiu piła. Postanowiła przetestować je na Danielu.

– Wiesz co? Spróbuj, bo ja mogę mieć wyśrubowane kryteria.

Nalała do kieliszka. Daniel przepłukał winem gardło i trzymał je w ustach jakiś czas, po czym wypluł.

– Kwach – powiedział. – Okropny kwach.

Elle zaczynała wątpić w uprawę winorośli, jednak Theo był optymistą. W obawie przed czasami gorszej prosperity, pierwszy raz od przenosin na Korfu, wynajęła swoje mieszkanie w Salonikach. Na szczęście Korfu stawało się modne, na lotnisku lądowało coraz więcej samolotów, bywało, że co pięć minut, więc do późnej jesieni apartamenty u Elle z widokiem na Morze Jońskie były zajęte.

Tym interesem mogła sterować z Malty. Theo dawał sobie radę sam, był znakomitym zarządcą, a dwie pokojówki doskonale wiedziały, jak dbać o gości i o apartamenty, więc Elle zaczęła częściej bywać w Marsaxlokk.

Daniel nie miał pomysłu, co zrobić z dwoma domami na Malcie. Każdy wymagał remontu, żaden nie był budowany z myślą o zarabianiu. Jeden wniosła w posagu matka, drugi ojciec. Jego rodzice latami żyli z połowu ryb, ojciec wy pływał wcześniej rano, wracał, sprzedawał, co złowił, i starczało na dobre życie. Gdy zmarli dziadkowie, rodzice ojca Daniela, senior Borg sprzedał ziemię, która po nich została, i oszczędności zainwestował w studia synów. Michael był starszy od Daniela o siedem lat, skończył politechnikę i pracował w stoczni w Valletcie. Daniel miał humanistyczne wykształcenie, skończył historię, nawet z bardzo dobrą oceną. Myśląc o wykształceniu synów, senior Borg nie wziął pod uwagę własnych potrzeb. Powinien mieć na względzie przede wszystkim rodzinne interesy, logika i zwykły pragmatyzm nakazywały kontynuację zawodu przez któregoś z synów, tymczasem senior Borg w ogóle o tym nie myślał. Chełpił się wśród znajomych rybaków wykształceniem synów, a w domowym zaciszu zagryzał z żalu pale.

Co rano wsiadał z pokorą na *luzzu*, licząc na szczęście w połowach, które miał mu przynieść symbol umieszczony na kadłubie – oczy Ozyrysa. I przynosiły. Połowcy były dobre, samopoczucie seniora Borga – kiepskie. Gryzł się błędami, które popełnił jako głowa rodziny, i w tej zgrzyocie zmarł któregoś pięknego, słonecznego przedpołudnia. Wrócił z morza i nie wyszedł już z łodzi. Zasnął wśród ryb, ośmiornic i muli, tak jak żył.

Wtedy okazało się, że majątek Borgów jest w opłakanym stanie. Daniel nie zdawał sobie z tego sprawy, jak powiedział Elle. Latami mieszkając poza Maltą, nie brał udziału w rodzinnych rozmowach o przyszłości. Zresztą niewiele ich było. Matka była zbyt wyniosła, żeby się zalić, zbyt dumna, by okazać słabość. Dopiero wejście Elle do rodziny wymusiło na Danielu zainteresowanie sprawami rodzinnymi. Był zawstydzony, kiedy przyszło mu wypowiedzieć się żonie z kłopotów.

Elle coraz bardziej przekonywała się, że poślubiła mężczyznę niezaradnego. O ile być może sprawdzał się na urzędniczej posadzie, o tyle w zarządzaniu majątkiem i biznesem był laikiem, co bardzo szybko ujawnił. Zaczęła zadawać sobie pytanie, dlaczego się z nią związał. Choć logika podpowiadała jej rezerwę, czy wręcz ostrożność, uległa jego czarowi i zadeklarowała pomoc. Nie było dla niej ważne, że domy nie należą ani do Daniela, ani do niej, i że ich stan prawny jest niejasny. Najpierw zajęła się domem w Marsaxlokk, to z nim Daniel wiązał nadzieje. Dom na Gozo mógł poczekać nawet i kilka lat. Brat Daniela nie był zainteresowany rodzinnym majątkiem, choć również był spadkobiercą.

Po dwóch latach starań Elle, mimo że czynionych z doskoku, oraz dzięki pieniądзом z produkcji

wina na Korfu, odświeżony i odmalowany dom przy rybackim porcie zmienił się nie do poznania. Zyskał kolorowe tynki i miły dla oka wygląd. Parter znakomicie nadawał się na restaurację. Daniel był szczęśliwy i podekscytowany, to mógł być jego sposób na życie, widział siebie jako zarządcę restauracji. Elle też się cieszyła, mogłaby tam sprzedawać swoje wino. Odtąd każdy weekend spędzała na Malcie, co spotkało się z gwałtowną niechęcią Theo, który Daniela po prostu nie znosił.

– Obibok, chce lekko spędzić życie.

– Nie życzę sobie tego słuchać, to mój mąż.

– I to jest najgorsze. Nie poznaję cię. Jak można się tak nie znać na ludziach? Zapomniałaś o grobie męża? Kiedy tam byłaś, kiedy postawiłaś Nestorowi świeczkę?!

Bardzo ją to dotknęło. Nestor był jej miłością, Daniel sposobem na zabicie samotności.

– To nie twoja sprawa! – burknęła, w ogóle nie dbając o formę, jakby się nie znali kilkadziesiąt lat i jakby nie łączyły ich więzy przyjaźni.

Theo się obraził.

To, że ją zawstydził, wytykając brak dbałości o grób Nestora, długo ją bolało. Rzeczywiście, dawno tam nie zaglądała. Następnego dnia pojechała z rana na cmentarz, ale zastała porządek, palące się jeszcze znicze i wiele kwiatów. Poczula się jeszcze gorzej, bo grobem na pewno opiekował się Theo.

Stan wrogości, jaki między nimi od tamtej pory zapanował, o mało nie skłonił Elle do wyrzucenia przyjaciela na zbity pysk. Jakże ją rozczarował, przyjacielowi nie mówi się takich okropnych rzeczy. Jedynie myśl, że Nestor by sobie tego nie życzył, wstrzymała jej decyzję.

Trudno było jej mijać się w Liapades z Theo, więc jeszcze bardziej poświęciła się interesom Daniela. To była ucieczka, a restauracja w domu Borgów stała się jej oczkiem w głowie. To ona w początkowej fazie dbała o dobre produkty, Daniel miał tylko powtarzać zamówienia. To ona wyszukiwała dobrych i uczciwych dostawców, sama ułożyła menu. Proste, niezbyt rozbudowane. Po roku serwowano tam najlepsze owoce morza i najlepsze korfiańskie wina Balafasów, jak również i te pochodzące z winnicy wujka Daniela z Gozo. Powodzeniem wśród klientów cieszył się także rodzimy likier z opuncji. Zaanektowano boczne wejście do budynku, gdzie sprzedawano najlepsze *pastizzi* w Marsaxlokk.

W dzień targowy ustawiały się długie kolejki.

* * *

Agnieszka obudziła się i wyjrzała za okno. Słońce wydobywało się z morskiej kąpieli, a promenada, jeszcze w cieniu, wyglądała jak z okładki powieści Zafona: od strony St. Julian's spowita w mlecznych światłach latarni, a od wschodu już szukały ujścia nikle na razie smugi budzącego się słońca. Jakże inny to obraz niż w południe, gdy kolory miasta były złote, błękitne, żółte.

Spojrzała na zegarek, szósta dwadzieścia. Za wcześnie, żeby wstać, ale sen nie wracał, przewracała się na łóżku. Wiedziała, dlaczego tak się dzieje, to nerwy. Postanowiła zaproponować Maciejowi spacer i bała się, że pomysł mu się nie spodoba. Wieczorem obmyśliwała strategię, że wsiądą do windy, a potem poprosi obsługę o pomoc, bo nie pamiętała, czy przy schodach jest zjazd dla wózków.

Podekscytowana zeszła wcześniej na śniadanie, Maciej siedział już przy stoliku i coś kontemplował. Klapnęła obok.

– Zabieram cię dzisiaj na spacer.

Maćkowi zaświeciły się oczy.

– No dobra... Jesteś na tyle odważna?

– Jasne.

Śniadanie zjedli szybko, bez rozmów, każde podekscytowane. Szybko się przebrała i zgodnie z umową stanęła przed jego pokojem. Nic nie musiała, tylko pchać wózek, co nie było wyczerpujące. Na

dole też nie musiała nikogo prosić o pomoc, bo okazało się, że jest zjazd dla wózków.

Znaleźli się na ulicy.

– Dokąd chcesz pojechać?

– Tam, skąd odchodzą stateczki.

Agnieszka ruszyła. Maciej odwrócił się i podał jej czekoladkę w błyszczącym papierku.

– To dla ciebie.

– Nie jadam słodczy, ale dobra, daj. Tę zjem.

– Nie musiałaś...

– Nie gadaj, tylko się przyglądaj, potem może jakiś przewodnik napiszesz. Zawsze to coś lżejszego niż naukowe rzeczy.

Uśmiechnął się.

– Czym się zajmujesz?

– Antropologią.

– No patrz! Moja mama też skończyła antropologię.

– Pracuje w zawodzie?

– Nie, coś ty. Leni się w domu. – Zbyt późno ugryzła się w język. – Tak sobie teraz pomyślałam, że powinna cię poznać. Miałyby inne podejście do życia, być może stałoby się ono dla niej darem, a nie, jak obecnie, balastem. – Agnieszka nie potrafiła zapanować nad twardym tonem.

Przejechała wózkiem przez jezdnię; Maciej pokazał jej frontową ścianę domu, poza nią nie było żadnych innych. Agnieszka też wcześniej widziała podobne ściany. Nad otworem drzwiowym pozostał świadczący o przeszłości napis – hotel. Dziwnie to wyglądało.

– Przyjedziemy następnym razem, dostawią trzy brakujące ściany, dach i zaoszczędzą na napisie – śmiała się Agnieszka.

Dziwnie się czuła, pchając wózek z dorosłym mężczyzną. Widziała jego opadające na kark, dość długie szare włosy, szczupły, jasny kark. Zza włosów wystawał kawałek bladego ucha. Mimo nieco krępującej intymności, czuła się potrzebna i... dobra.

Maciej odwrócił się i spojrzał na Agę. Sprawiał wrażenie skupionego, ale ona w tym momencie poczuła się sprawdzana. Na przykład czy za jego plecami nie pokazuje innych uczuć. Mógł być na tym tle przewrażliwiony, ona w jego sytuacji by była. Maciek nie powinien mieć żadnych wątpliwości, Agnieszka pomagała mu ze szczerego serca.

– No, jak tam? – Pacnęła go dłonią w ramię

Uśmiechnął się.

– Myślałem o tym, co mówiłaś o matce. Ja swojej zawdzięczam absolutnie wszystko... – powiedział z trudem, jeszcze bardziej zacinając się na bezdźwięcznych spółgłoskach, zwłaszcza przy: „swojej” i „wszystko”.

Potem, aż do portu, opowiadał jej o kobiecie, która poruszyła niebo i ziemię, żeby mógł normalnie żyć, kształcić się i rozwijać. Kilka razy po drodze się zatrzymywali, a to z powodu miejsca wartego zobaczenia, a to z powodu emocji. Agnieszka słuchała opowieści Maćka z wypiekami na twarzy. Widziała jego profil, Maciej był skupiony, ale też zainteresowany widokami, zainteresowany światem.

Zatrzymała wózek przy nabrzeżu i usiadła na ławce, obok Maćka. Próbowała pochwycić jego spojrzenie, ale patrzył na Vallettę, na morze. Podawała mu butelkę *kinnie*.

– Doktorat zrobiłem wyłącznie dzięki matce. – Maciej się uśmiechnął. Odkręcił butelkę i pociągnął parę łyków. – Dbała o wszystko, można było z nią porozmawiać o wszystkim, całkowicie mi się poświęciła. – Westchnął. – Zapomniała o sobie, z tym się nie pogodziłem. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

– Co teraz robi, jak ciebie nie ma? Nie martwi się?

– Rok temu umarła...

Zapadła cisza.

– Ojej... bardzo mi przykro – wyksztusiła w końcu Agnieszka, zbyt cicho.

Zdawkowo to zabrzmiało, ale nie znalazła nic innego. Owszem, jej mama sprawiała kłopoty, ale dziewczyna nie wyobrażała sobie, że mogłoby jej już nie być. Gdy to sobie uświadomiła, łza się zakręciła w jej oku.

– Musiałem zacząć żyć inaczej, radzić sobie sam. Ona mnie przygotowywała do samodzielności. Potrafię i ugotować i uprać, dom sprzątnąć i zakupy zrobić. Dzięki niej wyjeżdżam. Po wypadku byłem w depresji, nie bardzo wierzyłem w cokolwiek. Podróże, najpierw wspólne, potem samodzielne, przywróciły mi radość życia.

– Dzielny jesteś.

– Wszystko, co zdarzyło się przed wypadkiem, to były z obecnego punktu widzenia sprawy błahe, naprawdę niewiele znaczące problemy, a kiedyś je tak wyolbrzymiałem. – Maciej się zamyślił. – Po wypadku zostali przy mnie nieliczni. Doceniasz, że ktoś nie ucieka, bo jesteś niepełnosprawny, a ktoś inny zapyta o zdrowie nie dlatego, że wypada, ale jest rzeczywiście zatroskany. Agnieszka pomyślała o Wiktorze i o Joli. Jeździ do niej kilka razy w roku, mówiąc, że tak trzeba. Postępował szlachetnie, a ona przyjmowała to jako zdradę.

– Chciałabym kiedyś być tak mądrą mamą, jak twoja.

– Mądra była. To dobre określenie. A wiesz? I na mnie przyszła kolej, żeby coś dla niej zrobić. Teraz ja się dla niej trudzę. – Roześmiał się i rozparł na wózku, a na jego twarzy pojawiła się duma. Lekko unióś prawą, pokrzywioną dłoń i zrobił palcami ruch, jakby pisał albo grał na instrumencie klawiszowym.

– Piszę o niej książkę. – Spojrzał Agnieszce w oczy, szukając w nich aprobaty. Oczywiście ją znalazł. Z Agi opadło napięcie, które ogarniało ją zawsze w stanach niepewności, gdy nie wiedziała, jak zareagować na zasłyszana informację. Patrzyli na siebie jak para kumpli. Oczy im się śmiały.

– I wiesz co, Aga? Napisałem przeszło dziewięćdziesiąt stron, a to nawet nie jest jeszcze jej dzieciństwo.

Maciek dużo lepiej i płynniej mówił, kiedy tematem była książka o matce. Dobrze mu zrobił wyjazd z hotelu. Był szczęśliwy, przełamał jakąś barierę albo poczuł się pewniej, zza fasady niepełnosprawności wylaniał się fajny facet, po prostu dobry człowiek.

– Dziewięćdziesiąt stron, a to nawet nie jest dzieciństwo twojej mamy – powtórzyła. – To nic, napiszesz kilka tomów. Zadziwiające jest, jak bardzo ją znasz.

– Jak syn matkę, od łona. – Maciek zaśmiał się bardzo szczerze i zaraźliwie, więc za chwilę śmiali się oboje.

Do zatoki wpływał katamaran z Comino, rzesza turystów wysiadła na brzeg, głośno rozmawiając. Niektórzy siadali na ławkach, inni szli na przystanek autobusowy. Przy płynął też stateczek z Valletty. Maciej przyglądał się i nic nie mówił.

– Nie śpij – zażartowała Agnieszka.

– Podobno kiedyś pływały tutaj regularne promy, które miały służyć angielskim żołnierzom pracującym w stolicy. Podobnie rozwiązana była komunikacja między trzema miastami, Bormla, Birgu i Isla. Teraz widzimy mniejsze jednostki pływające. A ty, dlaczego przyjechałaś na Maltę sama?

– To dobre pytanie. Najważniejszym powodem jest to, że chcę znaleźć przyjaciółkę mamy.

– Dziwne, ale nie wnika.

– No, może trochę dziwne. Przy okazji, posiadając pretekst, uciekłam od życia, od domu, z Poznania. Ale zaczynam zdawać sobie sprawę, że nie bardzo miałam powód.

– Wyjazd na Maltę ci to uświadomił? Czy samotny wyjazd?

– Myślę, że bardziej to drugie...

W zatoce cumowało mnóstwo kolorowych łodzi, łódek, katamaranów. Wszystko na tle monumentalnej Valletty, na tle bezchmurnego nieba i w wodzie o kolorze atramentu.

– Dobre zdjęcia by teraz wyszły – zauważył Maciej.

– Nie wzięłam aparatu, został w hotelu. Robione komórką są do kitu.

– Być w takim miejscu bez aparatu...

– Wiesz, ja trochę w fotografowaniu ostygłam. Masz za sobą zdjęcia plaż, zdjęcia mórz, zdjęcia

chmur na niebie, mnóstwo tego. I po jakimś czasie już nie fotografujesz, bo jesteś pewna, że z twojego obiektywu nie wyjdzie nic lepszego niż to, co już masz.

– A jednak, wyjeżdżając kolejny raz, bierzesz ze sobą aparat i szukasz nowych obiektów.

– Racja – uśmiechnęła się Aga. – Są takie chwile, które mogą w jakimś sensie zdecydować o twoim życiu. Dziękuję ci za nie – powiedziała. – Mogłabym tak siedzieć dzień i noc.

– Ja też. Ale lepiej wracajmy, bo Maria na pewno jest gotowa użyć psów tropiących, żeby nas znaleźć.

* * *

Elle

Sytuacja się odwróciła. Daniel Borg rzadko bywał na Korfu, za to Elle bardzo często na Malcie. Początkowo mu się to podobało, przestało dopiero wtedy, gdy Elle zaczęła rozliczać go z pieniędzy. Nic jej nie pasowało. Restauracja radziła sobie dobrze, były dobre utargi, ale mimo że działała już parę dobrych lat, nie udało się niczego odłożyć.

– Gdzie są pieniądze? Tylko, proszę, nie kłam. Nie jestem przyzwyczajona do kłamstw. Nestor mnie nigdy nie oszukał i tobie też na to nie pozwolę.

– Nestor nie żyje. Czasem mam wrażenie, że wyszłaś za mnie dla pieniędzy. Kocham cię, Elle, i nie pozwolę, żeby coś mąciło nasze szczęście.

– Musimy rozdzielić życie prywatne od biznesu. Nie mieszaj tego. – Była autentycznie zaniepokojona stanem finansów z interesu w Marsaxlokk. W rozliczeniach z Danielem nie była niestety konsekwentna.

Słowa Elle dopiekły mu wtedy do żywego. Wszystko jej wyrzucił, wylał na nią zale, które w nim od dawna nabrzmiwały. Nie było już małżeńskiej idylli. Usłyszała, że to on dzięki swojej restauracji ratuje jej interesy. Usłyszała, że go wykorzystuje, sprzedając w restauracji od dawien dawna należącej do Borgów, właściwie w ich domu, swojego kwacha...

Kwacha? Tylko nie to. Bukietowi wina poświęcili razem z Theo naprawdę dużo czasu. Owszem, kiedyś było gorsze, a jeden sezon się absolutnie nie udał. Powinni cały zbiór owoców z tamtego roku wyrzucić, a nie próbować z winem. Po co poczęstowała nim wtedy Daniela? To głupota, nie szczerłość. W jakim celu? Żeby zarzucił, że wino Balafasów to kwach? To nie była prawda, wino cieszyło się powodzeniem w restauracji w Marsaxlokk, Elle z dumą widziała je na kilku stolikach, kiedy zachodziła do restauracji. Zamówienia też były regularne. Tylko pieniądze za towar widziała rzadko.

W tej ślicznej rybackiej wiosce Elle szybko stała się popularna, poznała wielu ludzi, z kilkoma kobietami się zaprzyjaźniła. Dobrze się tam czuła. Kiedyś była w restauracji, kiedy przyjechała Martita, dziewczyna, która zaopatrywała ich w owoce morza.

– Tym razem jest wszystko, co zamówiliście, ale powiedz Danielowi, że to ostatni raz. Ma natychmiast zapłacić za poprzednią dostawę.

– Ma opóźnienia? Nie wiedziałam. Mogę zapłacić.

Rachunek był wysoki, ale słowo się rzekło. Martita pakowała pieniądze do torby.

– Ty jesteś uczciwa, zawsze to mówię innym dostawcom. Jak poznałaś Daniela?

– No wiesz, w samolocie. Romantycznie, ale masz coś do niego?

– Nic nie powiem, bo wyjdę na plotkarę.

– Nie chcesz, to nie mów, ale nie siej fermentu. Gdy się kogoś nie zna, to łatwo go niesprawiedliwie osądzić. Daniel nie jest złym człowiekiem i jest nam naprawdę ze sobą dobrze.

– Chyba w łóżku, bo nic innego mi nie przychodzi do głowy.

Elle wzięła złośliwe słowa Martity za zazdrość.

– Martita! Mieliście romans? Tak mi to wygląda.

– Romans? – Martita prychnęła. – Daj spokój, w okolicy żadna z nas taka głupia nie była, żeby się związać z Danielem. No, ale tobie to jakoś wychodzi. W każdym razie uważaj na pieniądze.

Słowa Martity bardzo Elle zabolowały. Wyglądało na to, że w Marsaxlokk mieli ją za naiwną albo głupią, tak to przynajmniej odebrała. Niestety, ostrzeżenie na temat pieniędzy nie było bez pokrycia, też miała wątpliwości, ale nie zamierzała ulegać wpływom. Musiała sama doświadczyć, musiała sama sprawdzić i sama dociec, co jest na rzeczy.

Jednak to, co powiedziała Marticie o ich związku, było prawdą, Daniel dawał jej to, czego potrzebowała. Wciąż go pożądała. Nie codziennie, to by szybko spowszedniało, ale jedna upojna noc w tygodniu, to stało się już normą. Kilka razy leciała na Maltę tylko dla seksu. Robili to kompulsywnie.

Elle dobiegała pięćdziesiątki, a to, że potrzebowała fizycznej miłości, wiązało się z huśtawką hormonów u kobiet w tym wieku, sporo czytała na ten temat. Daniel też jej pożądał, co po prostu czuła. Był namiętny i romantyczny. Zawsze czekał na nią na maltańskim lotnisku z wiązanką kwiatów, starannie ubrany, pachnący i mocno jej spragniony. Ich związek na odległość byłby wspaniały, gdyby nie finansowe zgrzyty. Już nawet pasywność Daniela przestała Elle przeszkadzać, bo bez zastrzeżeń przyjmował wszystkie jej pomysły, w ogóle się o to nie kłócili. Nie chciała go sprawdzać, nie chciała pouczać, restauracja to był jego majątek. On nie wtrącał się w jej interesy na Korfu. Nigdy o to nie zapytał, ale przecież musiał zdawać sobie sprawę, że Elle dokłada swoje pieniądze do jego biznesu. To ona finansowała remonty i restaurację.

Nie żałowała, że wyszła za Daniela. Była na tyle dojrzała albo naiwna, że potrafiła się pogodzić ze skazami na związku. Nie oczekiwała już ideału, miłości czystej, niewyrachowanej, nie była egzaltowana, na swoje szczęście! Myślała o radościach życia, kiedy nasycona fizycznością leżała spełniona przy Danielu, ale gdy przytomniała, wracały natrętne myśli o prozie.

– No, idź już. – Próbowwała wypchnąć Daniela z łóżka. Robiła to delikatnie, niby dla żartu.

Była niedziela, w Marsaxlokk dzień targowy, przyjeżdżało mnóstwo kupujących i równie dużo turystów, obroty w restauracji były wtedy zawsze kilka razy wyższe.

Dochodziła już jedenasta, a Daniel ani myślał zejść na dół.

– Daniel! – Podniosła głos. – Uznają, że masz restaurację w nosie i też będą ją mieli w nosie. Od bladego świtu powinieneś stać na progu i witać gości.

– Znów! Nie możesz przestać?! Nie byłaś taka. Co cię napadło?

Kolejna kłótnia wisiała w powietrzu.

– Nie tak miało być, prawda? Żałujesz? – zapytała zimnym tonem.

– Przestań, było dobrze, ale ty nie możesz wytrzymać bez pretensji. Jesteś dużo miłsza, jak przyjeżdżam do Liapades, tam przynajmniej nic mi nie zarzucasz. Tam się poznaliśmy i tam było nam dobrze, dopóki nie wmówiłaś mi, że znam się na prowadzeniu restauracji.

– Bo się znasz. Wszystko jest dobrze, kuchnia, zaopatrzenie, goście. Tylko nie pilnujesz biznesu i dlatego nie mamy pieniędzy, żeby rozbudować dom.

– Wiesz, to twoja wizja.

– A twoja? Jaka jest? Porozmawiajmy. Nigdy nie rozmawiamy o interesach, bo tego nie znosisz. Wzruszył ramionami.

– Moja wizja jest taka, że to nie twoja sprawa. Dość mam już tego weekendu!

Wstał, ubrał się i szedł na dół. Elle ucieszyła się, że jej wreszcie posłuchał i poszedł do restauracji. Daniel tymczasem wsiadł w auto, widziała go z tarasu.

Ujrzała go dopiero następnego dnia rano, zmęczonego, w wymiętej koszuli, z podkrążonymi oczami. Ona zresztą nie wyglądała lepiej, całą noc martwiła się, czy nie wpadł pod jakieś auto albo czy nie zabił nikogo na drodze. Wyjechał bardzo zdenerwowany.

– Gdzie byłeś?

Być może było w jej głosie coś trudnego do zniesienia, jakiś ton, jakaś pretensja. Może mówiła zbyt głośno...

– Odsuń się.

Nie zdając sobie sprawy, jak bardzo to żądanie dotknęło Elle, wszedł do sypialni, w ubraniu rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął.

Nie zastanawiając się długo, zamówiła taksówkę i poprosiła o kurs na lotnisko. Powrót do domu zajął jej trzy niezaplanowane godziny, ale była na tyle zła, żeby zostawić niewdzięcznika i wrócić do siebie. Była Greczynką, nie Maltanką. Była kobietą, nie cierpiętnicą.

Wracała na Korfu z planami, żeby już więcej nie interesować się biznesami Borgów, ale już od wieczora Daniel wydzwaniał kilkanaście razy, nie dawał jej spokoju. Za którymś razem odebrała, by usłyszeć przeprosiny i obłęd w jego głosie. Była chłodna i zdystansowana, coś nie dawało jej spokoju. Dlaczego Daniel wcześniej się nie ożenił? Był przystojny, wykształcony, mógł uchodzić za bogatego. Dlaczego wybrał właśnie ją? Nie czuła się Moniką Bellucci. Postanowiła się przełamać i podczas kolejnego pobytu w Marsaxlokk zapytać o to znajomych.

Korfu przywitała obojętnie. Jakiś cierń wszedł w jej serce, nie potrafiła się cieszyć z powrotu do siebie. Najpierw pojechała do apartamentu na klifie, tam dotąd był jej azyl. Andrea siedział w swoim pokoju przy komputerze, miał przerwę między egzaminami na uczelni. Studiował ekonomię w Salonikach. Lubiła na niego patrzeć, był poważny i powściągliwy, nigdy nie powiedział niczego ponad to, co chciał powiedzieć, czego akurat w nim nie lubiła. Wyrósł na przystojnego chłopaka, a właściwie na przystojnego mężczyznę. Nie bardzo się interesował winnicą, nie interesowały go też hotelarskie biznesy matki. Żył w swoim świecie, jego konikiem była ekonometria, nowoczesna inżynieria ekonomiczna. Zawsze bardzo dobrze dogadywał się z Danielem, który namawiał go na Nowy Jork, na Londyn. To Daniel otwierał przed nim świat. Szkoda tylko, że sobie go zamknął.

Andrea też bardzo szanował Theo.

Zupełnie inny był Nestor Junior. Szczupły, drobny, ciągle w ruchu, ciągle coś wszystkim opowiadał, Elle czasem miała wrażenie, że syn wymyśla te historie, ale opowiadał je z takim przekonaniem, że i tak mu w końcu wierzyła. Rozbrajała ją ta jego spontaniczność, a fakt, że pomaga Theo w winnicy, napełniał ją jeszcze większą, matczyną miłością. Sam mówił o sobie, niby żartem, że wyrasta na maminsynka.

Kiedy miał prawie trzynaście lat, jego opiekunka wezwała Elle do szkoły.

– Nie wiem, czy pani to zauważyła, ale Nestor ma niezwykle wyraźny talent aktorski. Radziłabym poszukać mu nauczycieli dykcji, a wręcz nauczyciela aktorstwa. Na wyższą aktorską uczelnię trudno się dostać, więc trzeba czynić starania już teraz. Talentów nie wolno marnować!

To była wiadomość! Aktorstwo, cóż to za zawód dla faceta? Ale Elle zrobiła tak, jak jej poradzono, i znalazła chłopcu dwóch nauczycieli. Nie było rady, musiała ponieść te koszty.

Dzień po jej nagłym powrocie na Korfu, rano, Nestor Junior odbywał swoje lekcje, a Andrea kilka godzin siedział nad książką, pogryzając pieczywo, które popijał *kinnie*.

– Wyprostuj się, bo będziesz miał garb.

Zrobił to, nie przerywając czytania.

Po południu na klifie pojawił się Daniel. Był skruszony i pełen poczucia winy. Niewiele rozmawiając, pogodzili się, jak zawsze, w łóżku.

Chłopców ucieszył jego widok. Andrea rzucił książkę i namówił Daniela na spacer do winnicy. Nina Balafas, myśląc Daniela z Nestorem, na jego widok zaczęła rozkładać karty, po czym zasnęła w fotelu z błogim uśmiechem na ustach.

Elle i Daniel spędzili spokojny dzień, ona obiecała, że wróci na Maltę, on, że rozliczy się z pieniędzy. Pożegnali się czule.

Wstała z łóżka jak skowronek, ubrała się, wsiadła w auto i pojechała do starego domu przy winnicy. Ostatnio nieco go zaniedbała. Wymagał remontu, dach zaczynał przeciekać, a w murze przy bramie brakowało kilku kamieni. Na taras, ten taras, na którym siadywali z Nestorem, podczas deszczu lało się z rynny, a wyrwy w kamiennej posadzce zarosły mchem. Nina powitała ją jak największego przyjaciela. Bardzo się postarzała. Właściwie większość dni spędzała, siedząc na fotelu przed oknem, czasem podprowadzona przez opiekunkę podreptała na taras, ale szybko wracała na fotel. Cóż za okrutna to była starość!

Wyściskały się, ucieszyły się sobą. Elle musiała udawać, że dawno się nie widziały, choć przecież spotkały się dzień wcześniej.

– Mnie już się niewiele chce. Przed zimą umrę.

– Kocham cię, Ninuś, a miłość zawsze trzyma przy życiu.

– Nieprawda. Jak byś mnie kochała, to byś odwiedziła czasem starą Ninę.

– Kocham cię, kocham, tylko życie jest czasem skomplikowane. Wszystko się zaczęło od marszczenia firan, pamiętasz? – przypomniała kobiecie.

Nina zachichotała i pokiwała głową. Kiwała nią jeszcze i chichotała, kiedy Elle wychodziła z pokoju. Demencja i starość Niny była dla Elle smutnym odkryciem. Dotąd nie zastanawiała się nad nieuchronnością odejścia z tego świata, choć śmierć Nestora blisko dotknęła tego tematu. Ślub z Danielem w jakimś sensie ją odmłodził i odsunął myśli o ostateczności.

Stała przed starym domem i spisywała najpilniejsze potrzeby, najpilniejsze zakupy, kiedy na traktorze podjechał Theo. Zmroził Elle wzrokiem.

– Coś taki zły? Jeszcze ci nie przeszło? Po co to tracić czas na kłótnie? – powiedziała z niekłamana radością, że go widzi. Nieco posiwiła. Ileż to lat poświęcił Balafasom? Przyjaźnili się, a tego nie wolno zaprzepaścić. – Wiesz, jakim powodzeniem cieszy się nasze wino w restauracji Borgów? To sukces! Twój sukces, uwierz mi.

Wzruszył ramionami, odwrócił się plecami do Elle.

– Sukces? Gównno wart – usłyszała.

– Co tam mruyczysz złośliwie? Pszczoły cię zaatakowały? – zażartowała.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Był wściekły.

– Nie dbasz o swoje interesy. One są tutaj. Tutaj!

– I tu są, i tam...

Spojrzenie Theo było twarde, aż poczuła zimno. To już drugi raz pozwalał sobie na wrogą krytykę. Od pierwszego incydentu, parę lat wcześniej, ich przyjaźń legła w gruzach. Elle chciała, żeby było jak wcześniej, nie chciała kłótni. Theo nigdy jej nie zawiódł.

– Nie poznaję cię! Gdzie jest ta prawdziwa Elle? Ta Elle z sercem na wierzchu, zainteresowana życiem, ludźmi... Wyglądasz jak wtedy, kiedy musiałem cię kryć przed pracownikami, gdy nad ranem wróciłaś do winnicy po śmierci pana Nestora. Pojechał już ten gówniarz?

Pomyślała, że przesadził, nie mogła na to pozwolić.

– Wara ci od Nestora! I Daniela zostaw w spokoju. Nic nie rozumiesz i obawiam się, że nigdy nic nie zrozumiesz, bo dla ciebie istnieją tylko dwie możliwości: albo coś jest białe, albo czarne.

– Gdyby tak było, już dawno byś mnie tutaj nie widziała. – Po tych słowach poczerwieniał.

– Teraz rozumiem... Jesteś... – chciała dodać: „zazdrosny”.

– Nie! – wszedł jej brutalnie w słowo.

– Powiedzmy...

Czego oni wszyscy od niej chcą? Banda zazdrośników! Wzruszyła ramionami, wsiadła w auto i pojechała do swojego azylu na klifie. Lubiła gości, którzy do niej przyjeżdżali. Lubiła, gdy wieczorami siedzieli na tarasach i kontemplowali widoki. Starła się, żeby było im dobrze. Kupiła wygodne leżaki, fotele, żeby tylko sprawić swoim gościom przyjemność. Niech się rozsiądą na tarasach, niech mówią, że u Elle jest świetnie! Dbała, żeby w pokojach było ładnie; zawsze zimą je odświeżała, modernizowała. To było znakomite miejsce do wypoczynku. Ciche, ale nie bardzo oddalone od sklepów, tawern i atrakcji. Znakomite miejsce, żeby wyruszyć dalej, żeby zwiedzić całe Korfu. Zazwyczaj przyjeżdżali do niej Anglicy, czasem Włosi. Chciała doczekać dnia, kiedy przyjmie Polaków. Polska nie była krajem mlekiem i miodem płynącym. Jeszcze sporo lat trzeba będzie, żeby Polacy dobili do średniej europejskiej i żeby sami sobie organizowali wakacje poza Polską.

Już dawno temu powinna poszukać Danki. Zaniedbała swoją polskość. Były przyjaciółkami, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie. Niemniej już dawno powinna jej oddać dług! Powinna ją do siebie zaprosić. Miały wiele lat do omówienia. Ileż o tym myślała!? Ale potem zawsze coś innego zaprzętało jej myśli i działania i poszukiwanie Dany znów się oddalało. Powinna zamieścić swoje apartamenty na

witrynach z noclegami, nazwała je swoim panięmskim nazwiskiem. U Elle Spiropoulos. Powinna umieścić ofertę na polskich witrynach, można byłoby ją znaleźć przez wyszukiwarkę. Jeśli ktoś by chciał...

Tego wieczora myślała o tym, co powiedział Theo. Obraził ją, nie zasłużyła na takie słowa. Jeśli nawet postąpiła niegodnie, Nestor na pewno by ją rozgrzeszył, działała w imię celów wyższych. Nestor był szczęśliwy, dała mu to, czego chciał. Często myślała o przeszłości. Było tak pięknie, dopiero potem wszystko się skomplikowało.

Następnego dnia rano przyszła bardzo zła wiadomość. Na wsi pod Atenami zmarła matka Elle. Nie widziały się wiele lat. Seniorka Spiropoulos wolała życie na swojej wsi, Elle wybrała podobnie, ale daleko od matki, na wyspie, w całkiem innych warunkach i czemu innemu się poświęcając. Nie miały dobrych relacji, różniły się tak, jak różni się północ od południa.

Właściwie to Ninę Elle traktowała jak matkę, a Nestor w jakimś sensie zastępował jej ojca. To musiał być cud, że na swojej drodze spotkała rodzeństwo Balafasów. Takie szczęście nie każdemu jest dane.

Pojechała na pogrzeb matki i wróciła po dwóch dniach.

Akurat wtedy, gdy zabierali Theo do szpitala.

[8] Wariuję, wariuję, kochanie, wariuję, nakręcasz to, a potem znikasz, tak, sprawiasz, że wariuję, wariuję, wariuję dla ciebie, skarbie. Co mogę zrobić, kochanie? Jest mi smutno... – „Crazy”, piosenka z repertuaru zespołu Aerosmith, słowa: Steven Tyler.

Rozdział czwarty

To miał być dzień na luzie. Agnieszka zjadła śniadanie w towarzystwie Macieja, co już stało się normą. Długo siedzieli przy stoliku, obracając w palcach kubki z wystygłą kawą. Mogli rozmawiać o wszystkim. To znaczy, Agnieszka bardzo lubiła go słuchać.

– A wy co? Szczyt unijny? – zażartowała Maria, która zajrzała do restauracji. Nalała sobie z ekspresu kawę.

– Tak jakby – powiedział Maciej.

– Wiecie, że statek, z którego pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku roku Bush i Gorbaczow ogłosili koniec zimnej wojny, był zacumowany u wybrzeży Malty, niedaleko Marsaxlokk?

– To ciekawe. Siadaj z nami – zaproponowała Agnieszka, przesuwając talerz po kanapkach bliżej siebie.

– Nie mogę. Pracuję! – I już jej nie było.

– Pobyt na plaży przypomniał mi kilka chwil z matką. Jak to się stało, że mi umknęły? Muszę dopisać te sceny, czyli książka jeszcze bardziej się rozrośnie. Ale w związku z mamą nie mogę niczego pomijać.

– No nie.

– Miałem może z pięć lat, kiedy łopatką chciałem przelać morze. Pamiętam jak dziś, to było w Sopocie. Często tam wracaliśmy. Kilka razy byliśmy w Dąbkach, moi rodzice byli nauczycielami, latem mogli sobie pozwolić na dłuższy wyjazd. Mama się łatwo opalała, pamiętam ją w niebiesko- - białej sukience. Miała żółty, jednoczęściowy strój... Żółty jak słońce. I włosy jasne, potem posiwiiała... Tak bardzo ją kochałem. Bardziej niż tatę. Intuicja? Po moim wypadku on nie wytrzymał presji, zaczął pić, nie wracał na noc do domu. W końcu serce nie wytrzymało i uwolnił nas od siebie.

– Współczuję.

– Raczej powinnaś mi gratulować. Mężczyźni nie radzą sobie w kłopotach, to kobiety podają rękę, to one o nas dbają. Nawet o taką pokrakę jak ja... .

– Miałaś szczęście, mając taką mamę. Pisz o niej, chętnie przeczytam.

– Mogę ci kawałek przeczytać. Przyniosę na kolację.

– Coś ty, nie mam wykupionej.

– Zjesz ze mną, z jednego talerza.

Przejechał palcami po czuprynie, potargał włosy. Miała ochotę mu je przygładzić, ale bała się, że zechce ją wyściskać.

– Dzięki – powiedziała i przecząco pokręciła głową. – Wiesz, chciałam jechać na basen w Valletcie, jest podobno bardzo ciekawy, nad zatoką.

– Szkoda.

– Może pojedziesz ze mną?

– O nie! Ileż dni zmarnotrawiłem na czymś innym niż pisanie o mamie! – krzyknął niezbyt dyplomatycznie.

Zauważył rozczarowanie Agnieszki.

– Przepraszam. Jest taka zasada: nie mów od razu, bo a nuż powiesz prawdę. Niestety, często tę zasadę łamię.

– Dobrze, że masz do siebie i do świata dystans.

– No, owszem. A wiesz, mam coś dla ciebie. Wczoraj to kupiłem. Poprosiłem kierowcę, żeby mnie podwiózł do sklepu z pamiątkami. – Chwyił rękę Agnieszki i włożył do niej coś twardego.

To była gipsowa miniaturka łodzi *luzzu*.

– To na pamiątkę. Jestem pewien, że prędko będziesz mogła powiedzieć, że jest idealnie. Ja ci tego życzę.

* * *

– *Amazing!* – wykrzyknęła, kiedy znalazła się na miejscu.

– *Oh, yes* – odpowiedział wysoki, muskularny brunet, który o mało się nie zderzył z Agnieszką przy wyjściu z przebieralni. W słońcu jego wielkie, białe zęby wyglądały, jakby cały dzień je polerował.

Agnieszka, z plastikową opaską z kluczem do szafki na nadgarstku, przebrana w kostium kąpielowy, weszła na basen. Jakiż stamtąd był widok! Widziała swoją Sliemę, widziała stateczki wpływające do portu i niezmierzone pokłady niebieskości oraz turkus. I to słońce! Cała zatoka była w słońcu.

Położyła rzeczy na leżaku. Stała na brzegu basenu i wykonała skok do wody. Dawno nie czuła się tak beztrosko. Pływała kilkanaście minut, po czym przystanęła zmęczona przy wyjściu z basenu.

– Dzień dobry – usłyszała.

Patrzyła pod słońce, ale i tak poznała znajomy zarys sylwetki.

– Nes!

– Widziałem cię przedwczoraj, siedziałaś na ławce, a obok ciebie facet na wózku.

– No i?

– Zaintrygowałaś mnie.

– Jesteś detektywem?

– A jeśli tak, to co? Kto to był?

– Znajomy.

– Też z Polski?

– Skąd wiesz, że jestem z Polski?

– Sama mi powiedziałaś.

Zaczęła przypominać sobie poprzednie rozmowy, ale nie wydawało jej się, żeby mu to powiedziała.

– Nie sądzę.

– To skąd bym wiedział?

– Właśnie.

– Zostawmy to, lepiej się skupmy na tym niepełnosprawnym człowieku. Bardzo się o niego troszczyłaś.

– Tak samo jak ty o mnie. Życ beze mnie nie możesz.

– A żebyś wiedziała.

– No i co z tym bratem?

– Z bratem? Dobra, powiem ci. Mam starszego brata, wcale go nie szukam, bo bardzo dobrze sobie radzi.

– Wiesz co!? Ja kłamcom mówię: nie.

– Gdybym wtedy powiedział, że chcę pogadać, nawet byś na mnie nie spojrzała... – Wydawało jej się, że jest zmieszany, zrobiło jej się go żal.

– Co ty, jest w porządku – powiedziała w swojej łaskawości.

Powinna dać mu szansę albo go zostawić wtedy, na tych schodach w Valletcie. Nie wypytywać o brata, bo małolat coraz bardziej się nakręcał i mieszał. Jej uwagę zwróciła opaska z koralików na jego ręce.

– Takie coś nie jest zbyt męskie.

– Ona mi zwróciła, to noszę.

– Kto?

– Katharina.

– Kto to znowu?

- Dziewczyna, w której się zakochałem.
- Czas przeszły?
- Madonno! Jaka ty jesteś amerykańska!
- W sensie?
- Krótkich pytań.
- To co z tą Kathariną?
- No co? Gdzieś tu jest.
- Gdzie? Na basenie? No, mów bardziej wyczerpująco!
- W szkole językowej.
- To ona jest Maltanką i nie zna języka angielskiego?
- Nie, ona jest Serbką.
- Skąd ją znasz?

– Ze szkoły, postanowiłem do niej zagadać. Zawsze mnie denerwowało, że najfajniejsze dziewczyny nigdy nie rzuciły na mnie okiem, więc postanowiłem coś z tym zrobić. No i uczyłem się tak zajadle, że miałem najlepsze stopnie w grupie, lepsze od Kathariny. Początkowo się na mnie wściekała, ale potem... Zauważyła mnie.

– Dlaczego w takim razie teraz jej szukasz?

– Bo przestała mnie zauważać. Przyjechała na kurs języka angielskiego na Maltę, chociaż naprawdę bardzo dobrze potrafi w tym języku mówić.

Razem chodzili do szkół? Teraz ona uczy się angielskiego? Agnieszce nic tu nie pasowało. Chciała zapytać, co Nes robi, gdy ją spotka, i co robi, jak nie będzie to możliwe.

Jakby czytał w jej myślach.

– Tak naprawdę lepiej by było, gdybym jej nie spotkał. Przynajmniej bym mniej cierpiał.

Miała wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej, ale wtedy nad ich głowami jakiś młokos wykonał skok do basenu.

– Nie szarżuj, młody! – krzyknął Nes. – Nic ci nie zrobił? – Zatrószył się o Agnieszkę.

– Ochlapał, ale w końcu jestem na basenie.

– Jak się jeszcze raz pojawi, dam mu nauczkę.

– Przestań!

– To jakie masz plany?

– Normalne, wakacyjne. Pobędę trochę na Malcie, Gozo też mam w planach. Czekam na kogoś...

– Na faceta? Bo jeśli chcesz mi opowiedzieć o sobie, to słucham. Nic nie doradzę ci w sprawie związku, bo żaden z moich nie przetrwał. Ale spróbuję...

– Nie. I przestań mnie wypytywać o facetów. Pod tym względem jestem zacementowana.

– To się tylko tak mówi...

– Naprawdę. Jestem.

– No dobra. A w kwestii zwiedzania, popłynij na Comino, tam jest romantycznie, jak chcesz, mogę ci towarzyszyć.

– Nie chcę. Lepiej skutecznie poszukaj Kathariny.

– Racja.

Powiedział to mało przekonująco.

– Najpierw brat, teraz Katharina... Podaj mi duży kieliszek wina, żebym uwierzyła.

– Za dużo wymagasz od mężczyzn. – Nes wstał i odszedł.

Pewnie miał rację co do wymagań, ale Agnieszka i tak przekonywała się do myśli, że to jego umysł płacze mu myśli. Poleżała kilkanaście minut na leżaku, potem poszła do przebieralni i opuściła budynek basenu. Poczula głód. Chciała to popołudnie i wieczór spędzić w swoim pokoju, chciała po prostu odpocząć i delektować się widokami. Żałowała, że umówiła się z Patrykiem na kolejny dzień. Nie bardzo chciało jej się już z nimi jeździć. Wolałyby sama odkrywać kolejne fragmenty wyspy. W markecie niedaleko promenady zrobiła duże zakupy, z którymi wróciła do pokoju. Rzeczywiście zjadła sporo, miała wilczy apetyt, wszystko jej smakowało za sprawą taplania się w wodzie i świeżego

powietrza. Wędliny, chleb inny niż w Polsce, ale bardzo smaczny. Jadła, jakby miała tasiemca. O mało nie usnęła na leżaku na balkonie z kromką w ustach.

Choć jeszcze niedawno była skupiona wyłącznie na celu wycieczki, to jednak zainteresowanie światem i ludźmi, których poznawała po drodze, sprawiały jej dużo więcej satysfakcji niż stąpanie śladami Elle. Pomyślała, że kto nie wyściubia nosa poza własne podwórko, nigdy nie zabłądzi. Warto wyjechać, by zobaczyć inne domy i na tej podstawie zdecydować, gdzie i z kim chciałoby się tworzyć swój. To był przyjemny dzień, zachodzące słońce wymuszało refleksję. Była wdzięczna Elle i jej wędrowce przez życie.

Wyjęła z lodówki *kinnie*, napój był zmrożony, idealnie gaszący pragnienie. Lubiła tę mieszankę smaku dojrzałej, gorzkiej pomarańczy *chinotto*, goryczy toniku i aromatu ziół. Wyszła na balkon, było jeszcze ciepło, ale może to wrażenia dnia spowodowały ten stan. Usiadła na leżaku, podwinęła nogi i zajęła się smakowaniem napoju. Z restauracji na dole do jej uszu docierały głośno rozmowy. A może to sąsiedzi piętro niżej toczyli spory? Nie próbowała się wsłuchiwać. Było jej dobrze. Miała poczucie pełni życia, niezamarnowanego gniciem w swoich przyzwyczajeniach i ograniczeniach.

Wieczorem odsłuchiwała wiadomości na poczcie głosowej:

„Nie podoba mi się, że nie oddzwoniasz. Tata się niepokoi”. Mama.

Nigdy jeszcze nie powiedziała, że to ona się niepokoi. Zawsze mówiła, że tata. Tata jest zrozpaczony, tata będzie się cieszył, tata bardzo tęskni. Nigdy, że ona. Agnieszka chciała krzyknąć: Mamo! A ty?!

Mogła do niej zadzwonić, mogła też zadzwonić do Wiktora, ale nie zrobiła tego, za to wybrała numer Ewy.

– Odkąd jestem na Malcie, w zasadzie wieczorem zawsze jem chleb z masłem i z pasta kawiorową... W Polsce mi to nigdy nie smakowało, ale tutaj bardzo. Dzisiaj wróciłam z basenu głodna jak wilk i nie powiem ci, co i ile zjadłam, żeby się nie narazić na zarzut obżarstwa.

– Ej tam, nie przejmuj się. Zaczynaj się martwić, jeśli będziesz tak wcinać codziennie. Ale i tak masz dobrze, bo masz mnie, więc zaraz stworzę ci jakąś dietę i przypilnuję, żebyś ją stosowała.

– Co słyhać? I nie pytam o Wiktora.

– A nic. Myślałam wczoraj o Marcelu i Julii. Trochę w twoim kontekście. Wszyscy chcieliśmy, żeby ona i Marcel stworzyli parę.

– No i stworzyli, tyle że nie na zawsze. Nie chodziło nam o Julię, chcieliśmy, żeby Marcel był szczęśliwy.

– No i był szczęśliwy, tyle że nie na zawsze. – Ewa wpasowała się w konwencję rozmowy Agi.

– Na zawsze to tylko garb zostaje.

– No, bym się nie zgodziła. Medycyna jest dzisiaj dalej niż w latach pięćdziesiątych.

– Medycyna poszła daleko, ale nie na tyle, żeby zapisać tabletkę na niezdecydowanie, na szybsze decyzje. Na szukanie Bóg wie czego. To dotyczy mnie – przyznała się Agnieszka.

– Nie dzwoniłaś? Zadzwoń. Po prostu pogadaj, bo pamiętaj, że czas działa na twoją niekorzyść.

Ewa miała rację. W zasadzie zadzwoniła do niej, żeby jej zdaniem, tym, co powie, się podeprzeć. Powinna zadzwonić, nie powinna się oddalać.

Wiktor odezwał się po pierwszym sygnale.

– Zadzwoniłam, bo chciałam ci powiedzieć, że czytałam opinie o książce, są bardzo dobre. Pomyślałam, że powinnam ci pogratulować.

– Powinnaś czy chcesz?

– Chcę. I tak sobie postanowiłam, że jak wrócę, kupię sobie egzemplarz i przeczytam jeszcze raz.

– Nie musisz kupować, czeka na ciebie. Nawet dedykację ci wpisałem.

– Dziękuję.

– Aga, to ty musisz podjąć decyzję co do nas.

– Ale tęsknisz za mną?

– Nic się nie zmieniło, jest tak, jak było. Szkoda, że mi nie ufasz.

– Nie szantażuj. Musisz zrozumieć, że ja nie chcę być kolejny raz zraniona. Bo to boli, bo to

zostawia ślad na zawsze, bo rany niczego nie uczą!

Głos jej się załamał.

– Nie płacz. Aguś...

Opanowała się.

– Zadzwońłam, bo sądziłam, że mi ułatwisz.

– Przykro mi, to ty musisz podjąć decyzję, to ty musisz być jej pewna. Ja podchodzę poważnie do naszego związku, musisz w to uwierzyć. Tylko czy ty chcesz tego samego?

– Myślisz, że nie chcę? Wiesz co? A niech cię!

– Agnieszka... – usłyszała swoje imię. Wypowiedział je tym swoim przyciszonym, jakże miłym dla ucha głosem. Rozłączyła się i zaczęła żałośnie płakać. Potem otworzyła laptop i wróciła do powieści Wiktora. Przeczytała ją do końca, omijając tylko fragmenty jej znane. Niewiele spała, może dwie, trzy godziny, czytanie zakończyła nad ranem.

Zaczął się nowy dzień. Agnieszka też miała inne niż kiedyś wrażenia po lekturze. Było to zaskakujące i bardzo miłe.

* * *

Emocje z poprzedniego dnia sprawiły, że nie chciało jej się z nikim spotykać, z nikim rozmawiać, potrzebowała ciszy. Była umówiona na wycieczkę z Patrykiem i Małgosią, ale nie miała na nią ochoty. Marii tylko pokiwała przechodząc obok. Z Maciejem przy śniadaniu zamieniła zaledwie parę słów.

– Jak było na basenie? – zapytał mężczyzna.

– Dobrze.

– Co tak mało mówisz?

– Tak jakoś...

Po jej enigmatycznym tekście Maciej po prostu zamilkł. Agnieszka wypila parę łyków kawy, połknęła parę kęsów chleba, zrobiła sobie jedną kanapkę i wyszła, zostawiając osłupiałego Maćka i równie osłupiałą Marię.

Potrzebowała samotności. Postanowiła pojechać autobusem do Cirkewwy, a stamtąd promem na Gozo. Miała w głowie plan wycieczki: wysiąść z promu w Mgarr na Gozo, potem złapać autobus Sightseeing i pojechać na Ramla Bay, widziała w Internecie tę cudną plażę z pomarańczowym piaskiem. Pobyć tam z godzinę, znów wsiąść do autobusu, wysiąść przy Azure Window, pobyć tam ze czterdzieści minut, potem wsiąść w kolejny autobus i dojechać do Marsalforn.

Jadąc na prom, myślała o książce Wiktora, potem porzuciła natłok myśli i w komórce czytała o atrakcjach Malty i Gozo. Dotarła do wpisu na blogu prowadzonym przez małżeństwo podróżników.

Zatoka Anchor Bay to miejsce, gdzie do dnia dzisiejszego pozostawiona została scenografia do filmu „Popeye”. Film oparty został na komiksach o marynarzu o imieniu Popeye. Wejście na teren jest płatne, ale warto wyasygnować kwotę, bo wioska leży na brzegu morza, w zatoce, i cenę rekompensują widoki. Szmaragdowy kolor wody kontrastuje z kolorowymi, bajkowymi domami.

Kilka przystanków przed przeprawą promową do wysiadania szykowało się wielu turystów. Agnieszka zapytała, dokąd jadą. Jeden z nich, starszy pan, odpowiedział, że do Popeye Village. To była decyzja *ad hoc*. Wysiadła, choć nie zamierzała i wiedziała, że ta decyzja może rozbić jej plany. Mogła nie zdążyć wrócić i spotkać się z Elle albo nie zobaczyć wszystkiego, co chciała. Mimo to poszła za grupą turystów na przystanek za skrzyżowaniem. Autobus właśnie podjeżdżał, więc musiała podbiec parę kroków.

Usiadła na siedzeniu i zaczęła się zastanawiać. W autobusie przeważały rodziny z dziećmi. Lubiła dzieci, wcale jej nie przeszkadzały, lubiła przypatrywać się ich zachowaniom. Była gotowa na dzieci, mogłaby je już mieć, ale nie jako singielka! Była rozczarowana, wiele w tym było jej winy. Wciąż

miała w głowie rozmowę z Wiktorem.

Rozglądała się po okolicy. Wsiadła z autobusu ze wszystkimi.

Przeszła kawałek i usiadła na brzegu. Mogłaby tak siedzieć bez ruchu parę godzin, to był widok, za jaki jeszcze niedawno dałaby się pokroić, musiała się jednak pospieszyć. Znalazła rozwiązanie: w smartfonie zamówiła pokój z widokiem na morze w Marsalforn. Było przed południem, jeden dzień nie czynił różnicy. W ten sposób podczas jednego wyjazdu zwiedzi więcej.

Niedaleko siedział mężczyzna i – jak jej się wydawało – robił to, co i ona. Chłonał widoki. W wiosce roilo się od ludzi. Nie musiała wchodzić do chat ani chodzić uliczkami. Wystarczył jej ogólny widok i to, że się tutaj znalazła. Czuła magię tego miejsca. Kiedyś przywiezie tu swoje dzieci, widziała, jak maluchy się świetnie bawią.

– Przepraszam, że zawrócę głowę – zawołała po angielsku do nieruchomo siedzącego mężczyzny. – Przyjechał pan tutaj specjalnie? Bo ja wpadłam na pomysł przyjazdu nieoczekiwanie. I nie żałuję. Świetne miejsce, prawda?

Mężczyzna odwrócił w jej stronę twarz i zrobił nieokreślony ruch ręką, zrozumiała, że powinna zamilknąć.

– Przepraszam, że zaczepiłam – powiedziała zawstydzona.

– Nie, nie. Nie odpowiedziałem, bo musiałem się zastanowić. Jest tak, że ja niczego nie żałuję – odpowiedział mężczyzna angielszczyzną, która bardziej kojarzyła się jej z amerykańskim sposobem rozmowy.

– To dobrze, ale nie pytałam o wrażenia. Pytałam o powód przyjazdu w to miejsce. Sporo tutaj dzieciarni.

– Radziłbym jednak mówić do Polaka po polsku. – Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiešek. Udał oburzenie, przy okazji prezentując najczystszą polszczyznę.

– Kurczę! Aż tak kaleczę angielski?

– Nie oceniam, ale spójrz na napis na swojej koszulce. Wszystko już o tobie wiem.

– „Idź do przodu”, to tylko koszulka. Nic o mnie nie wiesz.

– Się nie obraż.

– Obrażę się, bo nie masz racji.

– Jak uważasz. Też kiedyś byłem butny, aż...

– Aż co...?

– Za długo by mówić.

Oboje chwilę milczeli.

– Malta nazywana jest śródziemnomorskim Hollywood. – Zmienił temat. – Oprócz „Popeye’a”, na wyspie kręcono też „Troję” i „Gladiatora”.

– Niesamowite.

– Jak na atrakcje, teren stosunkowo niewielki. Parę kroków w lewo, parę w prawo i koniec.

– Ale warto zobaczyć. Zawsze warto zobaczyć to, czego się nie widziało i o czym nie ma się pojęcia, że istnieje. – Zrobił zamaszysty ruch ręką, co nie pasowało do jego osobowości, jak się Agnieszce wydawało, dość spokojnej.

Mężczyzna mógł mieć ze czterdzieści pięć lat. Był nieco rudawym blondynem, z jasną cerą upstrzoną piegami. Wysoki, nieco przygarbiony, ubrany we flanelową koszulę w czerwono-czarną kratkę, jasne bawełniane spodnie i czarną czapeczkę z daszkiem, sprawiał bardziej wrażenie kogoś z obsługi niż turysty. Mówiąc, nieco podnosił głos, ale to było zrozumiałe, dzieliła ich odległość, a wiatr śpiewał melodię wyspy.

Agnieszka miała ochotę przysunąć się bliżej, ale uznała to za zły pomysł, bowiem on nie uczynił nic, by ją ośmielić. Wstała, zeszła po skałach na brzeg i przechodząc przez teren wioski, zajrzała do paru domków. Stało tam ich kilkanaście, obeszła wszystkie uliczki, zajrzała na cmentarz, potem przysiadła w imitacji portu i przejrzała zdjęcia z wycieczki. Wioskę budowano przez siedem miesięcy, ale film, który powstał w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, nie odniósł sukcesu, mimo że w główną rolę wcielił się Robin Williams.

Wreszcie wróciła na przystanek. Spojrzała na rozkład jazdy. Niestety, następny autobus do portu Cirkewwy miał przyjechać dopiero za godzinę. Usiadła na piasku i rozłożyła mapę. Do Cirkewwy było ponad sześć kilometrów, jeśli pójdzie szybko i trochę pobiegnie, dotrze tam dużo szybciej niż autobusem. Wstała i ruszyła w drogę.

– Dziewczyno, zatrzymaj się – usłyszała.

– To pan?

– Gdzie jedziesz?

– Na Gozo.

– Ja też.

Agnieszka pomyślała, że jeśli się zatrzyma, mężczyzna zechce się przyłączyć i opóźni jej marsz.

– Muszę być tam przed czternastą.

Mężczyzna spojrzał na zegarek.

– A ja przed wpół do czternastej. Możemy spróbować iść razem, ale pamiętaj, jeśli nie dotrzymasz mi kroku, będę egoistą i zostawię cię w połowie drogi.

– Autem byłoby z dziesięć minut jazdy.

– Ale nie jesteśmy autem, więc nie ma co gadać.

– Zazwyczaj nie mówię tyle. Ale kiedy ktoś pozostawia pustkę i nic nie mówi, wtedy... słowa...

– Słowa... One nie zawsze są potrzebne.

Czuła, że powinna ograniczyć rozmowę z mężczyzną do minimum, bo dla niego droga na pewno miała być czasem kontemplacji.

– Jasne – powiedziała po chwili, żeby zabić przedłużające się milczenie.

– Kiedyś inaczej postrzegałem życie.

Agnieszka pomyślała, że jej „kiedyś” i „teraz” też się nieco różnią. U każdego jest jakiś progres. Patrzyła na pole wyschnięte do cna.

– Od pewnego czasu zmieniłem system wartości – kontynuował mężczyzna. – Nie gonię, nie uciekam, biorę to, co mi daje życie. Nie muszę się starać, bo i po co. Nie boję się, że popadnę w biedę, że stracę majątek, bo... i tak stracę. Niczego się już nie boję. Jestem najspokojniejszym człowiekiem na świecie. Bogactwo, posiadanie, to nędza świata, wewnątrz człowieka, dobro, prawda, godność i piękno, to jest najważniejsze.

Agnieszka przystanęła.

– W ten sposób rozumując, nie ma się motywacji.

– Wprost przeciwnie. Mam czas, żeby pomyśleć, jak być lepszym, żeby poznać świat zwierząt i odrzucić znajomości z ludźmi niedobrymi.

– Jak panu na imię?

– Roman, bez pan.

– Agnieszka. Powiesz mi, co się stało, co było przedtem, skoro używasz słowa „teraz”?

– Wiele rzeczy, ale zaczęło się mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu...

– Mów, tylko naprawdę idźmy szybciej. Nie żartowałam, promy, zdaje mi się, płyną co pół godziny. Nie wiem, jak się po przeprawie dostanę do Marsalforn.

– Na Gozo autobusy jeżdżą rzadziej niż na Malcie, najlepiej skorzystaj z Sightseeing, zapłacisz siedemnaście euro, a niechby nawet dwadzieścia, przy przeprawie promowej wsiądziesz i wysiądziesz gdzie chcesz. Ja jadę do Ta Pinu.

– Co to? Nie słyszałam.

– To posłuchaj. Mieszkająca w tamtej okolicy rolniczka Karmni Grima pewnego razu doznała objawienia. Zwierzyła się z tego sąsiadowi, okazało się, że i on miał podobne, po czym wyzdrowiała jego ciężko chora matka. Za jakiś czas oficjalnie ogłoszono cudowność miejsca, zbudowano wielką bazylikę i odtąd zaczął się tam ruch pielgrzymkowy.

– Dużo wiesz. A dlaczego tam jedziesz?

– Mam jeszcze sporo do obgadania ze świętymi.

Robiło się coraz goręcej, szli ścieżką na skróty, wśród skał i po wysuszonych roślinach. Nie było

gdzie uciec do cienia.

– Dobrze się czuję na Malcie – kontynuował Roman – dlatego wracam, zawsze znajdę coś nowego, a musisz wiedzieć, że to już mój czternasty raz. Podoba mi się, że to jest katolicki kraj i że ma bogatą przeszłość. Pierwszy raz przyleciałem do Valletty w latach dziewięćdziesiątych tylko po to, żeby wziąć udział w obchodach Świąt Wielkanocnych. Nie zawsze byłem religijny. Wypadek zmienił we mnie wszystko.

– Wypadek cię zmienił? Miałeś mi o sobie powiedzieć.

– Będąc kilkadziesiąt lat temu w Kanadzie u rodziny, postanowiłem dostać się do USA. Nie miałem wizy, więc pozostały mi sposoby nielegalne, to miało być jak przygoda, przy okazji chciałem lepiej zarobić. Niestety, o tym, co mnie czekało, nie miałem bladego pojęcia.

– Już się boję. Dlaczego nielegalnie? – Agnieszka się zatrzymała. Już nie miała przymusu spieszenia się na prom. Teraz jej priorytetem stała się historia Romana.

Mężczyzna westchnął.

– Jak to powiedzieć? Poskładało się. Przede wszystkim chciałem tam pracować, w USA można było zarobić większe pieniądze niż w Kanadzie. Poza tym mało co mnie hamowało, byłem typem cwaniaczka, dla którego nie było przeszkód. No, ale też miałem powody. Wiesz, jak wtedy było w Polsce? Pewnie cię jeszcze na świecie nie było.

– Byłam!

– W pieluchach – uśmiechnął się Roman. – Balcerowicz schładzał gospodarkę, a ja, podobnie jak spora banda głupców, założyłem swoją firmę. Ale co z tego, jak w ogóle nie miałem zleceń. Nic.

– Dwu-, trzylatka nie czuła schładzania – zażartowała Agnieszka.

Roman pokiwał głową i lekko się uśmiechnął. Miał krótkie, jakby spiłowane zęby i wąską szczękę.

– Wyjazd miał być dla mnie szansą. Chciałem zarobić na przyjemności, ale najbardziej na remont rodzinnego domu. Liczyłem, że zostanie mi jeszcze sporo dolarów, żeby pospłacać rodzeństwo, a wtedy sam zostanę w rodzinnym domu. No, nie całkiem sam, razem z przyszłą żoną, z dziećmi i z matką.

– Zarobiłeś?

– Tak, ale po kolei... Granicę kanadyjsko-amerykańską mogłem przekroczyć dwojako, przez Niagarę, tam się miesza z turystami, wejść do jakiegoś autobusu, udawać jednego z nich. Ale to było ryzykowne, bo śmiałków jak ja było wielu, a policja nie była w ciemną bita. Musiałem wziąć ze sobą bagaż, w końcu to była wyprawa życia, a w Stanach chciałem spędzić kilka lat... Bagaż na pewno by mnie zdradził. Mogłem też spróbować przekroczyć granicę przez w miarę płytkie jezioro na rzece Świętego Wawrzyńca, ale to też było ryzykowne. W końcu dotarłem do ludzi trudniących się przemytem śmiałków takich jak ja. Owszem, to kosztowało, ale rodzina mi pomogła. Usługa przerzutu zawierała szeroki pakiet, również dowóz pod wskazane miejsce. Mleko się rozlało, o niczym innym już nie myślałem, można powiedzieć, że to była konieczność. – Roman uśmiechnął się do swoich myśli. – W umówionym miejscu byłem o czasie, wsiałem do umówionego tira, który wiozł do USA drewno, tak to miało wyglądać. Nie byłem sam, drugim nieszczęśnikiem był Albańczyk. Po drodze było sporo strachu, ale po kilkunastu minutach gładko przekroczyliśmy granicę. Kierowca zatrzymał auto na parkingu parę kilometrów od granicy. Kazał mi iść kilometr do przodu, gdzie na kolejnym parkingu czekać miał szary chrysler. Po dziesięciu minutach to samo miał zrobić Albańczyk.

* * *

Elle

Theo był w szpitalu. Elle pojechała, ale nie weszła do sali, w której leżał, zajrzała tylko przez szybę. Przyczepiony wenflonem do kroplówki i jednocześnie przewodami do aparatury monitorującej

pracę serca, niewiele mógł. Wyglądał jak u kresu życia. Chyba spał, ale policzki miał zapadnięte, szpakowaty kilkudniowy zarost też nie dodawał mu wyglądu zdrowego człowieka. Od lekarza dowiedziała się, że przeszedł stan przedzawałowy i czeka go koronarografia. Wtedy się dopiero okaże, czy potrzebne będą stenty, by-passy, czy wystarczy jeszcze farmakologia. Elle czuła się winna, to ona go zdenerwowała, choć na pewno tego nie chciała.

Poprosiła pielęgniarkę, żeby przekazała Theo kosz ze smakołykami, jaki dla niego uszykowała. Była w nim również sałatka z krewetek. Nie lubił jej, co prawda, wołał dobrze wysmażoną jagnięcinę, ale Elle bała się, że ciężkostrawne mięso może mu zaszkodzić. W sałatkę z krewetek włożyła serce, dużo jogurtu i ananasa.

Po powrocie do domu nie mogła sobie znaleźć miejsca. Na domiar złego zadzwonił Daniel.

– Elle, potrzebuję pieniędzy!

– Na co? Ile?

– Muszę zapłacić za towar, bo inaczej kucharze nie będą mieli co podać.

– Do cholery! Kiedy ty wreszcie dorośniesz?

– To nie tak. Nie wiem, co się stało!

– Jak to co? Przypomnij sobie wreszcie, gdzie są pieniądze.

– Przyjedź, wszystko ci powiem, tylko uratuj mnie! To ostatni raz. Kocham cię i ty mnie kochasz!

W tamtym momencie zrozumiała, jak ubogie życie ostatnimi laty wiodła. Bez zaufania, bez szczerości, bez głębszych uczuć. Jakiś erzac. To nie mogła być miłość. Jeżeli wołała siedzieć przy łóżku Theo, zamiast ratować Daniela, najwyraźniej nie kochała męża. Stała na krawędzi, jak wieczorem na swoim klifie. Mogła nie oglądać się za siebie i rzucić się do oczyszczającej wody, poczuć świeżość. Mogła też odwrócić się, zamknąć drzwi i wtedy postanović. Wybrała to drugie rozwiązanie.

Kupiła bilet na samolot i kolejnego dnia postawiła stopę na maltańskim lotnisku Luqa.

Daniel tym razem nie czekał na nią na lotnisku, przysłał taksówkę. Niemłody kierowca próbował po drodze bawić Elle dowcipami, ale nie miał szans wywołać na jej twarzy nawet śladu uśmiechu. Bała się o Theo, wyrzucała sobie, że go źle potraktowała, nie zasłużył na to. Na pewno nie miała prawa wyśmiewać jego uczuć. To było żalodne, a zarzucając mu zazdrość, właśnie tak postąpiła. Zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby Theo umarł. Z piersi wyrwał jej się szloch, ale go opanowała.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, tak, jest okej.

Malta to mała wyspa, więc po kilkudziesięciu minutach wysiadła przed restauracją Daniela. Tablica z nazwą restauracji wisiała smętnie na jednym gwoździu. Przez szybę auta widziała pustki przy stolikach, a w głębi dwóch mężczyzn i mocno gestykulującego Daniela. Z daleka można się było domyślić, kto z tych trzech jest w regresie. Wysiadła z gardłem ściśniętym złością.

– Jesteś wreszcie! Panowie, to moja żona. Długo kazałaś na siebie czekać. Masz kasę?

– Bądź tak dobry i wyjdź. Mam do porozmawiania z panami, nie z tobą.

Nie poznawała siebie. Jeszcze do tego nie wierzyła, że może być tak zdeterminowana. Mężczyźni nie wyglądali jak łagodne baranki pasące się na zielonej łączce. Prowadziła interesy, może i małe, restauracja też nie była spółką giełdową, ale nigdy, przenigdy takich typów nie spotkała na swojej biznesowej drodze.

Kwota była olbrzymia. Za co? Ta informacja o mało nie sprawiła, że Elle padła trupem. Część pieniędzy miała ze sobą, na część drugą umówiła się za dwie godziny. Gdy brakującą resztę podejmie z banku, niewiele jej zostanie oszczędności, będzie musiała radykalnie ograniczyć wydatki i być może wziąć kredyt. Poza tym musi zlikwidować konto, na którym trzymała pieniądze dla Danki Wrońskiej. Wyszła z restauracji, nie dbając, że zostawia Daniela razem z czekającymi na drugą część pieniędzy drabami.

Musiała się przejść i pomyśleć. Usiadła na ławce na drugim końcu wybrzeża. Kolorowe *luzzu* bujały się na wodzie. Jakże je lubiła. Jakże lubiła tę niewielką wioskę! Rybacy zwijali sieci, niebo było błękitne, a na nim widniały nieliczne bielutkie cumulusy. Mogło być tak pięknie. Jakże się rozczarowała. Nawet nie była na Daniela wściekła, coś wygasło. Mogło wygasnąć wcześniej, tak byłoby lepiej, ale

widocznie potrzebowała bardzo wyraźnych dowodów. Powinna wcześniej wziąć Daniela w karby, o ile kiedykolwiek było to możliwe. Musiał już lata temu być w nałogu. Dobrze się kamuflował, a może ona nie miała pojęcia o teatrze uzależnionych.

– Cześć, co tak siedzisz? – Martita szturchnęła ją w łokieć.

– Mogłaś, a nawet powinnaś powiedzieć mi całą prawdę. To było ważne, głupotami można manipulować, ale nie takimi oskarżeniami!

– To nie jest takie oczywiste.

– Wiedziałaś?

– Wszyscy wiedzieli. Myślałam, że i ty wiesz. Byłam pewna, że się na to godzisz.

– Wyglądam, jakbym uciekła głuptakom?

Nie rozmawiały więcej, niż przyjaźni zmieszała się z morską bryzą, pękła i poszła w powietrze.

Elle wracała z banku, kiedy zadzwonił Daniel. Odebrała telefon bez emocji. To już było za nią.

– Zapłacisz resztę?

– A jak myślisz?

Nic nie powiedział.

Oczywiście zapłaciła.

Długo tego wieczora rozmawiali. Wreszcie przyznał się do hazardu i pokazał jej księgi restauracji. Długów było mnóstwo, w zasadzie trzeba by sprzedać dom i restaurację i jeszcze pewnie by zabrakło. Elle milczała, a Daniel płakał. Zgodził się na rozwód i przyrzekł jej, że wyjedzie z Europy.

Elle wracała na Korfu. Była akurat na lotnisku, kiedy zadzwonił Nestor Junior i dramatycznym tonem powiedział do słuchawki:

– Mamo! Kiedy wrócisz? Theo chce z tobą rozmawiać?

– Umiera?

Zapadła cisza.

– Czy Theo umiera? Pytam się. Powiedz mi prawdę.

– Mamo, jeśli mówię, że Theo chce z tobą rozmawiać, to nie mówię, że umiera. Jest po zabiegu, chyba wszystko jest dobrze.

– Ależ mnie przestraszyłeś!

Łącząc na Korfu, pomyślała, że dość lotów w tę i z powrotem. Dość napędzania liniom lotniczym zysków. To tutaj jest mój dom. Potrzebuję stabilności, potrzebuję przyjaciół. Chcę produkować wino, wynajmować turystom apartamenty, dbać o klientów i cieszyć się z drobnych sukcesów.

Theo. Zadbam o niego. Koniec wariactwa.

Z lotniska pojechała prosto do szpitala. Theo był wzruszony jej obecnością. Miał skruszoną minę. Wolą go takim. Ona była Balafas, on Theo, ale wiele by dała, żeby nie istniała sieć zależności. Wtedy byłoby jak dawniej. Siedzą razem na patio i przekomarzają się na temat uprawy winorośli, przy czym Theo na ten temat wie od Elle znacznie więcej.

Usiadła przy łóżku przyjaciela, chwyciła go za rękę. To była ciepła dłoń, miła, ale szorstka od pracy, co ceniła. Ileż to razy chwytała za tą samą gałąź winorośli do przycięcia! Ileż to razy zderzali się nożycami!

– Elle. Muszę ci coś powiedzieć. Tak, miałaś rację, jestem o Daniela zazdrosny. On na ciebie nie zasłużył. Przepraszam cię za wszystko.

Po co przepraszać? Daniel był, ale już go nie będzie. Theo miał rację, znów miał rację, jak w kwestii uprawy winogron, jak w kwestii wyboru sadzonek, gdy ucierał jej nosa, kiedy sprzeczała się, że wino już jest dobre, tymczasem Theo wołał, żeby powstało dłużej. Daniel? Co on wie? Niewiele. To gówniarz!

– Wiem, Theo, wiem, już wszystko wiem. Daniel to hazardzista, właśnie spłaciłam część jego długów. Jestem idiotką, ale do czasu. Teraz musi radzić sobie sam.

– Na pewno? – Ścisnął jej rękę.

– Tak. Teraz musi sobie radzić sam – powtórzyła.

– Jestem stary...

– Dojrzały jesteś, mój drogi, dojrzały.

– Leżąc w tym łóżku, zrozumiałem, że mogę umrzeć. Tak łatwo jest odejść w ciszy... Na końcu życia człowiek staje się odważniejszy.

Chwytał ją za rękę i splótł ze swoją.

– Kocham cię, Elle. Kocham od dawna! – Powiedział to nadzwyczaj pewnym głosem. Sprawilo jej to radość. Taki stan uczuć był naturalny. On zawsze był przy niej, zawsze mogła na nim polegać.

– I gratuluję ci tak zdolnego syna.

Zdziwiła się.

– Nestor dostał się na studia aktorskie. Był u mnie rano. Nie wiedziałaś, że złożył papiery?

Westchnęła.

– Będziemy musieli poukładać nasze sprawy – powiedziała.

Sprawę rozwodową zleciła adwokatowi, nie chciała widywać się z Danielem. Rozwód orzeczono na drugiej rozprawie. Nic ich nie łączyło, ani majątek, ani dzieci. Po pół roku Daniel przysłał jej e-mailem adres w Nowym Jorku.

Elle uwolniła się od Borgów. Cieszyła się wolnością. Razem z Theo pochowali Ninę obok brata. Niech spoczywają w spokoju. Byli przyjaciółmi, no, może bliższymi niż kiedyś. Znów, wzorem lat młodości, ale już znacznie starsi, znacznie spokojniejsi, spacerowali wśród rzędów winorośli, przekomarzając się. Taka już była ich uroda. Trzeba było wyciąć stare drzewka, nasadzić nowe. Dyskutowali, które odmiany i czy w ogóle.

Wieczorami, dopóki było ciepło, jak kiedyś z Nestorem, siadała z Theo na tarasie nowego domu na klifie i rozmawiając o synach, których traktował z miłością, jakby był ich ojcem, pili wino.

Po dwóch miesiącach spokój Elle został zburzony. Odwiedził ją brat Daniela, przyjechał razem z matką, niegdyś wyniosła panią Borg. Już nie była wyniosła, wiek i rozczarowania sprawiły, że się skurczyła, zmalęła.

Michael zawsze był rzeczowy i można było na nim polegać, w przeciwieństwie, jak się okazało, do Daniela. Elle spotkała się z nim zaledwie parę razy, ale wiedziała, że to rodzaj człowieka, z którym na pewno znalazłaby wspólny język.

– Pozdrowienia od Chiary. Musisz kiedyś do nas przyjechać.

– Też ją pozdrów. Nadal pracuje?

– Tak, jeszcze pięć lat. Ładnie mieszkasz. Widoki świetne.

– Dziękuję.

– Pewnie się zastanawiasz, po co przyjechaliśmy. – Nie czekał na odpowiedź – Chcemy cię prosić, żebyś pomogła nam wyjść z tej sytuacji. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Daniel jest hazardzistą. Gdybym wiedział, nigdy w życiu bym mu nie powierzył majątku. Wiesz, że majątek nie jest podzielony i dom w Marsaxlokk należy do matki i do nas? Każdemu z nas się należy w ułamkach. Podobnie jak i dom w Marsalforn na Gozo. Mamy konkretną propozycję. Wyciągniesz nas z długów, a my przeżemy ci dom w Marsalforn. Wprawdzie wymaga remontu, ale to dobre miejsce. Powinnaś go zobaczyć.

– No nie wiem. Znów mam kursować między wyspami? Prawdę powiedziawszy, już mi się nie chce.

– Ty mnie nigdy nie szanowałaś. Nigdy nie pomyślałaś, żeby mi pomóc – odezwała się seniorka Borg.

Elle poczuła złość. Mogłaby w takiej sytuacji zejść ze swojego poziomu, pozycja byłej teściowej mieściła się już na znacznie niższym poziomie drabiny.

– Michael, powiedz jej coś. Niech mnie uszanuje – nie odpuszczała kobieta.

– Mamo. – Położył rękę na jej ramieniu, a kobieta jakby zmalęła i zaczęła chlipać.

– Szanowałam, tylko tak się to wszystko poukładało, że nie miałyśmy okazji się zaprzyjaźnić – powiedziała Elle, jedynie co do tych okazji mijając się z prawdą. Nieraz mogła pojechać do teściowej, nawet powinna. To w jej domu się urządziła, to z jej domu korzystała, gdy była u Daniela. Mogła czasem

zapytać męża o matkę, nigdy tego nie zrobiła. Nawet nie sprawdziła tego, co po ślubie powiedział jej Daniel, że mama chce się przenieść do Marsalforn. A może to wszystko było kłamstwem, jak i wiele innych?

– Tak się to poukładało... – dodała, widząc, że była teściowa chusteczką osusza łzy. – Czasem tak bywa, mimo że nikt nie ma takich zamiarów. Ja nie miałam, proszę mi wierzyć.

– No, dobrze. – Seniorka Borg wyglądała na udobruchaną.

Michael odsapnął, po czym wyraźnie zadowolony z rozejmu kobiet położył przed Elle dokumenty.

– Zastanów się.

Michael i matka Borg pojechali, a Elle i Theo zaczęli szacować przedsięwzięcie.

Po paru godzinach dyskusji, po omówieniu wszystkich za i przeciw, na przykład obciążenia pracą zdrowia Theo, mężczyzna się zgodził. Elle również przystała na propozycję Borgów. Dla niej to było miejsce sentymentalne, a Theo chciał jej w tym pomóc. Pozostał tylko wylot na Malte, a raczej na Gozo, do Marsalforn. To miejsce miało być zapłatą za ich pracę.

Polecieli tam razem.

* * *

Roman przysiadł na skale i wyjął z plecaka butelkę z wodą. Agnieszka zapomniała, że jeszcze kilkanaście minut wcześniej się spieszyła. Idąc, nie spotkali po drodze nikogo, a nastrój tajemniczy i jej się udzielił, ciekawość nie pozwalała jej zostawić towarzysza podróży i iść w drogę samej. Usiadła obok i z plecaka wyjęła torebkę z orzechami, udając opanowanie, chociaż jej serce biło mocno z podniecenia. Było jej obojętne, o której dotrze do hotelu, zaciekawienie wygrało z pragmatyzmem. Zmusiła się do cierpliwości.

– Skusisz się? – Podała torebkę z orzechami Romanowi.

– A, daj, choć po nich zawsze chce mi się bardziej pić.

– No, racja, tyle że orzechy dodają siły, a woda nie. Chyba jestem od nich uzależniona.

– Od czegoś trzeba być – uśmiechnął się. – Ja od Boga i od chrześcijaństwa, ty od orzechów.

Zaśmiali się oboje.

– I co dalej? Co wtedy się stało? – zapytała Agnieszka. W Kletnie nazywali ją małym szpiegiem, a raz nawet usłyszała, że jest inkwizycyjnym prokuratorem. Te czasy minęły, złagodniała, nie była już prokuratorem, ale dociekliwość pozostała.

– Dalej już było tylko gorzej. – Wstał z kamienia, otrzepał spodnie, Agnieszka zrobiła to samo. Połała kilka kropel na papierową chusteczkę i zwilżyła sobie kark. Gdyby wiedziała, co się tego dnia wydarzy, założyłaby białą bawełnianą bluzkę bez rękawów, a nie czerwoną z grubego lnu.

– Gorzej? – Pytaniem popędzała Romana.

– W aucie okazali się być Polacy, ona miała może ze trzydzieści lat, on był niewiele starszy. Pewnie byli parą, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zapytali, dokąd chcemy jechać, padło, że do New Jersey, to jakieś trzysta kilometrów autostradą. Ruszyliśmy. Przed nami jechała amerykańska osiemnastokółowa ciężarówka. W dziwny sposób jechała, nierówno i tak z pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, może mniej, może więcej. – Roman zamilkł.

– I co dalej? – nie wytrzymała Agnieszka.

– Co dalej? Obudziły mnie słowa Polaka, który siedział obok żony na przednim siedzeniu: „Wyprzedź go, niepewnie jedzie, na pewno jest pijany”. Spojrzałem za okno w momencie, gdy kobieta wyprzedzała ciężarówkę. Kierowca ciężarówki przyspieszył. Jechaliśmy kilka kilometrów kabina wabinę. „Wyprzedź go”, powtórzył mężczyzna. Kobieta mocno wcisnęła gaz i wyprzedziliśmy ciężarówkę. Tak na dobre wystraszyły mnie słowa faceta: „Dogania nas, skurwiel!”. Potem słowa

kobiety: „Puszczę go!” Rzeczywiście, zwolniła. Było nerwowo, ale ciężarówka też spasowała. Przyspieszyliśmy, ciężarówka znów zrównała się z nami i zjechała na nasz pas. Z przerażeniem patrzyłem, jak szpilkami rysuje nasze auto. Nie było gdzie uciec, z prawej strony barierki i praktycznie przepaść. Trak dalej nacierał i zrywał prawy bok naszego auta, schowałem głowę między fotelami, czułem, że kobieta zwalnia i zjeżdża w prawo, trąc o barierki. „Uciekaj”, wołał mężczyzna. „Uciekaj, ciśnij gaz i uciekaj!” Podniosłem głowę. Było sto osiemdziesiąt na liczniku, spojrzałem w lewo, trak zajeżdżał nam drogę. „Hamuj!”, krzyknął mężczyzna. Nasze auto wpadło w poślizg i kilka razy obróciło się na drodze. Byłem jak na huśtawce. Nieważkość, uwierz mi. Spowodowana alkoholem czy obracaniem się samochodu na drodze jest podobna.

– Nigdy mi się taki dramat nie przydarzył.

– Mnie też. Wtedy nie straciłem zimnej krwi i powiedziałem sobie na głos: „Boże, to się nie może tak skończyć!”. Widziałem migawki, jadące z naprzeciwka tiry, ostro hamujące, czułem zapach gumy i widziałem niebieskie płomienie gumy trącej o podłoże... „Boże, to się nie może tak skończyć!” Jakież to są proste słowa. „To się nie może tak skończyć!”

Agnieszka nie zwróciła uwagi, że doszli już do głównej drogi. Przestraszyło ją auto wyjeżdżające zza zakrętu.

– Spokojnie, dziewczyno! Nic się nie dzieje!

– Sugestia.

– Podobno to były cztery dni. Cztery dni błędnego stanu. Widziałem wszystko, co obok mnie się działo, ale jakby z zewnątrz. Wpatrywałem się na przykład w taki punkt, maleńki punkt, czarny, przesuwający się, kurczył i rozszerzał, wydawał jakieś dźwięki. Ten punkt był zawieszony nade mną, nic innego nie widziałem. Tylko ten punkt. Przypatrywałem się, wysilałem wyobraźnię, nie przestawałem. W którymś momencie zdałem sobie sprawę, że to nie jest żaden punkt. To jest moje serce! Wyraźnie słyszałem jego bicie. Potem doszły inne dźwięki. Słyszysz czasem przelewanie się wody z wiadra i co myślisz? Że to woda z wiadra. Też wyraźnie słyszałem takie przelewanie. A to krew w moich żyłach się przelewała! Życie tak brzmi. Moje życie, twoje, nasze. Gdy to odkryłem, było mi błogo i dobrze. Nic mnie nie bolało, nic mnie nie martwiło, nic mnie nie denerwowało, błogość. To podobno były cztery dni. Cztery dni byłem zawieszony ponad tym wszystkim.

– Jak się skończyła ta historia?

– Bólem. Ta historia skończyła się bólem. Gdy już doszedłem, że jestem zawieszony gdzieś ponad ciałem, zacząłem wsłuchiwać się w zewnętrzność. Ktoś mnie wołał po imieniu. To był męski głos. Poczulem ból i takie uczucie, jakby cię wkładali w za małą formę, w za małą skrzynię, jakby chciał ci ktoś wcisnąć stopy w za małe buty. Usiadłem na łóżku, przerażony, że muszę wrócić w tamte niedobre miejsca, że wielki tir będzie tarł szpilkami o nasze auto, że znów się będę bał. Usiadłem na łóżku i poczułem, że... Pielęgniarka wyciąga spode mnie basen!

– Nie mam słów.

– Też nie miałem. Ale zacząłem krzyczeć, że ja sam, ja sam. „Doktorze, obudził się, wreszcie!” To i ja wiedziałem. To samo wiedziałem, ale jakby z gazet, z opowieści, z zewnątrz.

– To prawda? Nie wymyślasz?

– Nie. To był bardzo głośny wypadek, a kierowca tira chyba do dzisiaj nie wyszedł z więzienia. Tłumaczył się, że zdenerwowało go to, że go kobieta wyprzedza. Chciał jej dać nauczkę. Tylko dać nauczkę. Podobno nie miał morderczych instynktów. – Roman westchnął.

– Współczuję.

– Wtedy wymazała się z mojej pamięci większość wcześniejszych zdarzeń. Wiedziałem, że były, ale nie były już ważne. Wiesz, czasem za bardzo się nad sobą zastanawiasz, to egzaltacja, znasz taki stan?

– Pewnie.

– Od tamtego czasu zacząłem brać życie takim, jakie jest, oczywiście poczucie niepamięci szybko zniknęło, znów mam wiele zdarzeń w głowie, znów za bardzo rozpamiętuję, ale jest inaczej niż kiedyś... Zacząłem kochać zwierzęta, wszystko, co stworzeniem się zowie. Nie jem mięsa i jakoś mi z tym dobrze.

- Nie wątpię.
- A ty? Masz jakieś autorytety? Coś? Odszkodnię?
- Nie mam.

– Dla mnie autorytetem jest pewien człowiek, którego spotkałem w Stanach. Zwyczajny człowiek, drwal. To on do mnie dotarł. Powiedział, że powinienem postarać się zrozumieć siebie. Jak to? Byłem po wypadku, spędziłem dni bez świadomości, zobaczyłem swoją duszę, miałem rozdwojenie świadomości. Wydawało mi się, że wiele doświadczyłem, lata emigracji, a on, taki prosty człek, mi wmawia, że nie rozumiem siebie. Ale pochyliłem się nad jego słowami i doszedłem do wniosku, że ma rację. Nigdy go już więcej nie spotkałem, ale ta jedna chwila wystarczyła za setki nieważnych godzin.

Szli w milczeniu. Duży biały prom był już widoczny, stał na nabrzeżu. Agnieszce w uszach brzmiały słowa Romana. Stanęli przy wejściu na prom, Agnieszka rzuciła plecak na ławkę.

– Zapytam hipotetycznie. Czy gdybyś wiedział, co się wtedy wydarzy, zdecydowałbyś się jeszcze raz wejść w taką sytuację?

– Nie jestem pewien. Ale że co? Gdybym wiedział, że przeżyję?

– Tak. Gdybyś wiedział, że przeżyjesz i spotka cię wszystko to, co wtedy.

Długo myślał. Przy wejściu na prom był tłok, znaleźli się w dwóch różnych miejscach. Odnaleźli się dopiero za parę minut. Roman podszedł i usiadł obok Agnieszki.

– Zapytałaś mnie o coś ważnego. Pamiętasz swoje pytanie?

– Oczywiście. Zapytałam cię, co byś zrobił, gdyby to jeszcze raz ci się przytrafiło.

– Tak. I jestem pewien, że powtórzyłbym tę sytuację. Doświadczyłem czegoś wyjątkowego, chciałbym to powtórzyć. Dzięki temu jestem inny.

Roman wstał i poszedł na dziób. Agnieszka siadła przy stoliku w części zamkniętej, obok dwóch dziewczyn ze słuchawkami w uszach. Jedna, jak wielobarwny motyl, jakby przeniesiona z czasów dzieci kwiatów, w kwiciastej spódnicy składającej się z kilku warstw, na plecy narzuciła chustę w stylu boho, z kolorowymi koralikami. Druga, wychudzona, w czarnym skórzanym płaszczu. Absolutne przeciwieństwa. Jadą razem, znają się, bo w pewnym momencie jedna upiła kawę z kubka drugiej, ale nic do siebie nie mówią.

Prom jeszcze nie ruszył. Agnieszka się rozglądała. Stojąca przy oknie ładna i szykowna kobieta głośno rozmawiała przez telefon. Aga wsłuchiwała się w jej głos, ale niewiele rozumiała. Ciemnowłosa facet koło czterdziestki, w kaszkiecie w czerwono-czarną kratkę, pisał coś zawzięcie w smartfonie, pewnie odpowiadał na SMS-y. Głośna aria z „Carmen”, dochodząca z drugiej części promu, prawie postawiła Agę na nogi. Dopiero po chwili zorientowała się, że to tylko telefoniczny brzęczyk.

Prom ruszył, motory wydały dźwięk, przy którym rozmowy i telefoniczne dzwonki stały się niesłyszalne. Agnieszka wstała i wyszła na rampę widokową. Było tam niewiele osób, wiał bardzo silny wiatr, podnosił do góry wiatrówkę Agi. Musiała się zapiąć i osłonić głowę szalem.

Próbowała wypatrzeć po prawej stronie kawałek Błękitnej Laguny. Mówiono, że przez moment będzie ją widać. Rzeczywiście, dostrzegła skrawek szmaragdowo-turkusowego morza, powinna tam popłynąć, ale.... To było zbyt romantyczne miejsce, żeby być tam samej.

Wysiadła z promu, rozglądając się za Romanem. Promem podróżowało mnóstwo osób i zniknął jej w tłumie. Zaraz przy porcie stał zielony piętrowy autobus z odkrytym dachem. Gozo Sightseeing. Wiedziała, na czym polega wycieczka po wyspie z tą firmą. Można wysiąść w dowolnym miejscu i wsiąść do następnego autobusu. Niektórzy w ten sposób zaliczają w ciągu dnia wszystkie warte odwiedzenia miejsca.

Wzięła do ręki ulotkę z zaznaczoną trasą. Spojrzała na zegarek, było około pierwszej. Marsalforn, dokąd jechała, miało być według rozkładu czwarte. Postanowiła przejechać parę miejsc i potem przesiąść się do autobusu jadącego w stronę przeciwną. Pierwsze będzie Ramla Bay, wysiądzie też przy Azure Window i w Xlendi. To drugie miejsce, po zaważeniu się znacznej części lazurowego oka w marcu, przyciągać zaczęło większe rzesze nurków, ale dla kolekcjonerów widoków straciło na atrakcyjności. Kiedyś kręcono tam sceny do ulubionego serialu Agnieszki, „Gry o tron”, i do „Hrabiego Monte Christo”. Przed zachodem słońca powinna dostać się do hotelu w Marsalforn. To wszystko za

dwadzieścia euro.

Wsiadła do autobusu i przeszła na górną platformę, gdzie znalazła jedno wolne miejsce, i to na przedzie. Gdy autobus ruszył, założyła na głowę czapkę i słuchawki na uszy, wsłuchując się w słowa przewodnika opowiadającego o mijanych zabytkach. Plaża Ramla Bay już z góry okazała się magiczna, pomarańczowy piasek i szafirowe morze zapamięta na zawsze. Zeszła stromą kamienistą ścieżką, uważając, by nie zdeptać roślin i kwiatów. Na plaży było kilka osób. Stała obok starej kobiety; rzucała psu patyk, który on karnie przynosił z powrotem. Obie patrzyły na dużego białego labradora.

– Leniwy taki... – powiedziała kobieta do Agi.

– Raczej dziarsko wygląda jak na te psy. Moja koleżanka miała labradora, w ogóle nie chciał wychodzić na dwór.

– Mój nie lubi siedzieć w domu, raczej woli ogród.

– Ta moja koleżanka mieszka w bloku, to inna sprawa.

– Pewnie była pani na Comino, bo widzę opaleniznę. Wszystkim polecają Comino, a przecież tyle u nas ładnych miejsc.

– Racja, w porcie w Sliemie nie mogłam przejść, bo co rusz mnie ktoś namawiał na rejs. Warto tam popłynąć?

– Warto, Błękitna Laguna jest cudna, przy lagunie są cztery godziny leżenia w programie wycieczki. Ale ja tam nigdy nie byłam, słyszałam tylko, że warto.

– Skąd pani jest? Z Gozo?

– Z Valletty.

– Ładne miasto. Zwiedziłam, ale jeszcze raz pojedę.

– A ty skąd?

– Z Polski.

Przy Azure Window wiatr wiał tak mocno, że mógł ją zdmuchnąć do morza. Usiadła na skałach i chłonęła potęgę morza, wyobrażając sobie, jaka siła wiatru mogła zdmuchnąć do morza olbrzymie skały. To już nie było Azure Window. Szkoda. Mimo to zeszła jej tam sporo czasu, ledwie zdążyła na przedostatni autobus. Nigdzie więcej już nie zdążyła, sporo wrażeń jak na jeden dzień.

* * *

Siedziała na tarasie apartamentu w Marsalforn. Potrzebowała tej odrobiny luksusu. Duży pokój był wyposażony w eleganckie meble i łóżko z ramą z kutego żelaza. Z balkonu rozciągał się niczym niezamknięty widok na Morze Śródziemne. Nie dałaby się w takich okolicznościach przyrody zamknąć w pokoju bez tarasu i bez widoku. Bez tarasu mogła mieszkać na Hubach Moraskich. Pociągnęła łyk wina. Kupiła to, na które namówiła ją dziewczyna w nieco uśpionym sklepie przy plaży. Potem musiała jeszcze dokupić korkociąg, bo nie zabrała swojego z hotelu w Sliemie. Tyle już widziała, tyleż ciekawych okoliczności. Komu o tym opowiedzieć? Tak bardzo zapragnęła pogadać z kimś o widokach, o ludziach, w ogóle o podróży. Co warte wrażenia, jeśli nie ma się nimi z kim podzielić?

Może i za dużo wypiła, może jej emocje zostały poddane działaniu procentów? Może ten dzień okazał się przełomowy? Myślała o tym, co powiedział Roman. *Już się nie martwię, że coś stracę... Bo i tak stracę.* Wiedziała, co miał na myśli. Rzeczy materialne. Nie chodziło mu o ludzi, choć spotyka, jak powiedział, takich, którzy zaśmiejają mu umysł, a to nie jest komfortowe.

Też kiedyś miała natłok myśli i wiadomości do strawienia. Docierały zewsząd, zewsząd nadciągały. W samotnej podróży jest inaczej. Pojawiają się wiadomości z drogi, ale one nie zaciemniają umysłu. One prowadzą do horyzontu.

Wiktor. Wiele by dała, żeby był teraz przy niej. Walcz o niego, nie uciekaj, mówiło serce Agnieszki. Sprawiasz wrażenie chłodnej, to wada – powiedziała Atena. – Nie jesteś w żadnym stopniu

chłodna. Sekrettem dobrego związku są niskie oczekiwania. – To też powiedziała. To były bardzo mądre słowa.

Nie dzwonił, choć tęskniła. Wiedziała to na pewno. Przeczytała jego książkę i dopiero będąc daleko, nabrała dystansu i inaczej na nią spojrzała. Wyłonił jej się obraz młodego mężczyzny, który intuicyjnie tęsknił za miłością. Nie znalazł jej w domu, a w zbyt wczesnym rozpoczętym życiu na własny rachunek można popełnić wiele błędów. Uczył się życia na własnym organizmie. Nie tak jak ona, która wszystko, włącznie z miłością rodzicielską, miała podane na tacy. Mogła wybrzydzać, krytykować, bo nie doświadczyła piekła dzieciństwa. Zapomniała o reszcie, o tym, że w niego zwątpiła, ważne było tylko to, że tęskni i że właśnie Wiktorowi chciałaby opowiedzieć wrażenia z podróży.

Złapała za słuchawkę. Znow odebrał po pierwszym sygnale.

– Widzę żółtą ławkę, bije o nią fala, woda się rozpryskuje, jest jej pełno na brzegu, na chodniku. Widok, który mam przed sobą, to cała gama kolorów, żółć, granat, pomarańcz nieba, a morze przybrało kolor szaro-niebieski, w niektórych miejscach turkusowy. Wieje wiatr...

– Szkoda, że mnie tam nie ma.

Tak, szkoda, pomyślała, a głośno powiedziała:

– Martwię się, że jej nie spotkam. Czasem myślę, że ona nie istnieje. Tu była, tam jej nie było, w innym miejscu jeszcze nie ma. Poczekam jeszcze ten dzień, niechby dwa. Jeśli nie będzie jej pojutrze rano w Marsaxlokk, za czterdzieści osiem godzin wracam do kraju.

Opowiedziała Wiktorowi o drodze śladami Elle. Przesłała mu link do strony internetowej hotelu, w którym się zatrzymała. Przesłała link do hotelu Melita w Sliemie. Nie przerywał jej. Odezwał się dopiero, jak skończyła...

– Jesteś tak blisko celu i chcesz odpuścić? Zlokalizowałaś ją, wiadomo, że żyje, wiadomo, że istnieje. Ktoś, kto ma tyle miejsc do obskoczenia, bywa nieuchwytny, i to jest normalne. A nawet jak jej tym razem nie spotkasz, to też jeszcze nic straconego. Możesz przecież wrócić na Maltę.

– Tak, ale już nie chciałabym wracać tu sama.

Tym razem Wiktor chwilę milczał.

– Jednym słowem, zaliczyłaś same plusy, poznałaś dwa kraje, nie z wycieczką, tylko od wewnątrz, to dużo.

– Myślałam, że do mnie zadzwonisz, że mi o sobie opowiesz, o spotkaniach, o książce, jak jest przyjmowana, czytam opinie w Internecie, są bardzo dobre. Że powiesz coś o „Raju”, czy tam wszystko dobrze. Liczyłam, że będziesz bardziej mnie przy sobie zatrzymywał, ale nie zadzwoniłeś...

– O nie! Nie dam się wciągnąć! Powiedziałaś, że chcesz sama coś tam ogarnąć. Odrzuciłaś mnie.

– Ja taka jestem. Musisz mnie zrozumieć, bałam się, że...

– Że cię oszukam? Dziewczyno, chyba nie znasz się na psychice facetów przed czterdziestką. Bądź pewna, że im bardzo zależy, żeby złapać dużo młodszą od siebie... – Zaśmiał się głośno.

Lubiła jego dowcip.

– Mógłbyś skłamać, że nie chodzi tylko o wiek. Zresztą ja wyjechałam dla matki, a nie z twojego powodu.

– Dla matki, mówisz?

– Tak, dla niej. Ty zawsze uważasz inaczej niż ja. I nie dzwoniłeś.

Chwilę trwała cisza, Agnieszka zastanawiała się, czy nie przyznać się do kłamstwa.

– Miałaś dać znać, jak będziesz na Gozo. Denerwowałam się.

– Że spadnę z promu?

– O to też. Nawet mnie nie zapytałaś, co słyhać.

– Więc co słyhać?

To pytanie nie zabrzmiało dobrze.

– Spotkaliśmy się grupą majową i było super. Marcel, Ewa, Piotr, doszli nowi, mąż Ewy, żona Piotra. Marcel związał się z masażystką z Kłodzka, namawiał ją na pracę u nas. Nie udało mu się, ale są parą.

– Julii nie było?

– Nie, nie wiemy, co się z nią dzieje. Podobno są parą z kolegą z korporacji. Ale nie wiemy tego na pewno. No i ważne, nie łap mnie późnym wieczorem, bo dzisiaj wylatuję, nie będzie mnie jakiś czas w Polsce.

– Wylatujesz? No i dobrze!

Nie zapytała dokąd. Powinien to powiedzieć na początku rozmowy.

– Baw się dobrze – dodała sarkastycznie i zakończyła połączenie. Znow poszło nie tak, jakby chciała.

Nie chciało się jej spać. Wyszła z hotelu, zamknęła drzwi, zeszła na taras. Było po północy. Miejscowość była cicha, spokojna, jedynie szum morza przerywał tę ciszę, ale to było kojące. Wyszedł księżyc, niewiarygodnie jasny w kontraście z granatowym niebem. Aga zdała sobie sprawę, że do życia potrzebowała dużej przestrzeni. Cały świat, piękny, niebezpieczny, nieznany, intrygujący, tym samym niemożliwy do poznania.

Co oznacza określenie „być w drodze”? Że należy się od życia czegoś spodziewać? Świadomość, że czeka ją coś ciekawego, co niepokoi, ale również ciekawi, była bardzo intrygująca.

* * *

Elle

Dom Borgów w Marsalforn nie był okazały. Salon i otwarta kuchnia na dole wyglądały nawet nowoczesnie, pomijając meble z różnych epok, z których wiele wymagało renowacji. Zakładając, że będą tam mieszkać, miało to sens. Elle jednak tego nie zakładała. Jeśli miała wyciągnąć Borgów z długu, to dom na Gozo powinien na siebie zarabiać. Tylko jak to zrobić? Nie mogła wyrzucić z domu byłej teściowej. Kobieta przyjęła ich bardzo dobrze, a nawet, jak na nią, serdecznie. Z Theo ucięła sobie pogawędkę na temat połowów ryb, a w stosunku do Elle nie była wyniosła ani zaczepna. Nawet uroniła łzę, opowiadając, jak złą synową jest żona Michaela, Chiara. Elle nie dała się nabrać, ale udawała, że wierzy starej kobiecie. Chiara była najbardziej idealną z wszystkich idealnych synowych. Przy niej Michael mógł się rozwijać, mógł się poświęcić pracy w stoczni, gdzie był bardzo szanowanym członkiem zarządu.

Elle miała swoje zgryzoty. Brakowało jej synów. Często się zastanawiała, jakby było, gdyby Andrea nie wyjechał. Mógł pracować razem z nią, ale miał inne cele. Zawsze tak było, chciał iść swoją drogą. Wyjechał za Danielem do USA. Był jego pupilkiem, Daniel go po prostu rozpieszczał, co nieraz mu wyrzucała. Zaczęła o syna bardziej zabiegać, dzwonić, rozmawiać, namawiać na powrót, być może za późno. Nie mogła pozwolić, żeby odszedł od rodziny, a tak to się mogło zakończyć. I ta wiadomość, że tworzy dla Daniela symulacje wygranych w kasynie i w loteriach wszelkiej maści!

Nie wiadomo, jak by się skończyło, gdyby nie... Ewa. Elle poznała ją podczas drugiego lotu do Nowego Jorku. A teraz...? Miała wspaniałą i bardzo mądrą synową.

Potem zaczęła się gubić w tym wszystkim. Niby była silna, niby uwierzyła w swoje niedomówienia, bo trudno to było nazwać kłamstwem. Ale demony przeszłości wracały tym częściej, im była starsza. Nikt nie wiedział o niej wszystkiego, nawet Theo.

Wspaniały człowiek, w ogóle w swoim życiu trafiała na pocziwych ludzi. Jakże była egoistyczna, jakże łatwo przestała szukać Dany! Parę listów, które wróciły, później jeden, kiedy była już panią Balafas, z adresem zwrotnym na winnicę na Korfu. Teraz będzie okazja. Ta dziewczyna, ta Polka, która pojawiła się w winnicy, na pewno ma jakiś związek z Danutą. Bo co innego mogłoby wchodzić w rachubę? Theo i Nestor Junior powiedzieli, że pytała o Elle Spiropoulos. W Grecji znana była jako Elle Balafas, a na Malcie jako Elle Borg.

Może to córka Danki, może inna krewna, może Danka odeszła, a dziewczyna, jako spadkobierczyni, szuka pieniędzy po matce? Odda jej wszystko, co do grosza, jeśli zajdzie taka potrzeba. Łezka zakręciła jej się w oku. Zmarnowała tę przyjaźń, ale może jeszcze nie wszystko stracone?

Lot był jak zawsze wyczerpujący. Była człowiekiem ziemi, człowiekiem pola. Źle się czuła w powietrzu, zawsze tak było. Myślała o tym, co jej powiedział na pożegnanie Daniel.

– Wierzę, że mnie nie wykiwasz.

Machnęła na niego ręką, ale w jakimś sensie go rozumiała, jako człowieka, który już nie miał nad sobą władzy. To nałóg prowadził go za rękę. Ileż ją to kosztowało! Była szczęśliwa, że Andrea okazał się rozsądny i wreszcie poznał się na Danielu. Że nie wszedł z nim w spółkę i nie próbował mu pomóc w iluzorycznych i naiwnych sposobach ogrania kasyna.

Co jej powie? „Witaj, kochana. Jesteś bardzo podobna do mamy, gdy była w twoim wieku. Upiekłam na twoją cześć *pastizzi*”. Nie. Tak nie. Inaczej. „Siadaj obok mnie, kochanie”.

Zawsze coś stawało na przeszkodzie, nie była już później w Polsce. Nie napisała do rodziców Danusi listu. Nic nie zrobiła. Życie uwięziło ją w kokonie obowiązków. Mąż, dzieci, winnica... Nie, to nieprawda. Czas zniszczył tę przyjaźń, musiała się do tego przed kimś w końcu przyznać!

Już prawie poczuła ciepłą dłoń dziewczyny w swojej.

Wtedy się obudziła.

Rozdział piąty

Agnieszka jadła śniadanie na tarasie hotelu, mogłaby tak siedzieć jeszcze parę godzin. Nie chciało jej się nigdzie jechać, było jej dobrze. Dawno nie widziała Nesa, co ją w pewnym stopniu rozczarowało. Przyzwyczał ją, że pojawia się w najmniej oczekiwanych momentach, w miejscach, w którym się go najmniej spodziewała. Był jak jej duch. I... sporo informacji od niej wyciągnął. Opowiedziała mu o swoich rozterkach, o planach, a nawet o poszukiwaniach i o matce, o sobie.

Do stolika podeszła kelnerka. Zaproponowała Agnieszce ośmiornicę na ostro, ale dziewczyna odmówiła. Poprosiła o espresso, które zawsze stawiało ją na nogi. Kończyła się jej wycieczka. Tęskniła już nawet za polską wiosenną słońcą. Kwiecień plecień. Sporo się w drodze o sobie dowiedziała. Sporo się dowiedziała od ludzi spotkanych w podróży. W życiu, podobnie jak i w drodze, trzeba być zainteresowanym sobą, celem, ale i otworzyć się na innych.

Ktoś popukał ją w plecy. Odwróciła się gwałtownie, choć trzymała w ręce filiżankę z kawą. Jedna kropla spadła jej na nadgarstek.

– To ty?!

Pomyślała, że chyba jest czarownicą i ściąga ludzi myślami.

– Ja.

– Znów masz mi do opowiedzenia jakąś nieprawdziwą historię?

Nes się uśmiechnął. Jakoś inaczej wyglądał, w czarnej koszuli i czerwonej czapeczce na głowie był jeszcze bardziej szczupły i dziecinny. Nie pytając, usiadł naprzeciwko i uśmiechnął się do kelnerki, kiedy przyniosła mu colę. To zastanowiło Agnieszkę, bo wyglądało, jakby się znali.

– Może i mam nową historię. Kto to wie? – odpowiedział po dłuższej chwili. Droczył się.

– Kogo tym razem szukasz?

– Ciebie.

– Nie żartuj, bo nie mam nastroju.

Wiele by dała, żeby przy stoliku zamiast tego dzieciaka siedział Wiktor, nawet zniosłaby jego ironię.

Nes upił colę. Patrzył na wodę.

– Zawsze jest tu niespokojne. – Pokazał morze. – Naprawdę szukam ciebie. Po prostu muszę ci wszystko wyjaśnić.

– A jeśli ja nie chcę?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem, co powinienem zrobić, jeśli ty nie zechcesz mnie wysłuchać. – Było mu głupio i najwyraźniej nie udawał.

– No dobrze, tylko szybko, bo muszę wrócić do Sliemy, a potem może zdążę do Marsaxlokk.

– Nie zdążysz. Chyba że chcesz pojechać tam na noc.

– Nie, to jutro tam pojadę. Ale do Sliemy dzisiaj.

– To jest znacznie bardziej rozsądne. – Zamilkł. Zbierał myśli, a przynajmniej tak to wyglądało.

– Nie było brata, nie było Kathariny, wszystko z nią związane było prawdą, ale była tylko moją koleżanką. I wcale jej nie szukałem na językowych obozach, których na Malcie jest multum.

– Dobra, przyjmuję. Z daleka mi to zalatywało kłamstwem.

– Może...

– Szukasz mnie, bo...?

– Bo dobrze mi się z tobą rozmawia, bo nie uciekłaś.

– Nie uciekłam, bo lubię poznawać ludzi. To jest dla mnie nawet ciekawsze niż zabytki. Kiedyś, jak jeszcze pracowałam, nie mogłam się nadziwić, że ludziom świat się nudzi. Że nie znajdują przyjemności w egzotyce, w nieznanym. Wysłuchiwałam opowieści, jak to było niedobrze. Wyrzucone pieniądze, znasz ten termin?

– Pewnie.

– Albo inne. „Znowu coś nie tak? Pani Basiu, znowu coś nie tak?” – udawała głos rozkapryszonyj kobiety. – „Oczywiście. Wyobraźcie sobie, że pościel zmieniali co drugi dzień, znad basenu wieczorem dobiegały krzyki, a rezydentka bagatelizowała nasze uwagi. I jeszcze ci rodacy! Niekulturalni, jakby na wsi pozbierani. Z nikim nie można było porozmawiać. Nawet mąż z tego dziadostwa bardziej w nocy chrapał. Więcej z tym biurem nie pojedę!”

– Mam nadzieję, że kiedyś wróci zadowolona. Życzę jej tego.

– Ja jej tego nie życzę, nie mam tak dobrego serca jak ty. – Agnieszka dopiła kawę. – Muszę się zbierać. Spotkamy się jeszcze?

Popatrzył jej w oczy i nic nie powiedział.

W ten sposób się rozstali.

* * *

Z okna autobusu żegnała Gozo. To była zupełnie inna wyspa niż Malta. Bardziej naturalna, mniej zabudowana, dużo spokojniejsza. Weszła na prom w ostatniej chwili. Zajęła miejsce wewnątrz, przy oknie. Rozejrzała się. Dwie ławki dalej siedział Roman. Zdawał się nikogo nie zauważać, pochłonięty myślami. Obok niego było wolne miejsce. Wstała, przeszła parę kroków i klapnęła obok. Złapała go za ramię.

– Roman!

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę i wyraźnie ucieszył.

– Coś często się spotykamy...

– Też nocowałeś na Gozo? Gdzie, w jakim hotelu? Ja zaszalałam, w Marsalforn, miałam pełen wypas, ale co tam. Raz się żyje.

– Konfucjusz powiedział: „Człowiek ma dwa życia, to drugie zaczyna się, gdy sobie uświadomi, że ma tylko jedno”.

– Mądre.

– Też na Gozo zaszalałem, można tak powiedzieć. Gdy plaża Ramla Bay opustoszała, znalazłem zaciszne miejsce przy skarpie, zrobiłem sobie dołek w piasku, wyjąłem śpiwór, włożyłem do niego. Wiesz, jak się zasypia na plaży w samotności? Tylko ty, ciemność, gwiazdy, szum fal i w oddali nikłe światło z jaskini. Podobno zamieszkiwali ją troglodyci, podobno jest tam jakaś szamanka. Podobno miejsce upodobały sobie osoby zgłębiające przekazy od Wyższej Energii.

– To mnie przebiłeś.

– Zastanawiałem się, jak cię odnaleźć.

– Coś się stało?

– Tak. Prawie dramat. – Roman zawiesił głos. – Nie opowiedziałem ci jeszcze wszystkiego.

Pośmiali się chwilę.

– Tylko że to już nie może być tragiczne. Umowa stoi?

– Stoi. Po wypadku nie od razu wróciłem do Polski. Łapałem się różnych robót, nie mogłem wrócić do domu bez pieniędzy. Ale inaczej już to wyglądało. Nie pracowałem już tak na wariata. Miałem czas zaprzyjaźnić się z łabędziami w stawie, który był obok mojego domu, czas, żeby nakarmić wiewiórkę, która skakała na drzewie obok mojego okna. Na ryby pływające w stawie mogłem patrzeć godzinami. Wyobraż sobie, że one wiodą życie bardziej uporządkowane niż my... Do Polski wróciłem po dwóch latach.

– I co zastałeś?

– Nie bardzo się czułem. Postanowiłem przeprosić wszystkich, którym kiedyś zalałem za skórę.

– Wielu ich było?

– Niestety. Najpierw przeprosiłem rodziców, siostrę, brata, potem kolegów, a wreszcie na końcu

akcji zasuszania ran odszukałem swoje byłe. One miały do mnie najwięcej pretensji. Że byłem obcesowy, że nie zapłaciłem za jakąś wspólną kolację, że kłóciłem się przy ludziach. Podobno wciąż się darłem, podobno musiałem zawsze mieć rację, podobno nie szanowałem autorytetów. Większość zarzuciła mi niewierność. Tak, to była prawda. Niektórym mogło być ze mną ciężko. Sporo się o sobie nauczyłem. Jeszcze bym dodał, że byłem strasznie obraźliwy. Gdy coś nie szło po mojej myśli, obracałem się na pięcie i znikałem. To ja byłem alfą i kropką, dyskusja była zakazana. To nie było dobre.

– Udała ci się ta nauka, sama to widzisz. Nawet bardzo udała.

– Skąd to wiesz?

– Przecież rozmawiamy.

– Najbardziej bałem się dziewczyny, którą najbardziej skrzywdziłem. Zaszła ze mną w ciążę, kazałem jej usunąć, nie było innej opcji, i ona to zrobiła. To, że cierpiała przeze mnie, dotarło do mnie dopiero po wypadku.

– Spotkałeś ją i co? Przebaczyła ci?

– Tak. Wiele ją to musiało kosztować, czym mi zaimponowała. – Roman pochylił nisko głowę.

– A widzisz?

– To nie wszystko. Ta dziewczyna jest moją żoną...

– Ależ romantyczna historia!

– Jest wina, musi być kara. Nie mamy dzieci i nigdy nie będziemy ich mieć, oboje się do tego przyczyniliśmy, ale ja bardziej. Takie rzeczy nie spotykają nas bez powodu... Sami sobie piszemy los.

– Czasem jest to ruletka.

– Tu bym się spierał. Ale nie martw się. Wiesz, dlaczego ci to wszystko opowiedziałem? Bo rozróżniam ludzi, prześwietlam, nie każdemu można opowiedzieć o sobie. Nie każdemu to jest potrzebne.

Ostatnie zdanie zastanowiło Agnieszkę. To prawda, tego potrzebowała.

– Dziękuję ci za to. Jesteś szczęśliwym człowiekiem? Pytam, czy po tym wszystkim potrafisz być szczęśliwy.

– Tak. I rada dla ciebie – nie gub z oczu swojego szczęścia.

Wstał i odszedł. Agnieszka widziała, jak opiera się o burtę promu i patrzy w dal. Sama też znów wyglądała Błękitnej Laguny, kiedy jej skrawek zniknął za wyspą, odwróciła głowę, ale Romana już przy burcie nie było.

Po opuszczeniu promu w Cirkewwie usiadła na ławce, czekając na autobus do Sliemy. Słońce zachodziło i było jej dobrze. Dzień obfitował w wydarzenia wieńczące jej podróż. Powinna wracać do swoich. Jeszcze tylko jedna próba spotkania Elle w Marsaxlokk.

Nawet gdyby odpuściła sobie Elle, nawet gdyby jej nie spotkała, dzięki poszukiwaniom poznała maleńki, zaskakujący kraj z bogatą kulturą. Jakże była próżna, myśląc o tej maleńkiej wyspie: wysepka.

Atena, Maciek, Maria, Patryk, Roman. I Nes. Temu ostatniemu zapomniała zasugerować, żeby zamiast wędrowania zajął się zgłębianiem technik dochodzeniowych. Zawsze z niej wyciągnął parę, niestety prawdziwych, informacji, przy okazji faszerując ją swoimi, zmyślonymi. Miała mu wygarnąć, że to niesprawiedliwe! Zapomniała. Na pewno mu to powie, niech no tylko przed jej wylotem do Polski pojawi się jeszcze gdzieś na trasie. Miała irracjonalne wrażenie, że wszyscy ci, których spotkała po drodze, nie pojawili się przypadkowo.

Autobusy przyjeżdżały i zaraz odjeżdżały zatłoczone, do Mgarr, do Dingli, dwa na lotnisko Luqa, a nawet przegubowiec do Birzebbugia. Żaden nie jechał w kierunku Sliemy. Siedząc na ławce, Agnieszka starała się korzystać ze słońca. W pewnym momencie poczuła na twarzy cień, ktoś przysłonił słońce. Usłyszała:

– Czekam na ciebie parę godzin.

Ten głos. Agnieszka otworzyła oczy i podniosła wzrok.

– Z takim wyrazem twarzy mogłabyś grać w pokera.

– Wiktor!? – Była taka szczęśliwa.

– Nie, to tylko ktoś do mnie bardzo podobny!

– Miałeś gdzieś lecieć.

– To i przyleciałem.

Był taki atrakcyjny, taki przystojny, i cieszył się, że ją widzi. Rzuciła mu się na szyję. Podjechał autobus, na który czekała, ale już było jej to obojętne. Z mężczyzną swojego życia mogła czekać nawet do rana. Nie było takiej potrzeby, bo Wiktor wziął ją za rękę i pociągnął w stronę parkingu. Zatrzymali się przed szarym mercedesem.

– Wynająłem, ale przy ruchu lewostronnym jestem gamoniem.

Jakże jej było dobrze w dużym, wygodnym aucie, z Wiktorem za kierownicą. Rzeczywiście nie był tak biegły w prowadzeniu auta po wyspie jak Patryk.

– Zastanawia mnie, dlaczego pojechałam sama, dlaczego szukałam tej Elle. Czy dlatego, że tak ważna jest dla mnie rodzina?

– Myślę, że dobrze wiesz. Jeszcze nie zwariowałaś, i to dla mnie jest cenne. Dzisiaj jest taka tendencja, żeby rozbijać rodziny, bo wtedy ma się tańszych pracowników, a raczej niewolników. Skłócona rodzina, brak dzieci, rozwody, to wszystko sprzyja strategii korporacyjnej. Szkoda, że zauważamy to dopiero wtedy, kiedy jest już za późno.

– Czy istnieje takie określenie?

– Jakie?

– Że jest na coś za późno.

– Istnieje.

– Ale nie dla nas?

– Dla nas nie.

– Czyli wierzysz, że moja przygoda z Elle nie jest za późno?

– Myślę, że nie. Ale dojdź do finału, nie podawaj się.

– Jest taka piosenka, nazywa się „Kwiat Louloudi”, śpiewa ją Grzegorz Turnau razem z Georgiosem Dalarasem. Bardzo ładna. Idzie to mniej więcej tak: *Jestem kwiatem, który do życia się budzi, lecz nie zakorzenia się tu.* Dalej zapomniałam, ale potem: *Przez bezkresy morza do wieczności nieba, aż po magię i światło gwiazd, martwić się przegraną nie trzeba, nie trzeba, skoro jeszcze przegram nie raz.*

– To raczej durne słowa – powiedział Wiktor.

– Mnie się podobają. Dokąd jedziemy?

Przy Wiktorze odkrywała inny rodzaj emocji, trudno w ich wypadku było mówić o prawdziwym związku. Nie spali ze sobą, Wiktor czekał, aż Agnieszka do tego dojrzeje, a ona czekała – na jego inicjatywę.

Spojrzał jej w oczy, aż zadrżała.

– Gdzieś dojedziemy – powiedział po chwili milczenia. – Założmy, że tam, gdzie ci się spodoba.

– A jeśli mi się nie spodoba?

– To wtedy poszczujesz mnie chomikiem.

No i tak było z Wiktorem. Nie można było zachować powagi.

* * *

Zatrzymali się w Grand Hotel Excelsior w Valletcie. To było miejsce naprawdę wysokiej klasy, z okien ich apartamentu widać było port Marsamxett i wyspę Manoel. Podczas kolacji Agnieszka przyglądała się gościom hotelowym. Opaleni, dobrze ubrani, czuć było w nich tę samą nutę zamożności, jaka uderzyła ją w Wiktorze, kiedy się poznali w „Raju”. Kobiety w sandałach na bardzo wysokich obcasach, mężczyźni pachnący zabójczymi perfumami, w letnich, lekkich marynarkach i ręcznie szytych butach, pewnie na zamówienie. Sztab hotelowych makijażystów, fryzjerów i stylistów na pewno był na

zawołanie. Agnieszka nie zabrała lepszych ubrań, przemieszczanie się wymagało małego bagażu, tylko kilka koszulek, kilka par spodni, jedną spódniczkę. Coś tam dokupiła po drodze, a na Gozo skusiła się jeszcze na białą lnianą koszulę. Czuła się zaniedbana. Co innego Wiktor, on potrafił zaczarować i tym razem to Agnieszce pasowało. Czuła się dziewczyną fajnego faceta, widziała, jak kobiety zawieszają na nim oko, ale (musiała to przyznać) nie zauważyła, żeby na to jakoś reagował. Wpatrzony w nią, dawał jej do zrozumienia, jak bardzo się co do niego myliła.

– Nigdy nie powinniśmy się kłócić – powiedział.

– Przykro mi.

– Mnie też. A wiesz, że nie dokończyliśmy tamtej rozmowy?

– Nie dokończyliśmy.

– Chcesz pogadać?

– Nie, już nie. To było moje wariactwo. Dobrze mi zrobił wyjazd.

– To było drobne i krótkie niewidzenie. Byłbym durniem, gdybym pozwolił ci odejść.

– Dziękuję. Wiesz, podoba mi się twoja książka. Przeczytałam na spokojnie, bardzo mi się podoba.

– Ma dobre opinie... Jestem nieskromny.

– To wiem. Czytałam. Jest mnóstwo dobrych, ale natknęłam się na kilka co najmniej dziwnych. Jakaś dziewczyna pisze, że jesteś silny i przebojowy, bogaty i zepsuty. Po co oceniać przez ten pryzmat? Albo wywiad, którego udzieliłeś tygodnikowi mazurskiemu. Skąd wiedzą, jakie jest twoje pochodzenie? Wychodzisz tam na pijaka i menela. Przeraza mnie nierzetelne dziennikarstwo.

– Po prostu na pewne pytanie, zamiast skłamać, nic nie odpowiedziałem. Wiesz, jaki jestem. Mam do siebie dystans, potrafię zakpić z siebie, może zbyt dużo powiedziałem, a młoda pewnie uczyła się od dziennikarskich szakali od polityki. Wydawało mi się, że sporo wiem o życiu, ale okazuje się, że nie...

– Podaj ich do sądu

– Aga, gadałem z nią jako Iwo, nie jako Wiktor, niech będzie, że Iwo to zakąła. Co mi tam. Trochę mnie to zaczęło przerastać, więc zatrudniłem chłopaka do obsługi mediów społecznościowych.

– I bardzo dobrze.

– Coś dla ciebie mam. – Podał jej plik kluczy. – Miałem dać ci je w Polsce, ale... Chcę, żebyś wchodziła do mojego mieszkania w Warszawie, kiedy chcesz, i do „Raju”, kiedy zechcesz. I chcę, żebyś mi wreszcie uwierzyła.

Złapała jego twarz w dłonie i dosłownie wpiła się w niego ustami.

Sypialnia powiedziała jej wszystko. Ileż miłości było w Wiktorze. Porównywała go do Szymona, do wcześniejszych chłopców, z którymi się całowała. Pierwszy raz doświadczyła harmonii, nie było zbędnych ruchów, wystarczały spojrzenia, by wiedzieć, co dalej. Mimo że Wiktor ponosiło, musiał nieco opóźnić moment wejścia. A potem jego ciało przestało należeć do niego. Agnieszka też była gotowa, czuła, że jeśli zaraz w nią nie wejdzie, będzie krzyczeć. Wsunął się do środka, uwalniając ją od nieznośnego napięcia, które czuła, odkąd go poznała.

Długo kazał na siebie czekać. Ale było warto. Przeciągała się rano w łóżku, zaspokojona, zakochana, rozedrgana na myśl o kolejnej nocy.

Wiktor nie było. Usiadła na łóżku i wtedy usłyszała szcęk klucza w drzwiach. Wiktor, szczęśliwy, stanął nad nią z papierową torbą.

– Przyniosłem ci zapiekanki. – Pokazał jej zawartość torebki. – Wszyscy kupowali.

– Możemy przecież zejść na śniadanie.

– Tak, ale nie mogłem spać. Patrzyłem, jak śpisz, ale ja nie mogłem. – Usiadł obok niej i głaskał ją po głowie.

– Było tak, jak miało być – powiedziała. – Mogłoby tak między nami być zawsze. Nie mam nic przeciwko.

– Kocham cię.

– Ja też... – powiedziała cicho, chowając twarz w rękaw jego koszuli.

– Możesz powtórzyć głośniej?

Nie sądziła, że to powie, była pewna miłości, ale dlaczego tak trudno było jej to powiedzieć?

– Kocham cię, Wiktor. – Łzy napłynęły jej do oczu. Gwałtownie wstała i przyciskając rękoma powieki, pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Puściła wodę. Wreszcie mogła sobie pozwolić na płacz. Uruchomiły się w niej wszystkie tłumione emocje. Przyciskała ręce do twarzy i płakała.

– Wszystko okej? – Słowa Wiktora zza drzwi sprawiły, że zamarła w bezruchu. Ale płaczu nie dawało się opanować. Zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Łzy mieszały się z wodą, to ją uspokajało. Wyszła z zaczerwienionymi oczami, ale spokojna.

– Chcesz mi o czymś opowiedzieć? – Wiktor patrzył na nią zatroskany.

– Nie. Tylko to, że dobrze, że jesteś, Wiktor. I nie daj mi odejść. – Znów to wzruszenie!

Zamknęła oczy i poddała się ruchom dłoni Wiktora, który ocierał jej łzy, co znów zakończyło się w łóżku. Kochali się już nie tak szaleńczo. Kochali się, żeby okazać sobie miłość. Wiktor był znakomitym kochankiem, ale nie to się najbardziej liczyło, zwłaszcza że nie była znawczynią. Była po prostu zakochana.

Leżeli spleceni, próbując uspokoić oddechy.

– Wyznaczyłam sobie trasę, wydawało mi się, że najprostszą. Tymczasem Elle, jej życie, wyznaczyło dla mnie znacznie ciekawszą.

– Opowiedz mi o swojej podróży. Jak zniosłaś samotność?

– Nie byłam samotna. Samotnym się czujesz, jeśli jesteś na rozdrożu. Nie wiesz, po co idziesz. Okazało się, że ja wiedziałam. Podążanie śladami Elle dało mi poczucie celu, który wydał mi się ważniejszy niż wszystko, z czym wyjeżdżałam z Polski. Rozczarowałam się firmą, która mnie uwięziła, miałam jakieś przemyślenia, także co do ciebie, co do nas, ty byłeś daleko, w moim poczuciu publicznie się obnażyłeś. Musiałam to przemyśleć. Wiele po drodze zrozumiałam. Owszem, mam zobowiązania, potrzebuję pieniędzy, ale jeśli ugrzęznę w byle jakiej firmie, udusi mnie to. A mieszkanie? Zawsze będę mogła je wynająć i zamieszkać z rodzicami.

– Może wreszcie ze mną?

Spojrzała na Wiktora i przytuliła się do niego.

– Nie chce mi się wracać do Polski, tutaj byłam szczęśliwsza niż gdziekolwiek. Im dalej jechałam, tym bardziej oczyszczał mi się umysł.

– Powiedz mi, jak to jest, jak się rozwikła zagadkę sprzed tylu lat?

– Czuję ulgę. Gdy mijałam miejscowość za miejscowością, drogę za drogą, odbywałam kolejny nieplanowany lot, zrozumiałam, że to tak, jakby błąkać się po zakamarkach duszy. Za to jestem Elle wdzięczna.

– Pozwól i ty mi się poznać, nie broń mi siebie.

Objął ją ramieniem.

– Kocham cię.

Agnieszka się rozplakała.

– Nie płacz. Bo pomyślę, że żałujesz...

Słowa były niepotrzebne.

– Kiedy miałyście się spotkać?

– Dzisiaj.

– Dowiadywałaś się, czy już jest?

– Nie.

– Zadzwoń. Dlaczego jeszcze nie zadzwoniłaś?

– Boję się. Wolałam iść jej śladami, to było ciekawsze, intrygujące. Bo co jej teraz powiem? Jak jej wytłumaczę powód, dla którego jej szukam?

– Nieważne, co jej powiesz, ważne, że spotkasz. Może ona jest z tych, co nie wymagają kwiecistych mów wyjaśniających. – Wiktor spojrzał na zegarek i poderwał się z łóżka. – Po dwunastej! Ubierajmy się, już pora.

– Pojedziesz ze mną?

– Tak.

– Jesteś kochany.

Agnieszka założyła białą sukienkę i różowe buty na platformie. Wiktor prowadził już lepiej, po drodze Agnieszka opowiadała o miejscach, w których była. Przejeżdżali obok szpitala.

– Wydawało mi się, że do Marsaxlokk nie jedzie się obok szpitala, ale może się myłę.

Po paru minutach zorientowała się, że jadą na lotnisko.

– Pomyliłeś drogę?

– Nie – uśmiechnął się tajemniczo. – O trzynastej trzydzieści przyleci twoja mama.

– Moja mama? – Łzy napłynęły jej do oczu. – Moja mama bardzo się boi latać samolotem.

– Jakoś doleci, mam nadzieję. Nie miałem telefonu z pokładu. – Wiktor się roześmiał, a Agnieszce lekko opadło napięcie.

Usiedli w poczekalni. Na niewielkim lotnisku było mało ludzi. Mama wyszła do sali przylotów blada, ale uśmiechnięta.

– Mamo! Dałaś radę.

– Gdyby nie Wiktor, gdyby on mi nie powiedział, że dzisiaj spotkam Elle, nie odważyłabym się na taki wyczyn. Prawie zesłam na zawał, ale taka miła pani obok ciągle mnie zagadywała. Potem się przyznała, że gada, bo się boi latać. Próbowалам ją uspokoić. – Uśmiechnęła się. – I tchórz ma szansę poczuć się bohaterem, będąc wśród innych tchórzy.

Po półgodzinie podjechali w okolice portu w Marsaxlokk.

– Jak tu ładnie! – Wrońska i Wiktor przystanęli na brzegu.

– To prawda.

– Idziemy?

– Tak – odpowiedziały jednocześnie matka i córka.

Po chwili stanęły przed domem z piaskowca, który wyróżniał się czerwonymi okiennicami i drzwiami, oraz wijącą się po kutyh żeliwnych balustradach jasnoczerwoną bugenwillą.

* * *

Elle

– Theo, jak dobrze cię widzieć! Tyle mam ci do opowiedzenia!

Mężczyzna przytulił kobietę. Był wzruszony.

– Wszystko w porządku? – Kobieta zmasała z jego czoła sadzę. – Co robiłeś, brudasio? Pewnie znowu czyściłeś komin! Nie mieszkamy na biegunie, jest wiosna! Palić przynajmniej przez pół roku nie będziemy.

– Nie możesz marznąć. Zimą dymił i dymił...

– Tym razem bardzo źle zniosłam podróż. U Andrei też byłam zdenerwowana, nie mogłam znaleźć sobie miejsca.

Rozmawiali o tym po drodze z lotniska do Marsaxlokk.

Spała kilkanaście godzin, a i tak obudziła się zmęczona. Nie cieszył jej postęp w remoncie. To już miała być końcówka. Nowy kolor drzwi i okiennic przyjemnie odmienił front budynku. Koniec ery Borgów w jej życiu, wróci do Grecji, a dom w Marsalforn przekaże Andrei. Może wtedy wróć z USA do Europy? Polubiła Ewę, tak bardzo pokochała dwóch smyków, wnuczkę i wnuka. Strasznie kaleczyli język grecki, ale po polsku mówili dość dobrze dzięki teściowej Andrei, która, nie znając angielskiego, za każdym pobycem w Ameryce uczyła wnuki polskiego.

Elle leżała jeszcze w łóżku, gdy Theo ubrał się skoro świt i pojechał do Valletty. Oznajmił, że po zakupy, ale była pewna, że usunął się, żeby mogła się wyspać. Długo po powrocie nie mogli zasnąć.

Spragnieni siebie, jeszcze łakomi, potrzebowali bliskości, intymności, ale już bez fajerwerków. Potem, leżąc w łóżku, długo rozmawiali.

Przeciągnęła się, koszula pozawijała się w różne strony, nie pamiętała momentu, kiedy ją narzuciła na siebie. Z niechęcią pochwyciła dzwoniącą komórkę.

– Nestor. Czyżbym cię obudził, mamó?

– Zadzwoń za parę minut. Muszę wejść pod prysznic.

* * *

Odkąd mama związała się z Theo, rzadziej się widywali. Nestor nie pojechał po nią na lotnisko, to był przywilej Theo. Zadziwiła go, nie była już młoda, z czego ostatnio zdał sobie sprawę. Nie odpuszczała, dobrze, że chociaż raz w roku dawała się namówić na wyjazd do Andrei, gdzie miała odsapnąć, choć przy wnukach nie bardzo jej to wychodziło. Wylatując do Ameryki, przekazywała sprawy w ręce Theo, którego trudno byłoby posądzić o niewierność. Zawsze z całego serca był oddany interesom Balafasów.

Nestor Junior nieraz chciał, żeby mama poprosiła go o pomoc. Ale to nigdy nie nastąpiło. Szukał sposobu, żeby jej się przypodobać, pomóc. Ona jednak zwykła mówić: „Jestem z Theo, daj nam odejść w ruchu, mamy jeszcze sporo sił, ty jeszcze się napracujesz. Czekam, aż zagrasz w hollywoodzkiej produkcji. To jest twój świat. Ucz się!”.

Jakże z bratem byli różni. Andrea spodziewał się, że przypadnie mu część winnic, ale Elle ani myślała dzielić majątku. Duży majątek po podzieleniu jest kilkoma majątkami znacznie mniejszymi, to było jej wytłumaczenie. Nestor Junior nie bardzo lubił winnice, wolał miasto niż wieś. Z daleka przyglądał się działalności brata, który mimowolnie podążał drogą życiową matki. Zatracił się w pracy i gdyby nie żona, w ogóle nie utrzymywałby kontaktu z Europą, to Ewa częściej dzwoniła, Andrea tylko na urodziny mamy. Które to już? Pięćdziesiąte szóste, siódme? Pięćdziesiąte drugie?

Nie wiedział.

* * *

Elle odświeżyła się, co sprawiło, że poczuła się lepiej. Zazwyczaj *jet lag* nie dawał jej się tak mocno we znaki. Ubrała się w szafirową suknię, którą kupiła w Nowym Jorku. Czowała tremę. Gdzie jest ta dziewczyna?

– Gotowa? Już dobrze? – zadzwonił Nestor.

– Gdzie ona jest? Nie mów mi, że wróciła do Polski!

– Nie. Sądzę, że jest na Malcie, miała przyjechać wczoraj z Gozo. Tyle czekała, na pewno przyjedzie.

– Może zadzwoniła do Oliny?

Elle zeszła na dół, ale Olina pokręciła głową. Nie było żadnego kontaktu. Elle poczuła się rozczarowana. Tak bardzo chciała wiedzieć, czy na pewno się spotkają. To musiała być córka Danusi. Wroński, tak się chyba nazywał Stefan?

– Dlaczego nie wzięłaś od niej wizytówki, numeru telefonu, czegokolwiek, co ułatwiłoby nam kontakt? Okazaliście się zupełnie bez wyobraźni. Oboje!

Nestorowi powiedziała to samo.

* * *

Agnieszka stanęła w drzwiach. Tym razem przestrzeń na dole, bo tak można było nazwać tę część domu, była pusta. Zachwycaly ściany z żółtego piaskowca, z niskimi, półkolistymi sklepieniami w rogach. Wcześniej nie zwróciła na nie uwagi, być może w ostatnich dniach zostały odświeżone albo po usunięciu mebli bardziej widoczne. Zostawiła Wiktora z matką przed domem. Miała tremę nie mniejszą niż mama, która odmówiła wejścia. Powiedziała, że poczeka. Agnieszka rozumiała jej strach.

Usłyszała trzask drzwi za sobą. Nie zauważyła ich wcześniej, to pewnie przejście na wyższe kondygnacje, być może zamknął jej wiatr. Odwróciła się.

– Agnieszka Wrońska. – Kobieta wymówiła to wyraźnie, bez obcego akcentu.

Nie była podobna do Elle ze zdjęć. Ciemnoblonde włosy z miedzianymi refleksami miała ścięte na modnego obecnie boba i zatknięte za uszy. W oczy rzucały się koronkowe srebrne klipsy. Agnieszka widziała podobne w galerii na Gozo. Na drobnej sylwetce znakomicie leżała szafirowa sukienka, kobieta miała klasę i szyk, Agnieszka musiała to przyznać. Trochę się bała tej eleganckiej kobiety, inaczej ją sobie wyobrażała. Raczej jako typ wieśniaczki, niestarannie ubranej, szpakowatej, z kręconymi włosami upiętymi nad karkiem. Niezbyt szczupłej. Musiała mieć dziwną minę, bo Elle podeszła bliżej, uśmiechnęła się szeroko, pokazując niesamowicie równe zęby, objęła Agnieszkę z niezwykłą żarliwością i powtórzyła:

– Agnieszka, córka mojej Danusi! Spodziewałam się, słyszałam, ale mnie nie było, przepraszam, że musiałaś czekać. Zamieszkaś u mnie? Gdzie masz bagaż? – Odwróciła się w stronę drzwi, zrobiła krok i przystanąła. W progu stała Dana Wrońska. Przez chwilę patrzyły na siebie, ale nie trwało długo, jak ruszyły w swoją stronę i padły sobie w objęcia.

– Źle zrobiłam, wiem. Uciekałam z miejsca na miejsce, przed czym? Wiesz, przed czym uciekają kobiety z naszego pokolenia?

– Przed tęsknotami z młodości, przed przeszłością, często przed miłością. Coś o tym wiem. Elle, uciekałaś w swoje życie. To nie jest karalne. – Dana Wrońska była wzruszona.

– Przed zobowiązaniami z przeszłości – dodajmy.

– Temu dajmy spokój.

– Tworzyłam te domy, te winnice, te pensjonaty. Nie mam nic na swoje wytłumaczenie, ponad to, że postanowiłam pracować, nawet nie po to, żeby być bogatą.

– Stworzyłaś też sieć znajomych, przyjaciół i rodzinę...

– Nowych przyjaciół, ale nie pielęgnowałam starych.

Agnieszka i Wiktor stali obok, objęci, słuchali rozmowy kobiet.

* * *

Widok szczęśliwej mamy wprawił Agnieszkę w poczucie błogości. Długo jeszcze po powrocie do Valletty rozmawiała o tym spotkaniu z Wiktorem. Elle nie pozwoliła mamie się oddalić, obie zostały w Marsaxlokk.

Aga i Wiktor, nie dość, że upojeni swoim szczęściem, cieszyli się z radości innych. Długo się kochali. Agnieszka, podobnie jak Wiktor, była wzruszona i bliska płaczu z ekstazy. Leżeli w swoich objęciach, pijąc szampana, choć w tej pozycji nie było to proste.

Już świtało, ale im nie chciało się spać, z okna widzieli morze, port, światła Sliemy. Wiktor wstał i zawiązał ręcznik na biodrach. Schylił się i pocałował Agnieszkę w czoło.

– Wezmę prysznic.
– Nie zamykaj drzwi od łazienki. Lubię patrzeć, jak się kąpiesz, jak się golisz, nawet jak myjesz zęby. Wszystko u ciebie lubię. Nawet gdy przeglądasz wieści ze świata w smartfonie, chociaż jeszcze niedawno mnie to złościło.

* * *

Po powrocie Agnieszki i Wiktora do hotelu Elle i Danusia zamknęły się w biurze na piętrze. Stało tam wielkie mahoniowe biurko, na którym panował porządek, jakby nikt przy nim nie pracował. Danka przypomniawszy sobie pedantyzm Elle w Polsce. Przyjeżdżała do niej i od razu robiła porządek na biurku. Ależ ją to denerwowało!

Na biurku stało kilka zdjęć w takich samych ramkach. Przedstawiały głównie mężczyzn. Wśród zdjęć było jedno z ich wspólnej przeszłości. Stoją w drzwiach, gotowe na egzamin. W białych bluzkach, z włosami upiętymi w „koński ogon”, co było wtedy modne, zwłaszcza na egzaminach. Skromność przynosiła korzyści.

– Wiesz, że zaufanie do człowieka to największa wartość? – zapytała Elle.

Zapadło milczenie.

– Wiesz, że miałam dwóch mężów? – kontynuowała.

– I masz dwóch synów. Wszystko wiem od Agnieszki. I widzę na zdjęciach.

– Fajna dziewczyna, szkoda, że zajęta, bo mogłaby się zakochać w moim młodszym. Wyobraź sobie, będę miała w domu aktora, studiuje w Atenach, poznać go dzisiaj wieczorem.

– Nawet gdyby, to jest od niego starsza, jak wyliczyłam.

– To nie jest przeszkodą. Mój drugi mąż był ode mnie pięć lat młodszy, a i tak życia nie da się zaplanować.

Wrońska się uśmiechnęła.

– Dziękuję, Dana, że mi wybaczyłaś.

– To nie jest proste. Nie chodzi o pieniądze, choć spłacałam je parę lat. Chodzi o lojalność, o uczciwość. Nie byliśmy w stosunku do siebie lojalni. Ja też. – Wrońska musiała to przyznać.

– Nic nam nie przyjdzie z niezgody. Wierz mi, trzydzieści pięć lat miałam wyrzuty sumienia. – Dla Elle ta rozmowa miała być oczyszczająca.

– Ja też. Nie pożegnałam cię, nie odzywałam się. Sama nie wiem, dlaczego tak się stało.

– Dzisiaj to już nie ma znaczenia. Owszem, odziedziczyłam majątek po Nestorze, ale początki w Grecji nie były łatwe. Do wielu rzeczy dochodziłam sama. Uciekałam w pracę, świadomie, zachłannie, bo serce nie służy i nie możesz nim pokierować tak jak biznesem. Wierz mi.

– Masz synów.

– Mam. Mam też Theo. Zawsze mnie kochał, a ja go po prostu lubię i szanuję. Dobrze mi z nim. Stało się, ale dopiero po rozwodzie z Danielem.

Zapadło milczenie.

– Mam wiele planów i sporo ci do pokazania. Mam nadzieję, że ci się do Polski nie spieszy. – Elle była szczęśliwa. Miała swoją przyjaciółkę, znów były razem. – Przyjedzie Nestor Junior, może wywołamy Andreę na Skypie. Chciałabym, żebyś poznała moją synową, Ewę. Porozmawiamy. A teraz zabieram cię na wycieczkę po wyspie.

* * *

Wróciły po południu. Pomieszczenie na parterze przeobraziło się w elegancki salon. Na stole nakrytym obrusem stały butelki z białym winem. Nestor B. Theo, wystrojony we frak, obejmował w pasie Elle, ubraną tym razem w chabrową sukienkę do ziemi. Bardzo kochał Elle, co było widać. Było też widać, jakim jest dla niej przyjacielem.

Wiktor z Agnieszką wrócili do Marsaxlokk z pakunkami. Agnieszka w żółtej sukience wyglądała prześlicznie; z Wiktozem w lnianym letnim garniturze i białej koszuli zadawali szyku. Stali na tarasie i upajali się widokiem morza, obserwując, jak rybacy wracali do domów, zostawiając łodzie na brzegu.

– Przemianowałam to wino po śmierci męża. Wcześniej nazywało się Balefassina, ale to była według mnie zbyt włosko brzmiąca nazwa.

Wszedł przystojny młody chłopak w białym garniturze.

– Mamo! Theo!

– Ależ on... – wykrzyknęła Wrońska, ale ugryzła się w język. Podobieństwo było uderzające.

Wiktor i Agnieszka wrócili z tarasu do salonu zwabieni przybyciem gościa.

– Nes! – wykrzyknęła Agnieszka na widok nowo przybyłego.

To był on. Porządniej ubrany, uczesany, bez swoich rzymianek na nogach. Agnieszka patrzyła na chłopaka, on na nią, i o ile w jej oczach widać było gniew, w jego tylko przyjacielski uśmiech.

– No dobrze, było, minęło. Musiałem. Pojawiłaś się w winnicy i musiałem. Mama mi kazała.

– W jakiej to winnicy byliśmy razem?

– Na Korfu. Theo też tam był. No dobra, nadzorowałem opryski.

Tego się nie spodziewała. Okazało się, że te spotkania, to wszystko po drodze, kłamstwa, rozmowy, co najmniej dziwne, były po coś. On cały czas ją śledził!

– Ciekawe, jak naprawdę masz na imię. I po co to wszystko było?

Wiktor miał kilka pytań w oczach.

– Żebyś nie uciekła. Mamy nie było, chodziło o to, żebyś nie uciekła, nie pojechała do Polski czy gdzie tam jeszcze. A na imię mi Nestor Junior. Nazywam się Balafas, po ojcu, jedno i drugie. Nie powiedziałem, że studiuje aktorstwo w Atenach.

– A ja cię miałam za dzieciaka...

– Narwanego, może i głupiego, co?

– Racja. Więcej już nikogo nie nabieraj, dobrze? Wiktor, to jest syn Elle, Nestor Balafas, dla mnie po drodze Nes, szukający brata, który zniknął w morzu kilka lat temu.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

– Masz szansę na Hollywood. – Theo poklepał Nestora po plecach.

Elle szepnęła do Danuty:

– Wiesz już...

– Myślę, że tak...

– Przejdźmy do mojego biura.

Widok z okna biura Elle znów Danę zachwyił. To morze, na wyciągnięcie ręki.

– Usiądź – zaprosiła ją Elle, wskazując jeden z dwóch foteli stojących przy inkrustowanym stoliku. Sama podeszła do biurka i z szuflady wyjęła kopertę.

– Musisz wiedzieć, że moją największą miłością był Kostas, taką młodzieńczą, nieprzemysłaną. Nestora pokochałam za dobroć, za przewidywalność, a Kostas się wciąż ode mnie oddalał. To była szczenięca miłość, namiętność, żar i wielkie rozczarowanie. Nie mogliśmy być razem. Nie byłabym z nim szczęśliwa. Nestor to dojrzałość, mądrość, bezpieczeństwo. I radość z codzienności.

– Głupie byliśmy.

Elle westchnęła.

– Fakt. Nie bój się, z Kostasem nie spotykam się, odkąd spoważniał i ożenił się z Thelmą. Tylko tyle, aż tyle.

– Tylko tyle... – Danką powtórzyła po Elle.

– Nie całkiem. Andrea jest podobny do mnie, ale Nes do ojca. Gdy patrzę na jego zdjęcia

z młodości, są identyczni. Dzisiaj Kostas jest tęszy, ogorzał, ale też można się doszukać podobieństwa, jak ktoś wie, że są ojcem i synem.

– Wie o tym?

– Oczywiście, że nie. Po co? Wiedzie swoje uporządkowane życie, ma dwójkę dzieci. To inne życie, nie takie jak z idiotką Kryską. Przyprawiała mu rogi i w ogóle horror.

– Stefan mi mówił, że w Polsce po twoim wyjeździe się z jakąś prowadzał, ale nie chciałam w to wierzyć.

– To na pewno ona. Pijaczka i awanturnica, malarka z bożej łaski. Jak się napiła, ganiała go z nożem w ręce. Spotykaliśmy się w wynajętym maleńkim pokoiku na mieście, dzisiaj myślę, że z tego żalu, że tak źle wybrał. Na chwilę, na kwadrans, na pół dnia, nigdy w nocy. Byłam odpowiedzialna, wbrew temu, co masz prawo o mnie sądzić. Gdy w seksie iskrzy, jest dobrze, gdy w życiu, niekoniecznie. A to był nasz przypadek chorobowy.

– Powtórzyłabyś swoje życie, nic nie zmieniając?

– Tak, popełniałam błędy, ale szłam, nie skupiając się tylko na wędrownie. Zmiany i błędy są wpisane w nasze życie.

– Nestor wiedział, że to nie jego dzieci?

– Nie. Andrea go uszczęśliwiłam. Dla niego to zrobiłam, tak bardzo czekał na synów. Juniora nie poznał... Myślisz, że postąpiłam szlachetnie?

Wrońska nie odpowiedziała.

– Mogłam się zabezpieczać, nie jestem przecież głupia. Uszczęśliwiłam go Andrea, a to, że postąpiłam słusznie, udowadniał mi radością każdego dnia. Andrea był słodki, Nestor miał dla niego mnóstwo cierpliwości. A Juniora widzi tylko stamtąd, z góry.

– Skąd wiesz, że to nie dzieci Nestora? Przecież się kochaliście.

– Byliśmy najszczęśliwszym małżeństwem na Korfu. Oczywiście, kochaliśmy się.

– To nic nie jest wykluczone. Może tylko Nestor jest Kostasa? Podobieństwo jest uderzające.

– Nie, nie. Oni nie mają ani mojej grupy krwi, ani Nestora. Nikt inny nie wchodzi w rachubę, tylko Kostas. Prawdę mówiąc, nie ma to dla mnie znaczenia. Oni są Balafas i nic tego nie zmienia. Mam wyrzuty sumienia, jakieś mam, ale przeszłość nie ma istotnego znaczenia. Co sądzisz? Mam szansę na rozgrzeszenie?

– Zagmatwane to wszystko.

– Były różne burze po drodze, były miłości, na pewno też były świństwa, nieuczciwość, ja to wiem, to może szokować, sporo złych rzeczy, ale tak naprawdę rodzina była najważniejsza. To dla nich harowałam, dla nich w jakimś sensie sprzedawałam siebie. Dla pełnej rodziny. Mnie nie zależy na sukniach, na butach. Tylko żeby udały się winogrona, oliwki, żeby goście mojego hoteliku na klifie byli zadowoleni, żeby wracali. Ja muszę mieć tylko na spłatę kredytu. Nie dla mnie to, nawet te noce z Kostasem, jak widzisz. Dla rodziny to wszystko.

Wrońska nie utożsamiała się z jej słowami. Była odwrotnością Elle, wprowadzie nie żyła w grzechu niewierności fizycznej, ale w grzechu niewierności moralnej owszem. Pogubiła się, wołała nie roztrząsać swego życia na trzeźwo, łapała za kieliszek i już jej było lepiej, wtedy wszystko było łatwe, to wtedy do głowy przychodziły jej lepsze pomysły i bardziej kolorowe scenariusze, których treść ginęła potem w pijackim odlocie.

Nic dla rodziny nie zrobiła, myślała tylko o sobie, dopiero ostatnio podjęła jakieś próby życia inaczej. Po wyjeździe Agnieszki, w dniu, kiedy sfinalizowali sprzedaż domu, długo się ze Stefanem kochali. Ta bliskość przyniosła jej satysfakcję. Stefan nie krył wzruszenia, a ona miała wyrzuty sumienia, że odstawiła go na boczny tor na dobrych kilkanaście lat. Starła się też zbliżyć do córki. Odkąd Aga przyznała się, że zlikwidowała polisę, zamiast gniewu, paradoksalnie zaczęło jej na córce zależeć, zobaczyła w niej dziewczynę wystraszoną swoim uczynkiem, a nie butną, obcesową, jak jej się poprzednio wydawało.

Niewątpliwie się na siebie otwierały. Nie wyczuwała już w córce pogardy, starła się, uważała bardziej niż kiedyś na słowa. Agnieszka znalazła Elle, to było wzruszające. Wrońska, po namowach

Wiktor, wsiadła w samolot i jakby ktoś nad nią rozciął parasol ochronny. Czuli się silniejsza niż kiedyś... Od przyjazdu na Maltę nie miała alkoholu w ustach. Kiedyś jednego dnia rzuciła papierosy i nie paliła do dzisiaj. Może i tym razem tak się stanie. Alkohol, jakże go nienawidziła, ale i kochała.

– Nie wiem, czy mnie na coś takiego byłoby stać... – powiedziała.

Elle spojrzała na Danutę pytająco.

– Nie oceniaj tak surowo. Każdy dokonuje jakichś wyborów.

– Nie, to nie to, Elle. To nie było do ciebie. Muszę pomyśleć, jak opisać siebie, swoje życie.

Czasem myślę, że dwa zdania to za dużo.

Elle położyła rękę na nadgarstku Danusi.

– Nie uciekaj mi, to jeszcze nie wszystko. Jak łośoś płynęłam pod prąd, pokonując po drodze przeszkody, które niejednego by zraniły. Mnie nauczyły powagi i pokory. Nestor przed śmiercią sporządził testament, w którym wszystko, co miał, przekazał nie synom, a mnie. Andrea się o to obraził i to było prawdziwym powodem jego wyjazdu z Grecji. Nie mogło być inaczej, gdyby wyszło na jaw, że nie są synami Nestora, nie należałoby się im nic.

– Przecież prawnie są jego synami.

– Tak, ale są też czarne scenariusze. Ale znów zeszłam z tematu. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie, Theo nic nie wie, może się domyśla, ale nie wie na pewno, a tobie to powiedziałam, latami nie miałam komu. Dana, ja się wcale nie boję, że nie dochowasz tajemnicy.

– Daj spokój, przecież nie jestem gadułą. Gadam tylko z sobą i z ... butelką...

Elle odwróciła wzrok w stronę okna, Danuta podążyła za nią. Chabrowe fale kołysały kolorowymi *luzzu*. Niebo było niebieskie jak na obrazkach z sieci, które Dana czasem oglądała w Internecie.

– Tak wyszło – dodała, usprawiedliwiając się. – Nie mam przyjaciółek, a Stefan pewnie by tego wszystkiego nie zrozumiał. Agnieszka też ma swoje życie i Wiktor.

– Bardzo sympatyczny, pasują do siebie.

Wrońska milcząco przytaknęła.

– Ale ja znowu nie o tym... Weź to. – Elle podała Danusi kopertę, którą cały czas trzymała w ręce.

– Mam nadzieję, że nie są to nasze zdjęcia z młodości nie oglądam od lat. – Wrońska wzięła głęboki oddech.

– Nie, mam tylko dwa, to na biurku i jeszcze jedno, to w amfiteatrze w Naramowicach. Pamiętasz? Ależ wtedy dałyśmy występ!

– Daj spokój. – Wrońska trzymała kopertę w ręce.

– Wysłałam za Nestora i finansowo odetchnęłam. Nie zapomniałam o tobie. Czy wreszcie tam zajrzysz?!

Wrońska wyciągała z koperty papiery. Spisane po grecku i po angielsku. Nic z tego nie rozumiała.

– Możesz? – Była zawstydzona.

– Zapomniałam, w jakich czasach chodziłyśmy do szkoły. Pokróćce, to moja wola przekazania ci długu wraz z odsetkami, nieco lepiej oprocentowanymi niżli w banku. Tam masz numer konta, do którego jesteś upoważniona. Wystarczy tobie i Stefanowi na kilka podróży. Gdy przyślecie mi kartkę z Malediwów, ja wyczyszczę sumienie.

Wrońska przecząco potrząsała głową.

– Ten drugi papier to umowa darmowego najmu na dwa miesiące co roku niewielkiego pokoju w Liapades na Korfu. Ważny jest widok, metrów jest niewiele, niecałe trzydzieści. Co ty na to?

– Na niewielu rzeczach mi już zależy. Za dużo, Elle, za dużo. Nie musiałaś.

– Walcz z tym, musi ci zależeć! Musi nam zależeć, inaczej nic się nie uda. Zobaczysz, Dana, jeszcze staniesz na nogi.

Wrońska zerknęła na Elle podejrzliwie, miała wrażenie, że ta nawiązuje do jej nałogu. Musiała się wytłumaczyć.

– Wyjechałam z Polski z Krzysztofem. Wiesz, jemu dali bilet w jedną stronę, ale ja tak płakałam, gdy się dowiedziałam, jak się sprawy mają, tak ich nachodziłam, że w końcu i ja dostałam. Jakbym w dzisiejszych czasach chciała startować na prezydenta, zaraz by mi to wygarnęli. Mieszkaliśmy w Paryżu, w mansardzie, nawet niedaleko Montmartre.

– Wróciliście razem? Kiedy?

– Nie, ja sama wróciłam. Kochałam go, długo jeszcze po powrocie go kochałam, ale nie mogłam z nim żyć.

– Mówi się, że jeśli chcesz dobrze poznać człowieka, jedź z nim w podróż. Ja też tego nie wiedziałam, ale miałam szczęście. Trafiłam na Nestora.

– Nie chodziło o codzienność, ona nie była zła. Krzysiek mnie kochał, po moim powrocie do Polski jeszcze długo pisał, a ja każdy list darłam. Początkowo było to kilka listów dziennie, bywało, że bez przeglądania wszystkie wrzucałam do popielniczki i paliłam. To były bardzo alkoholowe czasy.

– To pewnie i te ode mnie tam były.

– Możliwe. On był artystą, a ja przy nim kim? Nie potrafiłam się odnaleźć. Nie miałam pracy, nie znałam języka.

– Mogłaś powalczyć. Konsekwencja jest podobno przedpolem do sukcesu.

– Tak... Pamiętasz mnie tuż przed wyjazdem? Śmiałam się ze Stefana, gardziłam nim. Oszalałam, liczył się tylko Krzysiek. Dzisiaj na pewno bym nie powiedziała o Stefanie tyle złego, co wtedy.

– A czy ty pamiętasz, jak przysięgałam, że nie widzę życia z nikim poza Kostasem? Głupota to była. Życie zweryfikowało moją drabinę wartości. Myślisz o Krzyśku? Ja o Kostasie czasem. Wredny dziad.

Zaczęły się śmiać.

– Niedawno to było. Nie mogłam wieczorem spać, Agnieszka zadzwoniła do mnie z Malty i otworzyła te zasuszone rany. Wystukałam jego imię i nazwisko w wyszukiwarce. Okazuje się, że jest w Polsce, ma galerię, widziałam jego rzeźby. I obrazy. Potem spojrzałam na Stefana. On jest taki zwyczajny, poczciwy, zainteresowany mną. Nie mogłabym mu zrobić krzywdy. Wtedy go skrzywdziłam, całe życie go skrzywdziłam, wystarczy...

– Nestor też był poczciwy, już nigdy po nim nie byłam spokojna, tak ze sobą, tak na swoim miejscu. Potem Daniel mnie oszukał, nie mam o nim nic do powiedzenia, nieważne, kilka dobrych lat, i teraz Theo, on zawsze był przy mnie, myślę, że Nestor by nas pobłogosławił. Gdy już się źle czuł, siadał na balkonie i się nam przyglądał. Udawałam, że tego nie widzę. Theo jest na dobre i złe, zawsze tak było, kocha mnie, ale już nie chcę wychodzić za mąż.

Wrońska westchnęła.

– No, kochana – Elle przytuliła policzek do policzka Dany – teraz się będziemy mogły do woli nagadać. Całe nasze życia będziemy analizować w tę i we w tę. Ty mi pomogłaś, teraz ja tobie, tak trzeba. Chowaj papiery, idziemy do gości, bo nas zostawią i pojedą do Valletty robić, jak to się nazywa... *clubbing*?

Zaczęły się śmiać.

Epilog

Płynęli wynajętą łodzią. To miała być podróż po słońce, jak pięknie powiedział Wiktor. Celem było Blue Lagoon na Comino. To był jego pomysł, Agnieszka już się przyzwyczaiła do szalonych pomysłów Wiktora, a Elle skwapliwie się dołączyła. Było zaskakujące, jak szybko Wiktor i Elle się zaprzyjaźnili. Można powiedzieć, że od tak zwanego pierwszego wejrzenia.

Wiktor się przyznał, że i tej nocy nie mógł spać. Agnieszka była pewna, że kryły się za tym biznesowe plany. Rodził się przecież jego barter z Elle, rano zdradził jej szczegóły. On będzie wysyłał na Korfu spragnionych ciepła polskich seniorów, w zamian Elle do Kletna Greków, którzy kiedyś mieszkali w Polsce, oraz ich potomków.

Agnieszka widziała mamę szczęśliwą. Jakże była głupia, że wcześniej nie wpadła na pomysł wspólnej podróży. Niby chciała prowadzić samodzielne życie, ale przecież nie mogła zapomnieć o rodzicach. Rozmowy i wspólny pobyt wiele między nimi zmieniły na korzyść. Sprawa sprzedaży domu była nie lada newsem. Rodzice planowali kupić coś niedużego niedaleko jej mieszkania, a resztę pieniędzy przekazać Agnieszce, zdejmując z niej mieszkaniowy kredyt, który ją niewątpliwie przygniatał. Mama powiedziała, że tak będzie lepiej, bo bliżej im będzie do lekarzy, że jej i tacie do szczęścia potrzebne jest z sześćdziesiąt metrów i kawałek balkonu. Agnieszka odetchnęła, to rzeczywiście był dobry pomysł.

Wiktor z Elle zajęci byli rozmową, Agnieszka tkwiła w objęciach mamy. Było jej dobrze. Mama opierała się o burtę, wystawiała twarz do słońca. Było słonecznie, ciepło.

– Aguś, ty nie wiesz tego, ale ja cię naprawdę podziwiam. Przez niecałe dwa tygodnie zdążyłaś się zaprzyjaźnić z kilkoma osobami, a ja przez całe życie z nikim. I wiem nawet, dlaczego tak jest. Bo mam w stosunku do ludzi zbyt duże oczekiwania, nie biorę ich takimi, jakimi są. Tymczasem miłość to akceptacja. Dzisiaj to wiem. Parę lat po wyjeździe Elle chciałam wyjechać w Bieszczady, zaszyć się w jakiejś chałupce i wieść pustelnicze życie.

– Miałas ojca.

– Tak, on podał mi wtedy rękę. Nie byliśmy razem, zerwaliśmy parę lat wcześniej, właściwie to ja zerwałam, nie on. Poznałam Krzysztofa. On był na ostatnim roku malarstwa, poznałam go podczas imprezy pożegnalnej, jaką wyprawiała Elle. Kostas nic ci nie mówił? Pewnie nie, bo gdybyś wiedziała, zapytałabyś mnie o to.

Agnieszka się zmieszała. Już miała przytaknąć, już miała się przyznać, że wie, ale to nie miało przecież żadnego znaczenia. Była wdzięczna mamie, że chce jej o sobie opowiedzieć.

– Krzysztof był zupełnie inny niż twój tata. Szalony, ciekawy, uzdolniony. Zakochałam się i nic się dla mnie wtedy nie liczyło. Nawet Elle. Nie pożegnałam jej na dworcu, bo mój świat miał imię „Krzysztof”. Rodzice mi odradzali, widzieli, co się święci. Tata o mało nie dostał zawału, stałam się w rodzinie czarną owcą. To wtedy zaczęłam zaglądać do kieliszka, wołałam lekki szmerek niż trzeźwość. Zaczęłam pić, wtedy jeszcze niewinnie, ale jak dzisiaj pomyślę, to już był dzwonek alarmowy. To zresztą były czasy bardziej alkoholowe niż obecnie. Wtedy się dużo piło, dzisiaj na ulicy rzadko widzisz pijanych, ale wtedy do kieliszka zaglądało się nawet w pracy. Wchodziłam do domu i od razu ryglowałam się w swoim pokoju.

– Żeby nie wyczuli alkoholu?

– Nie. Nie miałam ochoty na rozmowy z kimkolwiek. Żebyś nie myślała, to nie były częste ekscesy, ale już były... Z rodzicami nie mieliśmy wspólnych tematów, tak z grubsza. Ja byłam ta średnia, wiesz, najbardziej rodzice troszczą się o najstarszych i o najmłodszych, a ci średni są tacy pośrodku, pomiędzy. Zresztą twoi dziadkowie byli bardzo zapracowani. Mama przynosiła jakieś papierki do domu, a taty to w ogóle nie widywałam, tylko jak jadł kolację. Pracowali, pracowali, a i tak pieniędzy w domu nie było. Potem tata dostał pracę w zachodniopomorskim, to wtedy się szczecińskie nazywało.

– Dziewczyno! Co tam tak szepczecie!?! – zawołał Wiktor.

– A nic. Rozmawiamy – odpowiedziała Danusia. – Zapraszamy do nas.

– Mamo, musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć. Koniecznie.

– Nie wiem, czy znajdę siły. Postaram się. Do dzisiaj mnie jeszcze bołą niektóre przeżycia. – Wrońska ukradkiem otarła łzę.

– Zostań parę dni u Elle, na pewno poczujesz do wszystkiego dystans. Nigdy sama nie wyjeżdżałaś. Będąc w nowych miejscach, szerzej otwieramy oczy i widzimy to, czego często nie zauważamy, będąc w domu.

– Już rozmawiałam z ojcem.

– Że co?

– Że zostanę, przesłał mi mailem bilet, wrócę do Polski za tydzień. Pogadamy sobie, a potem Elle i ja zatańczymy na plaży zorbę. Tak jak kiedyś... – Wrońska uśmiechnęła się do córki. – To były czasy!

– Cieszę się, że się przełamalaś. Wiktor i ja chcemy objechać świat, poznać inne kultury. Jestem wdzięczna losowi, że go spotkałam. Tak jak ja kocha kolekcjonować wspomnienia, mamy podobne marzenia. Oboje chcielibyśmy dotrzeć do najładniejszych miejsc, budzić się przy nieziemsko białych plażach, nurkować, oglądać najładniejsze rafy koralowe, zwiedzać, podziwiać białe laguny, najbardziej surowe pasma górskie. Chcielibyśmy dotrzeć do miejsc mało dotkniętych cywilizacją, prosto z drzewa jeść banany, ananasy, kaki, oglądać zachody słońca.

– Moja ty marzycielko!

Podszedł Wiktor, za nim Elle. Stali przy burcie. Obsługa szykowała stolik i poczęstunek. Był szampan, owoce morza, pieczywo i dużo owoców.

– Wszystko, co ważne, zaczęliśmy tak naprawdę na Malcie – powiedział Wiktor. – Mamy z Agą taki plan, że wracamy do Polski, pakujemy się i wyruszamy na Jedwabny Szlak. Jedwab podróżował drogą przez bezkres, przez niegościnne kraje, ta droga kiedyś połączyła wschód z zachodem, nie tylko geograficznie. Transportowano ceramikę, szlachetne kamienie, papier z Chin. Eksportowano też, co ciekawe, religie. Niestety, świat się ostatnio bardzo zmienił i dlatego będziemy musieli ominąć Syrię i Iran. Potem obmyślimy skróconą wersję drogi śladami kapitana Cooka.

– Czyli dokąd? – zapytała Elle.

– Na Tahiti, na Wielką Rafę Koralową, do Nowej Zelandii i do Australii. Do Nowej Gwinei i na Jawę. Dopiero po odkryciu tych miejsc przez Cooka, Anglicy ruszyli na podbój Australii i Nowej Zelandii i je skolonizowali. Podróż to rozwój.

– Każda droga jest inna, nawet idąc z tą samą osobą, za każdym razem co innego zaprzątnie naszą uwagę i inne mamy oczekiwania – powiedziała Agnieszka.

– Korzystajcie z życia – powiedział Wrońska.

– Właśnie, mamuś. Wrócimy za miesiąc, półtora, potem przerwa na pracę, przeniosę się na jakiś czas w góry, pomogę im.

– W tym czasie razem z Elle zorganizujemy nasz biznes – dodał Wiktor. – Gdy okrzepnie, dwumiesięczna przerwa i coś bardziej na wschód. Może Gruzja? Może Azerbejdżan. W podróżach będę pisał.

– Ambitne to plany – powiedziała Elle. – Ja już swoje wylatałam i wyjeżdżałam. Wolę być w domu.

– Dla mnie podróż była miniaturą życia – trajkotała Aga. – Nie do końca potrafiłam powiedzieć, dlaczego sama, nie do końca byłam pewna, że słusznie robię, wyjeżdżając. Tęskniłam, wahałam się, ale dobrze mi to zrobiło. Ciocia Elle była pretekstem. Chodziło mi jednak o coś więcej. Podróż mnie zmieniła od wewnątrz, dziś mam pewność, że nikt nie jest samotną wyspą.

Wiktor i Aga z kieliszkami szampana w ręce przenieśli się na leżaki. Było im tak dobrze.

Danuta i Elle siadły na dziobie łodzi.

Patrzyły na morze, w jednym kierunku, przed siebie. Spotkały się, ten sukces Agnieszka przypisywała sobie. Były wciąż sobie bliskie, a czas, dziesięciolecia bez siebie, niczego między nimi nie zniszczyły. Mama Agnieszki rozwinęła nad głową Elle białą parasolkę przeciwsłoneczną, z haftami, z targu w Marsakloxx.

Słońce grzało, na horyzoncie widać było Błękitną Lagunę, zapowiedź czegoś innego.

*Niech się wszystko zacznie jeszcze raz Na tych pustych ziemiach. Kwiaty już nieśmiało kwitną,
spójrz. Kiedy jesteś ze mną,*

Odnajduję ślady naszych stóp. Wiem, co będzie dalej,

Na bezdroża miłość wróci, jeśli chcesz...

Marcin „Liber” Piotrowski – *Bezdroża*